



JOSEPH CONRAD

Lord Jim, tom drugi


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

JOSEPH CONRAD

Lord Jim

TLUM. ANIELA ZAGÓRSKA

TOM DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Chyba żaden z was nie słyszał nigdy o Patusanie? — podjął Marlow po chwili ciszy, podczas której zapalał starannie cygaro. — Ale to wszystko jedno; mnóstwo ciał niebieskich roi się nad nami w nocy, a o wielu z nich ludzkość nigdy nie słyszała, ponieważ znajdują się one poza sferą naszej działalności i nie mają znaczenia dla nikogo prócz astronomów. Im płaci się za to, aby rozprawiali mądrze o składzie ciał niebieskich, ich wadze, ich szlakach — o nieprawidłowościach w ich zachowaniu, o aberracjach¹ ich światła — jest to coś w rodzaju uczonych plotek. Tak było i z Patusanem. Wspominano znacząco o tym kraju na poufnych zebraniach kół rządowych w Bata-

¹*aberracja* (z łac.) — zbłądzenie, odchylenie; w astronomii: pozorne odchylenie pozycji ciał niebieskich od ich rzeczywistego położenia, spowodowane ruchem Ziemi, z której prowadzone są obserwacje. [przypis edytorski]

wii, szczególnie o jego nieprawidłowościach i aberracjach, a tylko bardzo nieliczne jednostki w świecie handlowym znały Patusan ze słyszenia. Nikt jednak tam nie był i sędzę, że nikt nie miał ochoty udać się tam osobiście; podobnie jak astronom — tak sobie to wyobrażam — opierałby się stanowczo, gdyby chciano go przenieść na jakieś odległe ciało niebieskie, gdzie byłby odcięty od swych ziemskich dochodów i czułby się oszołomiony widokiem obcego mu nieba. Lecz ani ciała niebieskie, ani astronomowie nie mają nic wspólnego z Patusanem. To Jim tam się udał. Chcę tylko, abyście jasno zrozumieli, że gdyby Stein wysłał Jima na gwiazdę piątej wielkości², zmiana warunków nie mogłaby być większa. Pozostawivszy za sobą swe ziemskie skazy i reputację, Jim znalazł się wśród zupełnie nowych warunków, na terenie podatnym dla jego bujnej wyobraź-

²*gwiazdę piątej wielkości* — w astronomii używa się tzw. wielkości gwiazd, które odpowiadają sile ich blasku; od czasów Ptolemeusza najjaśniejsze gwiazdy mają wielkość 1, zaś najśłabsze widoczne gołym okiem mają wielkość równą 6. [przypis edytorski]

ni, na wskroś odmiennym i niezwykłym. I władnął nim w sposób równie niezwykły.

Człowiekiem, który wiedział o Patusanie więcej niż wszyscy inni, był Stein. Przypuszczam, że wiedział nawet więcej niż sfery rządowe. Nie wątpię, iż tam był kiedyś, w okresie polowania na motyle albo i później, gdy swoim zwyczajem niepoprawnie starał się okrasić szczyptą romantyzmu tuczące potrawy swej handlowej kuchni. Bardzo niewiele było miejscowości na archipelagu, których by Stein nie oglądał, nim jeszcze zaniesiono tam światło (i to nawet elektryczne) w imię wyższej moralności, no i większych zysków. Stein wspomniał o Patusanie nazajutrz po naszej rozmowie na temat Jima, gdy przytoczyłem słowa biednego kapitana Brierly: „Niech się wpakuje dwadzieścia stóp pod ziemię i niech tam zostanie”. Podniósł na mnie oczy z zajęciem i uwagą, jakbym był jakimś rzadkim owadem.

— To by także dało się zrobić — rzekł, popijając kawę małymi łykami.

— Trzeba go gdzieś zagrzebać — tłumaczyłem. — Nie mam oczywiście na to ochoty, ale biorąc pod uwagę charakter Jima, będzie to chyba najlepsze wyjście.

— Tak; on jest młody — rozmyślał Stein.

— Najmłodszy ze wszystkich ludzi na świecie — potwierdziłem.

— *Schön*³. Otóż jest ten Patusan — ciągnął, nie zmieniając tonu. — A tamta kobieta już nie żyje — dodał zagadkowo.

Nie znałem oczywiście historii owej kobiety, domyślając się tylko, że Patusan służył już za grób dla jakiegoś grzechu, wykroczenia czy też nieszczęścia. Niepodobna tu podejrzewać Steina. Jediną kobietą, jaka kiedykolwiek dla niego istniała, była młoda Malajka, zwana przez niego: „księżniczką, moją żoną”, albo rzadziej, w chwilach wywnętrzeń: „matką mojej Emmy”. Kim była tamta kobieta, o której Stein wspominał związku z Patusanem, tego nie umiem powiedzieć; z jego aluzji zrozumiałem, że musiała to być na wpół Holenderka, na wpół

³*schön* (niem.) — ładnie; pot.: no dobrze. [przypis edytorski]

Malajka, wykształcona i bardzo ładna, o tragicznej, a może tylko żalosnej historii; najboleśniejszym faktem z jej życia stało się bez wątpienia małżeństwo z pewnym Portugalczykiem z Malakki, urzędnikiem jakiejś firmy handlowej w koloniach holenderskich. Wywnioskowałem ze słów Steina, że ów człowiek był, z niezupełnie jasnych przyczyn, osobistością nieszczęśliwą i odpychającą. Jedynie przez wzgląd na jego żonę Stein mianował go dyrektorem stacji handlowej w Patusanie pod firmą Stein i S-ka; z kupieckiego punktu widzenia nominacja ta nie okazała się jednak korzystna, przynajmniej jeśli chodzi o firmę, toteż po śmierci owej kobiety Stein był skłonny osadzić tam na próbę nowego agenta. Portugalczyk, o którym mowa, nazwiskiem Cornelius, uważał się za jednostkę wybitną, lecz zapoznaną⁴, zasługującą dzięki swym zdolnościom na lepsze stanowisko. Tego człowieka miał zastąpić Jim.

— Nie myślę jednak, aby Cornelius stamtąd się wyniósł — zauważył Stein. — To mnie

⁴zapoznany (daw.) — niedoceniony. [przypis edytorski]

zresztą nic nie obchodzi. Osadziłem go tam jedynie ze względu na tę kobietę... Ale zdaje mi się, że została po niej córka; więc jeśli Cornelius będzie chciał zostać, pozwolę mu zamieszkać w starym domu.

Patusan jest dalekim okręgiem państwa rządzonego przez krajowców; główna jego osada nosi tę samą nazwę. Z punktu na rzece odległego o jakieś czterdzieści mil od morza widać pierwsze domy Patusanu, a jednocześnie ukazują się nad poziomem lasów szczyty dwóch stromych wzgórz stojących bardzo blisko siebie i przedzielonych głęboką rozpadliną, powstałą jakby wskutek potężnego uderzenia. Dolina między tymi wzgórzami jest właściwie tylko wąskim wąwozem; gdy się patrzy z osady, oba pagórki wyglądają jak niesymetryczny stożek rozłupany na dwoje, o leciutko rozchylonych połowach. Trzeciego dnia po pełni spoglądałem na księżyc z otwartego dziedzińca przed domem Jima (kiedy go odwiedziłem, Jim miał już bardzo ładny dom zbudowany na wzór krajowych); otóż księżyc wstawał właśnie za owy-

mi wzgórzami; na tle jego rozproszonego blasku obie sylwety pagórków zarysowały się najpierw głęboką czernią, a potem na dnie rozdliny ukazała się prawie zupełnie okrągła tarcza rozżarzona do czerwoności i sunęła w górę między ścianami, aż wreszcie wypłynęła nad szczyty, jakby uchodząc z rozwartego grobu w ci-
chym tryumfie.

— Wspaniale — rzekł Jim u mego boku.
— Czy nie warto tego zobaczyć?

Uśmiechnąłem się na to pytanie pełne osobistej dumy; można było pomyśleć, że to Jim brał udział w urządzeniu tego widowiska, jedyne-
go w swoim rodzaju. Miał wpływ na tyle spraw w Patusanie! Spraw, które znajdowały się — rzekłbyś — tak dalece poza zasięgiem jego działalności jak ruchy gwiazd i księżyca.

Było to niepojęte, a jednak stanowiło właśnie odrębność roli, którą obaj ze Steinem narzuciliśmy niechcący Jimowi w tym jedynym celu, aby usunąć go z drogi, rozumie się, jego własnej. Zmierzaaliśmy przede wszystkim do tego, choć przyznaję, może istniała jeszcze in-

na przyczyna, która na mnie trochę wpłynęła. Miałem właśnie wrócić na pewien czas do Anglii i kto wie, czy nie pragnąłem, raczej podświadomie, osadzić, gdzieś Jima, rozumiecie? osadzić go gdzieś przed wyjazdem. Wracalem do kraju, a on właśnie stamtąd do mnie przybył ze swą nieszczęsną zgryzotą i niejasnymi uroszczeniami, jak człowiek dyszący pod ciężarem, który go przywalił wśród mgły. Nie mogę powiedzieć, abym go kiedykolwiek widział wyraźnie, nawet i dzisiaj, po naszym ostatnim spotkaniu; ale zdawało mi się, że im mniej go rozumiem, tym bardziej czuję się z nim związany w imię tych wątpliwości, które stanowią nierozłączną część ludzkiego poznania. O samym sobie wiedziałem niewiele więcej, a przy tym, powtarzam, wracałem do kraju, do tego kraju tak odległego, że wszystkie jego domowe ogniska zlały mi się w jedno ognisko, u którego najskromniejszy z nas ma prawo zasiąść. Tyśiące nas wędrują po obliczu ziemi, sławni lub nieznani, zarabiając za oceanem na rozgłos, na bogactwo lub tylko na suchy chleb; ale zdaje

mi się, że dla każdego z nas powrót do kraju musi być jakby zdaniem rachunku. Wracamy, aby stanąć wobec naszych zwierzchników, krewnych, przyjaciół, tych, którym jesteśmy winni posłuszeństwo, i tych, których kochamy. Lecz nawet ludzie niemający ani jednych, ani drugich, zupełnie swobodni, samotni, pozbawieni wszelkich więzów i obowiązków, nawet ci, których nie oczekują kochane twarze i dobrze znane głosy, muszą się spotkać z duchem przenikającym kraj, duchem, którego pełno jest pod niebem, w powietrzu, w dolinach i na pagórkach, na polach, w wodzie, w drzewach — z niemym przyjacielem, sędzią, i natchnionym doradcą. Mówcie sobie, co chcecie, lecz jeśli pragniemy w swym kraju zaznać radości, odetchnąć jego spokojem i spojrzeć w oczy jego prawdzie, musimy wrócić z czystym sumieniem. Może to wszystko wyda się wam po prostu sentymentalizmem; ale naprawdę bardzo niewielu z nas czuje ochotę lub też posiada umiejętność świadomego spojrzenia w głąb znanych nam wzruszeń. Zaprzątają nas kobie-

ty, które kochamy, mężczyźni, których szanujemy, tkliwość, przyjaźń, różne szczęśliwe sposobności, rozrywki! Ale faktem jest niezaprzeczonym, że nagrody swej trzeba dotknąć czystymi rękoma, aby nie obróciła się w zeschnięte liście i ciernie. Zdaje mi się, że ludzie zupełnie samotni, ci, co nie mają ani własnego ogniska, ani przywiązania bliskiej istoty, którzy powracają nie do domu, ale do kraju, aby zetknąć się z jego bezcielesnym, wiecznym, niezmiennym duchem, że oni właśnie rozumieją najlepiej jego surowość, jego zbawczą siłę i łaskę, która jest jego przedwieczne prawo do naszej wierności i do naszego posłuszeństwa. Tak! Nie wielu z nas to rozumie ale jednak czujemy to wszyscy, powtarzam: wszyscy bez wyjątku, albowiem ci, którzy tego nie czują, wcale się nie liczą. Każde źdźbło trawy ma swoje miejsce na ziemi skąd czerpie życie i siły; i tak samo człowiek jest wrośnięty w kraj, z którego czerpie swą wiarę wespół z życiem.

Nie wiem, jak dalece Jim to rozumiał, ale wiem, że czuł, czuł bezładnie, lecz dojmują-

co wymagania tej prawdy czy tego złudzenia, wszystko mi jedno, jak to nazwiecie, tak drobna jest między tym różnica i tak małą ma wagę. Cała rzecz w tym, że właśnie z powodu owych uczuć Jim wchodził tutaj w rachubę. Powiedział, że nigdy już do kraju nie wróci. Nigdy! Gdyby był zdolny do malowniczego okazywania swych uczuć ujrzelibyście, jak jest wstrząśnięty — i wami by też wstrząsnęło. Ale nie należał do ludzi tego pokroju, choć po swojemu umiał wcale dobrze wyrazić, co czuje. Na myśl o powrocie do kraju kostniał w rozpaczliwym bezruchu, z głową opuszczoną na piersi i bolesnym grymasem na ustach; jego niewinne błękitne oczy jarzyły się ciemnym blaskiem pod ściągniętymi brwiami, jak wobec czegoś oburzającego, czego niepodobna znieść. Miał dużo wyobraźni pod tym swoim twardym czepekem, okrytym gęstymi, wijącymi się włosami niby czapką. Jeśli chodzi o mnie, który wyobraźni nie posiadam (gdybym ją miał, wiedziałbym dziś więcej o Jimie), nie chcę dać wam do zrozumienia, iż spodziewałem się uj-

rzeć ducha Anglii unoszącego się nad białymi skałami Dover i usłyszeć, jak mnie zapyta, wracającego, że tak powiem, z całym kościem, co uczyniłem z moim młodszym bratem? Tak dalece mylić się nie mogłem. Wiedziałem dobrze, że Jim należy do tych, o których się nikt nie zatroszczy; widziałem, jak ludzie bardziej od niego wartościowi znikali, przepadali na zawsze, nie wywołując żadnego odruchu ciekawości lub smutku. Duch kraju, jak przystoi kierownikowi wielkich przedsiębiorstw, nie dba o jednostki. Biada maruderom! Istniejemy tylko póty, póki trzymamy się razem. A Jim się w pewien sposób zawieruszył; nie umiał dotrzymać kroku. Lecz zdawał sobie z tego sprawę tak głęboko, że to chwytало za serce. To owa zdolność w ludziach do siły czucia sprawia, że śmierć człowieka bardziej nas wzrusza niż śmierć drzewa. Tak się złożyło, że znalazłem się na drodze Jima i że jego los mnie wzruszył. To wszystko. Niepokoiło mnie, jak się Jim z tego wyplącze. Bolałoby mnie, gdyby na przykład zaczął pić. Ziemia jest taka mała, że lękałem

się, aby nie zaczepił mnie kiedyś utyłłany włó-
częga o niepewnym spojrzeniu i zapuchniętej
twarzy, w płóciennych trzewikach bez pode-
szew, z łachmanami powiewającymi naokoło
łokci, i aby mnie nie poprosił, na podstawie
dawnej znajomości, o pożyczenie pięciu dola-
rów. Znacie przecież okropny, bezceremonial-
ny sposób bycia tych straszydeł, przychodzą-
cych do nas ze swojej przyzwoitej przeszłości,
chrapliwy, niedbały ich głos, bezczelny wzrok
unikający naszych oczu; takie spotkania cięż-
sze są dla człowieka wierzącego w solidarność
obowiązującą nas w życiu niż dla księdza widok
grzesznika, który się nie kaja na łożu śmierci.
Jeżeli mam powiedzieć prawdę, było to jedyne
niebezpieczeństwo, jakiego się obawiałem i dla
Jima, i dla siebie; ale może tu gra rolę mój brak
wyobraźni, bo przecież mogło dojść do jeszcze
gorszych rzeczy, których nie byłem w stanie
przewidzieć. Jim nie pozwalał mi zapomnieć,
jak bujną ma fantazję, a tacy ludzie zapędzają
się dalej od innych, w jakimkolwiek idą kie-
runku, jakby tkwili u końca dłuższej liny na

niepewnym kotwowskiu życia. Tak właśnie bywa. A często się rozpijają. Może to moje przewidywania krzywdziły Jima. Któż by to mógł powiedzieć? Nawet Stein zdobył się tylko na orzeczenie, że Jim jest romantykiem. Na jakiej podstawie? Ja wiedziałem tylko, iż jest jednym z nas.

Opowiadam wam tyle o swych własnych instynktownych uczuciach i mętnych rozmyśleniach, ponieważ o Jimie tak mało mi już pozostaje do powiedzenia. Jim istniał dla mnie, a przecież dla was on tylko przeze mnie istnieje. Wziąłem go za rękę, przyprowadziłem i przedstawiłem go wam uroczyście. A czy wszystkie moje przyziemne obawy były uzasadnione? Nie chcę tego przesądzać, nawet dziś jeszcze. To wy raczej powinniście to wiedzieć, ponieważ przysłowie mówi, że kibice najlepiej się w grze orientują. Obawy moje okazały się płonne. Jim nie załamał się bynajmniej; przeciwnie, radził sobie wspaniale, szedł naprzód prosto jak strzała, i to w doskonałej formie, co dowodziło, że potrafi się zdobyć zarówno na wy-

trwałość, jak i na nagły wysiłek. Powiniennem być uszczęśliwiony, bo w tym zwycięstwie i ja odegrałem swą rolę; ale nie jestem z tego tak rad, jakbym się mógł spodziewać. Zapytuję siebie, czy rozmach Jima pomógł mu wydostać się z owej mgły, w której majaczyła jego postać o płynnych konturach — niezbyt wielka, ale interesująca — postać marudera tęskniącego bez ustanku za swym utraconym skromnym miejscem w szeregach. Zresztą ostatnie słowo jeszcze nie zostało wyrzeczone i prawdopodobnie nigdy wyrzeczone nie będzie. Może ludzkie życie trwa zbyt krótko, abyśmy mogli wypowiedzieć się w całej pełni, choć oczywiście to jest jedyny cel, który stale przyświeca ludziom podczas ich nieudolnego bełkotu. Przestałem już wyczekiwać tych ostatecznych słów, których dźwięk, gdyby go można dobyć, wstrząsnąłby niebem i ziemią. Nie starczy nam nigdy czasu na wypowiedzenie ostatniego słowa, słowa naszej miłości, naszych pragnień, wiary, wyrzutów sumienia, poddania się, buntu. Nie należy wstrząsać niebem i ziemią. W każ-

dym razie nie jest to dozwolone nam, którym się zdaje, że tyle prawd wiemy o niebie i o ziemi. Moje ostatnie słowa o Jimie będą krótkie. Twierdzę, że osiągnął wielkość; ale wielkie sprawy w opowiadaniu maleją, a raczej ludzie skłonni są pomniejszać je, słuchając. Mówiąc szczerze, ja nie dowierzam waszym duszom, a nie moim słowom. Potrafiłbym się zdobyć na wymowę, gdybym się nie obawiał, że głodziliście swą wyobraźnię, aby sycić ciało. Nie chciałbym was urazić; nie mieć złudzeń jest rzeczą godną szacunku, bezpieczną, korzystną i nudną. Ale i wy także musieliście kiedyś zaznać tej pełni życia, owego blasku czczej świetności, która wzniecana bywa starciem się błahostek. Blask ten jest równie zdumiewający jak żar iskier wydartych zimnemu głazowi — i równie krótkotrwały, niestety!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Zdobycie miłości, honoru, ludzkiego zaufania, a stąd rosnąca duma i siła są tematem do boha-

terskiej opowieści; ale na ludzkie umysły najbardziej oddziaływa strona zewnętrzna każdego powodzenia, a w powodzeniu Jima wcale strony tej nie było. Trzydzieści mil lasu odcinało jego tryumf od oczu obojętnego świata, a szum białej piany wzdłuż wybrzeża tłumił głos sławy. Rzeka cywilizacji rozdwaja się, jakby napotkała przeszkodę sto mil na północ od Patusanu; rozgałęzia się na wschód i południo-wschód, odcinając i pozostawiając w zaniedbaniu równiny i wąwozy tego kraju, jego stare drzewa i starą ludność — niby nieznaczną, kruszącą się wysepkę między dwojgiem ramion potężnego, zachłannego strumienia. Stare opisy podróży wymieniają Patusan dość często. W siedemnastym wieku kupcy udawali się tam po pieprz, gdyż namiętność do pieprzu zdawała się gorzeć jak miłosny płomień w piersi angielskich i holenderskich podróżników z czasów Jakuba Pierwszego⁵. Dokąd oni się nie zapuszczali po

⁵*Jakub I Stuart* (1566–1625) — król Szkocji (od 1567), który po śmierci królowej Elżbiety I jako jej krewny został królem Anglii (od 1603), co zapoczątkowało unię personalną Anglii ze Szkocją. [przypis edytorski]

ten pieprz! Dla worka pieprzu byliby bez najmniejszego wahania poderżnęli sobie nawzajem gardła i zaparli się własnych dusz, o które skądinąd dbali tak bardzo; dziwaczna uporczywość tego pragnienia zmuszała ich do wyzywania śmierci pod tysiącnymi postaciami: nieznanymi mórz, wstrętnych i dziwacznych chorób, ran, niewoli, głodu, zarazy i rozpaczy. Da libóg, że ci ludzie stawali się wielcy! Stawali się bohaterscy! A nawet i wzruszający w swej żądzy handlu strzeżonego przez nieugiętą śmierć, pobierającą myto od młodych i starych. Wyda je się nie do wiary, aby zwykła chciwość mogła wzbudzić tak nieustępliwe dążenie do celu, taką ślepą zawziętość w wysiłkach i poświęceniu. Zaiste, ci, którzy wystawiali na sztych swe zdrowie i życie, ryzykowali wszystko, co mieli, w zamian za bardzo nikłą nagrodę. Zostawiali swe kości bielejące po dalekich wybrzeżach, aby utorować drogę bogactwu płynącemu do kraju — dla żywych. Nam, ich lżej doświadczanym następcom, ukazują się wyolbrzymieni; nie widzimy w nich agentów handlowych,

lecz narzędzia przeznaczenia; parli w niezna-
ne, gnani nurtującym ich wewnętrznym gło-
sem, porywem tętniącym we krwi, marzeniem
o przyszłości. Byli nadzwyczajni i trzeba przy-
znać, że byli gotowi na wszystko, co nadzwyc-
zajne. Podkreślali to z upodobaniem, opisu-
jąc swoje cierpienia, wygląd mórz, obyczaje ob-
cych ludów i chwałę wspaniałych władców.

W Patusanie znaleźli mnóstwo pieprzu i by-
li pod wrażeniem chwały i mądrości panujące-
go tam sułtana; lecz jak się zdaje, po stuleciu
zmiennych stosunków handel zaczyna stopnio-
wo coraz bardziej w owym kraju słabnąć. Może
pieprz się wyczerpał. Tak czy inaczej, nikt już
się teraz Patusanem nie interesuje; wspaniałość
znikła z dworu władcy, a sułtanem jest młody
półgłówek o dwóch wielkich palcach u lewej
ręki i marnym, niepewnym dochodzie, wyci-
skanym z nędznej ludności i kradzionym przez
licznych wujów.

Tego dowiedziałem się naturalnie od Ste-
ina. Powiedział mi, jak się ci wujowie nazywa-
ją, i dał krótki opis życia i charakteru każde-

go z nich. Stein był naszpikowany wiadomościami o państwach tuziemczych jak urzędowy raport, tylko że jego informacje były daleko bardziej zajmujące. *Musiał* wiedzieć o wszystkim. Prowadził tak rozległy handel, a w niektórych obwodach, jak na przykład w Patusanie, tylko jego firma miała agencję za specjalnym pozwoleniem władz holenderskich. Rząd ufał jego dyskrecji, z układu zaś wynikało, że Stein ponosi całe ryzyko przedsięwzięcia, Ludzie, których tam obsadzał, zdawali sobie również z tego sprawę, ale widać Stein wynagradzał ich tak hojnie, że im się to opłacało. Rozmawiał ze mną zupełnie otwarcie przy rannym śniadaniu. Według jego wiadomości (ostatnie datowały się sprzed trzynastu miesięcy, jak to stwierdził z całą dokładnością), zwykłym stanem rzeczy w Patusanie była absolutna niepewność życia i mienia. Działy tam wrogie sobie siły, a jedną z nich był radza Allang, sprawujący władzę nad rzeką, najgorszy z wujów sułtana. Dopuszczał się na ludności zdzierstw, kradzieży i tak ciemiężył krajowców, jakby ich

chciał wytępić, ci zaś byli zupełnie bezbronni i nie mogli nawet szukać ucieczki w emigracji, bo jak zauważył Stein, „dokądby się udali i jakby się mogli z Patusanu wydostać?”. Z pewnością nawet nie pragnęli uciec. Świat (który jest otoczony wyniosłymi, nieprzebytymi górami) został oddany w ręce wysoko urodzonych; swojego radcę znali, pochodził z ich własnego królewskiego rodu. Miałem sposobność spotkać się później z tym dżentelmenem. Był to brudny, niski, zużyty starzec o złych oczach i ustach zdradzających słabość charakteru; co dwie godziny łykał pigułkę opium i wbrew podstawowym zasadom przyzwoitości chodził z odkrytą głową, przy czym włosy spadały mu w rozkudłanych strąkach na brudną, wyschniętą twarz. Udzielając audiencji, wdrapywał się na coś w rodzaju wąskiej estrady, która znajdowała się w hali przypominającej zniszczoną stodołę; przez szpary w zbutwiałej bambusowej podłodze można było dostrzec, dwanaście czy piętnaście stóp poniżej, kupy śmieci i wszelkich odpadków le-

żące pod domem. Wśród takich to okoliczności przyjął mnie radza, gdy w towarzystwie Jima złożyłem mu ceremonialną wizytę. Około czterdziestu osób było w sali przyjęć i ze trzy razy więcej w dole na wielkim dziedzińcu. Podczas audiencji panował ciągły ruch, ludzie wchodzili i wychodzili, popychając się i szepcząc za naszymi plecami. Kilku młodzieńców w jasnych jedwabiach gapiło się na nas z daleka; większość obecnych, niewolnicy i pośledniejsi dworzanie, była na wpół nago, w podartych sarongach, ubrudzona popiołem i błotem. Nie widziałem nigdy Jima wyglądającego tak poważnie, był bardzo opanowany; wyglądał tajemniczo i imponująco. Pośród tych wszystkich ciemnolicych ludzi jego białą odziana krzepka postać i połyskliwe fale jasnych włosów zdawały się pochłaniać cały blask słońca, który się sączył przez szczeliny i zamknięte okiennice tej mrocznej hali o ścianach z mat i dachu pokrytym strzechą. Jim wydał mi się stworzeniem nie tylko innego rodzaju, ale wprost z innej gliny. Gdyby ci ludzie nie wiedzieli, że przyje-

chał czółnem, mogliby pomyśleć, iż zstąpił do nich z chmur. A tymczasem przybył w popękanym czółenku, siedząc na blaszanej skrzynce, którą mu pożyczyłem; nogi miał ściśnięte i siedział prawie bez ruchu, aby czółna nie wywrócić, a na jego kolanach leżał rewolwer systemu używanego w marynarce (dostał go ode mnie przed wyjazdem). Czy to wskutek zrządzenia Opatrzności, czy jakiejś upartej myśli, co zupełnie na Jima patrzyło⁶, czy po prostu wskutek instynktownej roztropności Jim postanowił rewolweru nie nabijać. Tak oto jechał w górę rzeki do Patusanu. Trudno o coś bardziej prozaicznego i niebezpiecznego od tej przeprawy, tak szalonej a tak samotnej. Dziwny jest fatalizm, który nadawał wszystkim czynom Jima charakter ucieczki, dezercji dokonanej pod wpływem nieobliczalnego porywu, skoku w nieznanne.

Co mnie najbardziej w tym wszystkim uderza, to właśnie przypadkowość. Kiedy, obaj ze

⁶co zupełnie na Jima patrzyło (przestarz.) — co było zupełnie podobne do [zachowania] Jima. [przypis edytorski]

Steinem — mówiąc w przenośni — unieśliśmy Jima i przerzuciliśmy go przez mur bez wielkich ceremonii, żaden z nas nie miał wyraźnego pojęcia, co się może znajdować po tamtej stronie. Pragnąłem wówczas tylko doprowadzić do zniknięcia Jima. Charakterystyczne jest, że Steinem powodowały motywy natury uczuciowej. Powziął myśl, aby spłacić (sądzę, że w naturze) pewien stary dług — o którym nie zapomniał. Przez całe życie okazywał istotnie szczególną serdeczność wszystkim, którzy pochodzili z wysp brytyjskich. Wprawdzie nieżyjący już dobroczyńca Steina był Szkotem, i to do tego stopnia, że się nazywał Aleksander Mac Neil, Jim zaś pochodził z okolic leżących dobry szmat na południe od Szkocji, lecz z odległości sześciu czy siedmiu tysięcy mil Wielka Brytania, choć bynajmniej nie pomniejszona, ukazuje się nawet własnym dzieciom w znacznym skrócie, odejmującym wagę podobnym szczegółom. Można to Steinowi wybaczyć; jego zamiary, o których mi napomykał, były tak hojne, iż prosiłem go z całą powagą, aby do czasu

zachował je w tajemnicy. Czułem, że względy osobistej korzyści nie powinny oddziaływać na Jima, że nie należy go nawet narażać na ryzyko takiego wpływu. Mieliśmy przed sobą rzeczywistość innego rodzaju. Jim potrzebował schronienia; to schronienie, okupione niebezpieczeństwem, należało mu umożliwić — i nic poza tym.

Pod wszystkimi innymi względami byłem z Jimem zupełnie otwarty, a nawet (jak mi się wówczas zdawało) przesadzałem wobec niego groźne warunki przedsięwzięcia. W istocie zaś nie byłem w całej pełni świadomy niebezpieczeństw, jakie go czekały; pierwszy dzień jego pobytu w Patusanie ledwie że się nie stał ostatnim, co byłoby nastąpiło, gdyby Jim zachował się mniej lekkomyślnie lub też mniej twar- do względem samego siebie: gdyby był zechciał łaskawie nabić rewolwer. Pamiętam, że kiedy rozwijałem przed Jimem nasze szacowne plany, dążące do tego, aby mu zapewnić schronienie, jego uparta, lecz znużona rezygnacja przemieniała się stopniowo w zdumienie, zaintereso-

wanie, podziw i wreszcie zapal chłopięcy. To była właśnie owa sposobność, o której marzył. I nie miał pojęcia, czym sobie na to zasłużył, abym ja... Niech go lichy, jeśli rozumie, czemu zawdzięcza... I to właśnie Stein, kupiec Stein, który... ale to naturalnie tylko dzięki mnie... Przerwałem mu. Nie umiał się wypowiedzieć, a jego wdzięczność sprawiała mi niezrozumiałą ból. Oświadczyłem, że jeśli istotnie zawdzięcza komuś tę szczęśliwą okazję, to wyłącznie staremu Szkotowi, o którym nigdy nie słyszał i który umarł przed wielu laty; niewiele wspomnień po nim zostało, pamiętano tylko jego stentorowy⁷ głos i pewnego rodzaju szorstką uczciwość. Poza Mac Neilem nie było nikogo, komu by się należały podziękowania Jima. Stein zwracał młodemu człowiekowi pomoc, którą sam otrzymał za swoich młodych lat, a co do mnie, to ja tylko wymieniłem jego nazwisko. Jim się na to zaczerwienił i miętosząc w pal-

⁷stentorowy głos — głos gromki, donośny jak głos Stentora, herolda opisanego w *Iliadzie*. [przypis edytorski]

cach skrawek papieru, zauważył nieśmiało, że ja mu przecież zawsze ufałem.

Powiedziałem, że tak jest w istocie, i po chwili milczenia dodałem, że pragnąłbym, aby brał ze mnie przykład i ufał samemu sobie.

— A pan myśli, że ja tego nie robię? — zapytał niespokojnie i dokończył szeptem, że przede wszystkim trzeba mieć jakąś sposobność, aby się móc czymkolwiek wykazać. Wkrótce twarz jego się rozjaśniła i oświadczył głośno, iż nie da mi okazji do żałowania pokładanej w nim ufności, która... której...

— Niechże pan mnie zrozumie — przerwałem. — Nie w pana mocy jest sprawić, abym ja czegokolwiek żałował. Wszelkie żale z mej strony są wykluczone, a jeśliby do tego doszło, tylko mnie samego by to obchodziło. — Oświadczyłem poza tym, iż chcę, aby zrozumiał, że ten układ, że ten... ten — eksperyment jest jego własną sprawą; jedynie on zań odpowiada i nikt więcej.

— Ale przecież... przecież — wyjąkał — to jest właśnie to, o co mi...

Poprosiłem go, żeby nie był głupi, na co zrobił minę bardziej zdziwioną niż kiedykolwiek; dodałem, iż jest na najlepszej drodze do tego, aby sobie zupełnie życie uniemożliwić... Zmieszał się i zapytał:

— Czy pan tak naprawdę myśli? — a po chwili dodał z ufnością: — Ale przecież nie dawałem się, co?

Niepodobna było się gniewać na niego; nie mogłem powstrzymać śmiechu i rzekłem, iż w dawnych czasach ludzie postępujący tak jak on kończyli na tym, że zostawali pustelnikami na puszczy.

— Do licha z pustelnikami! — zawołał Jim z porywcznością pełną wdzięku. Natomiast, oczywiście, nie miał nic przeciw puszczy.

— Bardzo się z tego cieszę — odrzekłem i oświadczyłem mu, że tam właśnie ma się udać; mogłem go zapewnić, iż w puszczy będzie prowadził życie bardzo ożywione.

— Tak, tak — rzekł z entuzjazmem.

Przypomniałem mu, że przecież pragnął się usunąć i zatrzaskać drzwi za sobą...

— Pragnąłem się usunąć? — przerwał mi i dziwnie sposepniał, jakby cień przelotnej chmury ogarnął go nagle od stóp do głów. Ileż on miał jednak wyrazu! — Usunąć się? — powtórzył z goryczą. — Nie powie pan chyba, że o to zrobiłem gwałt. I do licha! potrafiłbym dalej tak żyć, ale pan pokazuje mi wyjście.

— Tak jest, a zatem w drogę! — odrzekłem. Mogłem przyrzec mu oczywiście, że podwoje zatrzasną się za nim na amen. Jego los, jakimkolwiek będzie, pozostanie nieznany, ponieważ mimo rozprzężenia panującego w Patu-
sanie uważają ten kraj za niedojrzały do interwencji. Z chwilą kiedy Jim tam się znajdzie, wszyscy zapomną o nim tak zupełnie, jak gdyby nigdy nie istniał. Będzie musiał polegać wyłącznie na samym sobie, a przede wszystkim stworzyć sobie grunt pod nogami.

— Tak jakbym nigdy nie istniał... Na miły Bóg, o to właśnie mi chodzi! — szepnął do siebie. Jego oczy, wpatrzone we mnie, błyszczały.

Rzekłem w końcu, że jeśli zrozumiał dokładnie okoliczności tej sprawy, niech skoczy

w pierwszy lepszy powozik i pojedzie do Steina po ostatnie wskazówki. Wypadł z pokoju, nim jeszcze skończyłem mówić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Wrócił dopiero nazajutrz. Zatrzymano go na obiedzie i na noc. Oświadczył, że pan Stein jest najcudowniejszym człowiekiem na świecie. Jim miał w kieszeni list do Corneliusa („To ten facet, którego trzeba będzie wysiudać” — objaśnił, przy czym uniesienie jego na chwilę przygasało) i pokazał mi z radością srebrny pierścień, taki, jakich używają krajowcy, bardzo wytarty, z nikłymi śladami rytych ozdób.

Ów pierścień miał służyć za list rekomendacyjny do pewnego staruszka imieniem Doramin, jednego z najpoważniejszych ludzi w Patusanie, wielkiej figury; pan Stein przyjaźnił się z nim tam, gdzie go spotkały te wszystkie przygody. Pan Stein nazywa Doramina „kolegą z pola bitwy”. To ładnie powiedziane, prawda?

Czy nie świetnie mówi pan Stein po angielsku? Powiedział, że nauczył się angielskiego na Celebesie, to nie do uwierzenia! Strasznie zabawne, prawda? Pan Stein mówi z takim jakimś akcentem, jakby przez nos, czy zauważyłem? Właśnie ten stary Doramin dał pierścień panu Steinowi. Zamienili dary, żegnając się po raz ostatni. Była to jak gdyby obietnica wiecznej przyjaźni. Jim uważa, że to jest piękne, czy nieprawda? Obaj razem musieli się ratować ucieczką, kiedy ten Mohammed... Mohammed... jak on się tam nazywał, został zabity. Muszę naturalnie znać tę historię. To było doprawdy haniebane, co?

Plótł tak bez końca, zapominając o jedzeniu (zastał mnie przy śniadaniu), z nożem i widelcem w ręku, lekkimi rumieńcami na policzkach i znacznie pociemniałymi oczyma, co było u niego zawsze oznaką podniecenia. Ten pierścień jest czymś w rodzaju listu wierzytelnego („Zupełnie, jakby się czytało o tym w książkach” — wtrącił z uznaniem) i Doramin zrobi dla Jima wszystko, co tylko będzie mógł. Pan

Stein ocalił życie temu Malajowi przy jakiejś sposobności, był to zwykły przypadek, według słów pana Steina, ale on, Jim, ma o tym własne zdanie. Pan Stein to jest właśnie ten rodzaj człowieka, który czyha na takie przypadki. Ale mniejsza z tym. Czy to był przypadek, czy nie, w każdym razie okoliczność ta ogromnie się Jimowi przysłuży. Tylko daj Boże, aby poczciwy staruszek nie przespacerował się tymczasem na tamten świat! Pan Stein nie umiał nic o tym powiedzieć. Już przeszło rok nie było stamtąd żadnych wiadomości; tarmoszą się tam wciąż nie na żarty, a rzeka jest niedostępna. To do-
prawdy bardzo niewygodne; ale nie ma strachu, już on, Jim, potrafi wśliznąć się tam przez jakąś szparkę.

Jego radosna gadatliwość zrobiła na mnie przykre wrażenie, prawie mnie przestraszyła. Paplał jak wyrostek w przeddzień wakacji, po których się spodziewa rozkosznych przygód; a taki stan ducha u dorosłego człowieka wśród podobnych okoliczności miał w sobie coś osobliwego; sprawiało to wrażenie, że Jim jest ner-

wowoy, że tkwi w tym jakieś niebezpieczeństwo. Chciałem go właśnie zakląć, aby się odniósł poważnie do rzeczy, gdy nagle położył nóż i widelec (zaczął właśnie jeść, a raczej jakby nieświadomie połykać jedzenie) i jął czegoś szukać naokoło swego talerza. Pierścień! pierścień! Gdzież, u diabła... Aha! jest. Zamknął go w swej okazałej dłoni i zaczął po kolei chować go do wszystkich kieszeni. Na Boga! żeby go tylko nie zgubić. Zamyślił się poważnie. Aha! zawiesi go sobie na szyi. I zabrał się do tego natychmiast, wyciągnąwszy z kieszeni sznurek wyglądający na kawał bawełnianego sznurowadła. O tak. W porządku. To by dopiero był kawał, gdyby... Dostrzegł jakby po raz pierwszy moją twarz i to go trochę uspokoiło. Oświadczył z naiwną powagą, że prawdopodobnie nie zdaje sobie sprawy, jaką on wielką wagę przywiązuje do tego symbolu. Przecież to zadatek przyjaźni; a dobra to rzecz mieć przyjaciela. On coś wie o tym. Skinął ku mnie wyraziście głową, a gdy uczyniłem gest, jakbym się do niczego nie przyznawał, oparł głowę na rękę i siedział

tak przez chwilę, milcząc i bawiąc się w zamyśleniu okruszynami chleba na obrusie.

— Zatrzasnąć drzwi za sobą — to świetnie powiedziane — zawołał; zerwał się i zaczął chodzić po pokoju, przypominając mi zarysem ramion, sposobem trzymania głowy, porywczym, nierównym krokiem ową noc, gdy tak chodził, spowiadając się, tłumacząc, czy jak tam chcecie, a przede wszystkim żyjąc, żyjąc przed moimi oczami w cieniu swej hańby i wysilając całą swą podświadomą chytryść, która umiała wysnuć pociechę z samego źródła zgryzoty. Taki sam duch ożywiał go dzisiaj, taki sam, a zarazem inny, niby płochy towarzysz, który dziś prowadzi po właściwej ścieżce, a jutro, tym samym krokiem, z tym samym wyrazem oczu, z tym samym impetem, powiedzie na bez nadziejne manowce. Krok Jima był pewny, a jego błądzące pociemniałe oczy przebiegały pokój, jakby czegoś szukając. Stąpienie jednej z jego nóg rozlegało się głośniejsz, z pewnością wskutek jakiejś wady w obuwiu, co robiło dziwne wrażenie, jakby kulał niewidocznie. Wepchnął rę-

kę głęboko w kieszeń spodni, drugą zaś machnął nagle nad głową:

— Zatrzasnąć drzwi! — krzyknął. — Na to właśnie czekałem. Ja jeszcze pokażę... Ja... Jestem gotów na każdą, psiakrew, awanturę... Marzyłem o tym... Miły Boże! Wydostać się stąd. Miły Boże... To jest nareszcie sposobność... Niech pan tylko poczeka! Ja jeszcze...

Potrząsnął głową nieustraszenie; wyznaję, iż po raz pierwszy i ostatni w ciągu naszej znajomości spostrzegłem niespodzianie, że mam już Jima dosyć. Po co ta pusta gadanina? Rozbijał się po pokoju, wywijając idiotycznie ręką, a od czasu do czasu chwycił się za pierś, szukając pod ubraniem pierścionka. To uniesienie nie miało najmniejszego sensu u człowieka, który zamierzał objąć posadę agenta handlowego, i to w miejscowości, gdzie wcale handlu nie było. Po co rzucać wyzwanie całemu światu? Powiedziałem mu, że taki stan ducha nie jest odpowiedni w chwili, gdy się człowiek podejmuje jakiegokolwiek zadania, i że to, co

mówię, odnosi się nie tylko do niego, ale do wszystkich. Stał nade mną bez ruchu.

— Tak pan uważa? — zapytał, bynajmniej nie zbity z tropu, z uśmiechem, w którym spostrzegłem nagle coś na kształt zuchwalstwa. Ale ja przecież byłem starszy od niego o lat dwadzieścia. Młodość *jest* zuchwała; to jej prawo, to jest nieuniknione; młodość powinna okazywać, że jest pewna siebie. A na tym świecie pełnym zwątpienia każde zaznaczenie swej pewności jest zuchwałością, jest wyzwaniem. Jim odszedł w daleki kąt pokoju i wracając, rzucił się na mnie, w przenośni, jakby mnie chciał rozszarpać. Oświadczył, że mówię tak, ponieważ nawet ja, od którego doznał tyle dobrego, nawet ja, pamiętam... pamiętam mu to, co się zdarzyło. A cóż dopiero mówić o innych, o... o świecie? Więc cóż w tym dziwnego, że chce zniknąć, że postanowił zniknąć, usunąć się zupełnie, na Boga! A ja mu prawię o odpowiednim stanie ducha!

— To wcale nie ja pamiętam ani też świat pamięta! — krzyknąłem. — To pan, pan sam wciąż o tym pamięta.

Nie zmienił postawy i ciągnął zapalczywie:
— Zapomnieć o wszystkim, o wszystkim, wszystkich... — głos jego opadł — prócz pana — dodał.

— O mnie także, jeśli to panu może pomóc — rzekłem również po cichu.

Milczeliśmy czas jakiś apatycznie, jakby do cna wyczerpani. Potem Jim zaczął mówić spokojnie, że pan Stein polecił mu poczekać z jakiś miesiąc dla zbadania, czy będzie mógł tam pozostać, nim zacznie budować dla siebie nowy dom; trzeba unikać „marnych wydatków”. Pan Stein używa takich dziwnych wyrażeń! „Marne wydatki” — to pyszne! Naturalnie, że Jim tam pozostanie. Wytrwa. Byle się tylko tam wśliznął, to mu wystarczy; ręczy, że pozostanie na miejscu. Nigdy się stamtąd nie ruszy. Łatwo mu przyjdzie tam zostać.

— Niech pan nie będzie zuchwały — rzekłem, zaniepokojony jego groźnym tonem. —

Jeśli pan tylko dość długo pożyje, będzie pan chciał powrócić.

— Powrócić do czego? — zapytał z roztrągnięciem, wpatrując się w zegar na ścianie.

Milczałem przez chwilę.

— Więc to na zawsze? — rzekłem.

— Na zawsze — powtórzył marzącym tonem, nie patrząc na mnie; nagle ogarnęła go chęć działania. — Słowo daję, druga godzina, a ja wyruszam o czwartej!

To była prawda. Brygantyna⁸ Steina odpływała na zachód tegoż popołudnia; Jim miał odbyć na niej podróż, a żadne rozkazy co do opóźnienia wyjazdu nie zostały wydane. Przypuszczam, że Stein o tym zapomniał. Jim pobiegł po swoje rzeczy, a ja się udałem na mój statek, gdzie mnie obiecał odwiedzić w drodze na zewnętrzną redę. Zjawił się niebawem w wielkim pośpiechu. W ręku trzymał małą skórzaną walizkę, która była zupełnie nieodpowiednia; ofiarowałem mu swój stary żelazny kufer, rze-

⁸brygantyna — typ dwumasztowego żaglowca, posiadający na przednim maszcie ożaglowanie rejowe, a na tylnym ożaglowanie skośne. [przypis edytorski]

komo nieprzemakalny, a w każdym razie nieprzepuszczający wilgoci. Jim przepakował rzeczy w taki sposób, że wsypał zawartość walizy do kufra jak worek pszenicy. Zobaczyłem w trakcie tego przesypywania trzy książki: dwie małe w ciemnych oprawach i gruby zielono-złoty tom — tanie wydanie Szekspira.

— Pan to czyta? — zapytałem.

— Aha. Nic tak człowieka nie krzepi — rzekł pośpiesznie.

Uderzyło mnie to zdanie, ale nie było czasu na rozmowę o Szekspirze. Ciężki rewolwer i dwa małe pudełka naboju leżały na stole w kajucie.

— Proszę, niech pan to weźmie — rzekłem. — To panu pomoże tam pozostać. — Ledwie wymówiłem te słowa, spostrzegłem, że mogą mieć ponure znaczenie. — Tam się przedostać — poprawiłem się ze skruchą.

Ale mętne aluzje nie czepiały się Jima; podziękował mi z wylaniem⁹ i wypadł, wołając

⁹z wylaniem (daw.) — wylewnie; serdecznie, dając wyraz uczuciom. [przypis edytorski]

przez ramię do widzenia. Usłyszałem zza burty głos jego poganiający wioślarzy; wyjrzawszy przez tylny iluminator, zobaczyłem łódź okrążającą konchę rufy. Jim siedział pochylony naprzód, nagłąc do pośpiechu wioślarzy głosem i ruchami, a ponieważ trzymał jeszcze rewolwer i zdawał się mierzyć w ich głowy, nie zapomnę nigdy przerażonych twarzy czterech Jawajczyków ani szalonego tempa ich wiosła, które uniosły tę wizję sprzed moich oczu. Odwróciwszy się, ujrzałem zaraz na stole oba pudełka z nabojami. Zapomniał je zabrać.

Kazałem natychmiast spuścić gig¹⁰, lecz wioślarze Jima, przekonani, że ich życie wisi na włosku, póki mają w łodzi tego wariata, posuwali się z taką szybkością, że nim się znalazłem na pół drogi między obu statkami, ujrzałem, iż Jim wspina się na barierę, a za nim dźwigają jego bagaż. Wszystkie żagle brygantyny były odwiązane, żagiel główny postawiony, a wyciąg kotwiczny zaczynał już szczękać, gdy wstąpiłem na pokład; szyper, mały, zwin-

¹⁰*gig* — wiosłowa łódź okrętowa. [przypis edytorski]

ny Metys liczący około czterdziestki, w granatowym flanelowym ubraniu, podszedł do mnie z ugrzecznionym uśmiechem. Miał ruchliwe oczy, okrągłą twarz cytrynowego koloru i cienki czarny wąsik okalający grube ciemne wargi. Okazało się, że — mimo zadowolonej z siebie i wesołej miny — Metys ma usposobienie markotne. W odpowiedzi na jakąś moją uwagę (Jim właśnie wówczas poszedł na dół na chwilę) rzekł: „Ach tak, Patusan!” Zawiezie „tego pana” do ujścia rzeki, ale „za nic na rzekę nie wstąpi”. Płynna angielszczyzna Metysa brzmiała, jakby ją wariat skompilował ze słownika. Gdyby pan Stein zażądał, aby „wstąpił na rzekę”, on (Metys) byłby „z całą czcią” (przypuszczam, że chciał powiedzieć: z całym szacunkiem, ale licho go wie) — „byłby z całą czcią przeciwstawił się temu ze względu na bezpieczeństwo posiadania”. Gdyby zaś na to nie zareagowano, byłby zgłosił „dymisję do opuszczenia statku”. Przed dwunastu miesiącami odbył tam swoją ostatnią podróż; choć pan Cornelius „przebłagał wiele ofiar” panu radcy Allangowi i „głów-

nym ludnościom” na warunkach, które czyniły z handlu „sidła i popiół w ustach”, jednak mimo to jego (Metysa) statek był ostrzeliwany z lasów przez „nieodpowiednie oddziały”, i to w ciągu całej podróży w dół rzeki. Załoga „z powodu narażenia na członki pozostała, milcząc, w kryjówkach”, toteż brygantyna ledwie że nie osiadła na mieliźnie u ujścia rzeki, gdzie byłaby „znikoma poza ludzkim działaniem”. Na szerokiej, prostodusznej twarzy Metysa walczyły z sobą dwa uczucia: gniewna odraza do tych wspomnień i duma z własnej płynnej wymowy, której się przysłuchiwał z upodobaniem. Marszczył się i rozpromieniał, na przemian, śledząc z zadowoleniem na mojej twarzy niezaprzeczone wrażenie wywołane jego frazeologią. Ciemne zmarszczki przebiegały chyżo po spokojnym morzu, a brygantyna, z przednim topslem¹¹ przy maszcie i głównym bomem¹² pośrodku okrętu, wśród lek-

¹¹*topsel* — dodatkowy, górny, trójkątny żagiel przymasztowy, podnoszony przy niezbyt silnym wietrze. [przypis edytorski]

¹²*bom* — pozioma belka zamocowana jednym końcem do masztu, służąca do przymocowywania dolnej krawędzi żagla. [przypis edytorski]

kich powiewów wydawała się oszołomiona. Metys opowiadał dalej, zgrzytając zębami, że radza jest „śmieszna hiena” (nie mam pojęcia, skąd on tę hienę wytrzasnął), a o kimś innym wyraził się, że jest bez porównania bardziej obłudny niż „broń krokodyla”. Śledząc jednym okiem krzątanie się załogi na dziobie, puścił wodze gadulstwu i pytlował gładko, porównując Patusan do „klatki z dzikimi bestiami, rozjuszonymi przez długą zatwardziałość”. Pewno chciał powiedzieć: bezkarność. Nie ma bynajmniej zamiaru, wołał, „wystawić się na widok, żeby go wplątali umyślnie w rozbójnictwo”. Przeciągłe okrzyki, nadające tempo ludziom wyciągającym kotwicę, skończyły się i Metys zniżył głos. „Mam dość za wiele po uszy tego Patusanu” — zakończył z energią.

Opowiadano mi później następującą historię: wskutek swej nierozwagi Metys doprowadził do tego, że go przywiązano za szyję powrozem z rotanu¹³ do słupa wbitego w dziurę z bło-

¹³*rotan* (mal.) — *rattan*, ogólne określenie pnących palm z lasów tropikalnych Azji Płd.-Wsch., używanych do wyrobu plecionek. [przypis edytorski]

tem przed domem radży. Spędził większą część dnia i całą noc w tej niezbyt miłej pozycji, ale są wszelkie dane po temu, że owa historia była pomyślana jako coś w rodzaju żartu. Metys zamyślił się posepnie, rozpamiętywał pewno te okropne wspomnienia, po czym powiedział coś kłótliwym tonem do majtka, który szedł na rufę ku sterowi. Po chwili znów do mnie się zwrócił, oświadczając apodyktycznie i spokojnie, że zabierze tego pana do ujścia rzeki Batu Kring („miasto Patusan jest położone wewnętrznie trzydzieści mil” — jak się wyraził). Ale według niego, ciągnął dalej, a zamiast pytlować jak przedtem przybrał znużony ton pełen głębokiego przeświadczenia, według niego ten pan jest już „na podobieństwo trupa”.

— Co? Co pan mówi? — zawołałem.

Przybrał przerażająco dziką postawę i udał znakomicie, że zadaje komuś cios w plecy. „Zupełnie jak trup zesańca” — wyjaśnił z nieznośnie zarozumiałą miną, właściwą ludziom jego rasy, gdy sobie wyobrażają, że dokonali czegoś niezwykle mądrego. Dostrzegłem za jego ple-

cami Jima, który uśmiechał się do mnie w milczeniu i podniósł rękę, zatrzymując wykrzyknik na moich ustach.

Metys, rozdęty własną wielkością, wydawał donośnym głosem rozkazy, reje obracały się, skrzypiąc, ciężki bom obrócił się z rozmachem, a my staliśmy obaj z Jimem jakby sam na sam, z lewej strony wielkiego żagla. Uścisnęliśmy sobie ręce i zamieniliśmy ostatnie spieszne słowa. Nie czułem już w sercu tej jakiejś tępej urazy, która mi jednak nie przeszkadzała przemawiać się losem Jima. Idiotyczna paplanina Metysa nadała nędznym niebezpieczeństwom czyhającym na Jima więcej realności aniżeli poważne wyjaśnienia Steina. Przy tej okazji znikł pewnego rodzaju formalizm, który przejawiał się zawsze w naszych stosunkach; zdaje się, że nazwałem Jima kochanym chłopcem, a on znów, usiłując wyrazić mi swą wdzięczność, urwał w pół zdania na słowach: „mój stary”, jak gdyby grożące mu niebezpieczeństwa, przeciwstawione mym latom, zrównały nas niejako pod względem wieku i uczuć. Nastąpiła chwila prawdziwego i głę-

bokiego porozumienia, które było nieoczekiwane i krótkotrwałe, niby przelotna wizja jakiejś wiecznej, jakiejś zbawczej prawdy. Jim starał się usilnie mnie uspokoić; rzekłbyś, z nas dwóch on był dojrzały.

— Wszystko będzie dobrze — mówił szybko i ze wzruszeniem. — Obiecuję panu, że będę dbał o siebie. O tak! — nie pozwolę sobie na żadne ryzyko, choćby najmniejsze. Oczywiście. Postanowiłem wytrwać. Niech się pan o mnie nie martwi. Słowo daję, mam wrażenie, że nic mi się złego stać nie może. To ci dopiero szczęście, co się zowie! Nie chciałbym zmarnować takiej wspaniałej okazji.

Wspaniałej okazji! No tak, to *była* wspaniała okazja, ale każda okazja jest tym, co człowiek z niej potrafi zrobić, a cóż ja mogłem przewidzieć?... Tak jak to Jim powiedział, nawet ja, nawet ja pamiętałem mu jego... jego nieszczęście. To była prawda. I najlepsze, co mógł zrobić — to odejść.

Mój gig znalazł się wkrótce za brygantyną; u tylnej bariery stał Jim na tle blasków za-

chodu; widziałem, jak wznosił czapkę wysoko ponad głowę. Dosłyszałem niewyraźny okrzyk:

— Dojdą... pana... o mnie... wieści.

O mnie czy ode mnie, nie umiem na pewno powiedzieć. Zdaje mi się, że o mnie. Blask morza mnie oślepił i nie mogłem dojrzeć Jima wyraźnie; to już mój los, że go nigdy dojrzeć wyraźnie nie mogę; ale zapewniam was, że nie wyglądał ani trochę „na podobieństwo trupa”, jak się o nim wyraził kraczący szyper. Dostrzegłem twarz tego Metysa-nieboraka wyczierającą Jimowi spod łokcia; była koloru i kształtu dyni. Metys też podniósł ramię, jakby chciał zadać cios z góry. *Absit omen!*¹⁴

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Patusańskie wybrzeże (zobaczyłem je prawie w dwa lata później) jest równe, posępne i ciągnie się wzdłuż mglistego oceanu. Spod ciemnozielonego listowia krzewów i pnączy, odkrywających niskie skały, wypływają czerwone smugi

¹⁴*Absit omen!* (łac.) — Oby to nie było złą wróżbą! [przypis edytorski]

niby katarakty¹⁵ rdzy. Bagniste równiny ścielą się przy ujściu rzek, a za rozległymi lasami widać poszarpane, błękitne szczyty. Na pełnym morzu łańcuch wysp o ciemnych i pokruszonych sylwetach rysuje się w wiecznej, rozświeconej mgle jak resztki muru zwalonego przez morze.

U jednej z odnóg ujścia Batu Kring leży wieś rybacka. Rzeka, zamknięta przez tak długi czas, była już wówczas dostępna i mały szkuner Steina, który mnie przywiózł, płynął mozolnie w górę na fali trzech przyływów, nie narażając się na ostrzeliwanie ze strony „nieodpowiednich oddziałów”. Taki stan rzeczy należał już do historii starożytnej, o ile można było wierzyć staremu naczelnikowi rybackiego osiedla, który przybył na pokład poniekąd w roli pilota. Byłem drugim z rzędu białym człowiekiem, jakiego w ogóle widział; mówił do mnie z zaufaniem i prawie wyłącznie na temat pierwszego białego, z którym się zetknął. Nazywał go tuanem Jimem, a ton jego relacji był dziwną mie-

¹⁵*katarakta* — próg rzeczny. [przypis edytorski]

szaniną poufałości i grozy. Opowiadał, że cała jego wieś pozostaje pod szczególną opieką tego władcy, co świadczyło, iż biały tuan uraz nie przechowywał. Jim uprzedził mnie, że wkrótce o nim usłyszę, i tak się też stało. Słyszałem o nim rzeczywiście. Rozpowiadano już historię o tym, jak przyływ zjawił się dwie godziny przed czasem, aby ułatwić Jimowi podróż w górę rzeki. Gadatliwy staruszek sam wówczas sterował i nie mógł się nadziwić owemu zjawisku. W dodatku chwała spadła wyłącznie na jego rodzinę. Syn jego i zięć wiosłowali; ale byli to młodzieńcy bez żadnego doświadczenia i nie spostrzegli szybkości, z jaką posuwało się czółno, póki im nie zwrócił uwagi na ów zdumiewający fakt.

Przybycie Jima do rybackiej wsi stało się błogosławieństwem, ale — jak to nieraz się zdarza — błogosławieństwo to poprzedziły przerażające wypadki. Tak wiele pokoleń minęło od czasu, gdy ostatni biały człowiek nawiedził rzekę, że zaginęła nawet tradycja tego faktu. Niepokojące było pojawienie się istoty, która zstą-

piła między mieszkańców wioski i żądała nieustępliwie, aby ją zawieźć w górę rzeki do Patusanu; naleganie owej istoty było groźne, a hojność więcej niż podejrzana. Nikt nigdy o takim żądaniu nie słyszał. To się nigdy jeszcze nie zdarzyło. Co powie radza? Co mógłby im za to zrobić? Większą część nocy spędzili na naradzie, lecz bezpośrednie niebezpieczeństwo, grożące ze strony dziwnego człowieka, wydało im się tak wielkie, że zajęli się w końcu przygotowaniem wywrotnego czółna. Kobiety rozpaczały głośno, gdy odbili od brzegu. Jakaś nieulękła stara wiedźma przeklęła nieznajomego.

Zasiadł w czółnie, jak wam już mówiłem, na swym blaszanym kufrze, piastując nienabity rewolwer na kolanach. Ze względu na wywrotność czółenka musiał siedzieć bardzo ostrożnie, co jest wprost wyjątkowo męczące — i tak wjechał do kraju, który miał rozbrzmiewać chwałą jego cnót, od modrych szczytów w głębi lądu aż do białej wstęgi piany u wybrzeża. Minęli pierwszy zakręt; Jim stracił z oczu morze, którego fale w nie ustającym nigdy wy-

siłku dźwigają się, opadają i nikną, by powstać znowu, istny obraz walczącej ludzkości — i ujrzał naprzeciw siebie nieporuszone lasy, wrosłe głęboko w ziemię, wznoszące się ku słonecznemu światłu, wieczne w tajemniczej potędze swej tradycji jak samo życie. A upragniona przez Jima sposobność towarzyszyła mu, zakwefiona, niby wschodnia oblubienica, czekająca, aby władca jej podniósł zasłonę. Jim był również dziedzicem tajemniczej i potężnej tradycji! Mówił mi jednak, że nigdy w życiu nie czuł się taki przybity i znużony jak wówczas w tym czólnie. Jedynym ruchem, na który śmiał sobie pozwolić, było sięgnięcie jakby ukradkiem po skorupę kokosowego orzecha, która pływała między jego nogami; wylewał nią po trochu wodę ostrożnym, powściągliwym ruchem. Przekonał się, jak twardo siedzieć na pokrywie blaszanej skrzyni. Zdrowie miał niesłychane, lecz w ciągu tej podróży doznał kilka razy zawrotów głowy, a od czasu do czasu, na wpół zamroczony, starał się odgadnąć, jakich rozmiarów jest pęcherz, który pod wpływem

słońca tworzy mu się na plecach. Dla rozrywki bawił się w rozpoznawanie, czy zamulony kształt, leżący przed nim na brzegu rzeki, jest kłodą drzewa, czy też aligatorem. Lecz bardzo prędko rozrywki tej zaniechał; przestała go bawić, ponieważ okazało się, że były to zawsze aligatory. Jeden z nich rzucił się do rzeki i o mało co nie wywrócił czółna. Ale podniecenie wywołane tym wypadkiem prędko minęło. Potem gdy jechali długim, pustym obszarem rzeki, Jim uczuł żywą wdzięczność dla gromady małp, które zeszły aż na sam brzeg i podniosły obelżywy wrzask na przejeżdżające czółno. W taki to sposób Jim zdążył do wielkości — najprawdziwszej, jaką kiedykolwiek człowiek osiągnął. Nade wszystko pragnął słońca — a tymczasem jego trzech wioślarze gotowali się do wykonania swego planu: zamierzali wydać go rądy.

— Zmęczenie musiało mnie ogłupić, a może się na pewien czas zdrzemnąłem — opowiadał mi.

Gdy się ocknął, czółno przybijało do brzegu. Zdał sobie sprawę natychmiast, że las pozostał za nimi; nieco wyżej spostrzegł domy, po lewej stronie częstokół, i ujrzał, że jego wioślarze wyskakują na niski przylądek i biorą nogi za pas. Odruchowo wyskoczył za nimi. Z początku nie mógł zrozumieć, dlaczego go porzucili, lecz zaraz usłyszał podniecone krzyki, wrota się otworzyły i wysypało się mnóstwo ludzi biegnących w jego stronę. Jednocześnie łódź pełna zbrojnych mężczyzn ukazała się na rzece i zbliżyła do pustego czółna, odcinając mu odwrót.

— Zanadto byłem zaskoczony, aby zachować zimną krew — rozumie pan? Gdyby ten rewolwer był nabity, strzeliłbym do kogoś — do dwóch, może trzech ludzi, i to byłby mój koniec. Ale nie był nabity...

— Dlaczego? — zapytałem.

— Nie mogłem przecież walczyć z całą ludnością, a zresztą nie przybywałem do nich jak człowiek, który drży o swoją skórę — rzekł

i spojrział na mnie z lekkim odcieniem dawnego chmurnego uporu w oczach.

Powstrzymałem się od uwagi, iż tamci nie mogli przecież wiedzieć, że komory rewolweru są puste. Ale Jim postępował według własnego przekonania.

— Tak czy inaczej, nie był nabity — powtórzył wesoło — więc też stałem po prostu bez ruchu i zapytałem, o co im chodzi. Wprawiło ich to w osłupienie. Zobaczyłem, jak kilku tych złodziei unosi moją skrzynię. Stary długonogi łotr Kassim (pokażę go panu jutro rano) wybiegł do mnie i oświadczył pompatycznie, że radza chce mnie widzieć. Odpowiedziałem mu: „Dobrze, ja także chcę się z radzą zobaczyć”, i wszedłem zwyczajnie przez bramę, i — i — oto jestem. — Roześmiał się i dodał z niespodzianym naciskiem: — A wie pan, co z tego wszystkiego najciekawsze? Zaraz panu powiem: oto świadomość, że gdyby mnie byli zakatrupili, właśnie ten kraj byłby na tym stracił.

Mówił to do mnie przed swoim domem owego wieczoru, o którym już wspominałem — kiedyśmy śledzili księżyc wypływający z rozpadliny między wzgórzami, jak mara, co się podnosi z grobu; blask jego zstępował zimny i bładny, niby duch umarłego słońca. Światło księżyca jest dziwnie niepokojące; ma w sobie beznamiętność odcieleśnionego ducha i coś z jego niepojętej tajemnicy. Do naszego słońca, które — mówcie sobie, co chcecie — jest źródłem wszelkiego życia, księżyc ma się jak echo do dźwięku; zwodzi nas i prowadzi na manowce, bez względu na to, czy dźwięk był szyderczy, czy też smutny. Księżyc odbiera wszystkim kształtom rzeczywistość — która jest przecież naszą dziedziną — odbiera im ich istotę i nadaje ponurą realność tylko cieniom. Cienie wokół nas były realne, lecz mimo to Jim, stojąc obok mnie, wyglądał krzepko, jakby nic nie mogło pozbawić go realności w mych oczach — nawet tajemnicza siła księżycowego blasku. Może naprawdę stał się nietykalny, ponieważ

już wytrzymał natarcie ciemnych potęg. Spokój i cisza panowały wszędzie; nawet promienie księżyca spały na rzece jakby na powierzchni stawu. Był to punkt kulminacyjny przyływu, chwila bezruchu uwydatniająca jeszcze wyraźniej zupełne odcięcie od świata tego zatraczonego kąta ziemi. Domy, skupione wzdłuż rozległej, jaśniejącej przestrzeni bez zmarszczek lub błysków, zstępowały ku wodzie szeregiem stykających się, niewyraźnych kształtów, szarych, srebrzystych, pomieszanych z czarnymi masami cienia. Były niby upiorne stado bezkształtnych stworzeń cisnących się do widmowej, martwej rzeki, aby ugasić pragnienie. Gdzieś połykiwało czerwone światło wśród bambusowych ścian, ciepłe jak żywa iskra, świadczące o ludzkich uczuciach, o schronieniu, o wypoczynku.

Jim wyznał mi, że śledził często te drobne, ciepłe światełka gasnące jedno po drugim, że patrzył z rozkoszą, jak ludzie kładą się spać w jego oczach, ufając bezpiecznemu jutru.

— Spokojnie tu, co? — zapytał. Nie był wymowny, ale słowa, które teraz miał wypowiedzieć, zawierały głębokie znaczenie: — Niech pan spojrzy na te domy; nie ma wśród nich ani jednego, gdzie by mi ludzie nie ufali. Słowo daję! Powiedziałem panu, że tu wytrwam. Niech pan spyta kogokolwiek, mężczyzny, kobiety czy dziecka... — Zatrzymał się. — Jednym słowem, czuję się tu zupełnie dobrze.

Wtrąciłem szybko, że przekonał się wreszcie o tym, czego ja byłem pewien od samego początku. Potrząsnął głową.

— Naprawdę był pan tego pewien? — Ścisnął lekko moją rękę nad łokciem. — A więc, miał pan słuszność. — Było uniesienie i dumę, była prawie groza w jego cichym okrzyku: — Miły Boże! niech pan tylko pomyśli, czym to jest dla mnie. — Ścisnął znów moje ramię. — A pan mnie pyta, czy nie myślę o powrocie. Boże mój! Ja? o powrocie! Szczególniej teraz, po tym, co mi pan powiedział o panu Steinie... Wrócić? Cóż znowu! Tego się właśnie

boję. Byłoby to — byłoby to gorsze niż śmierć. Nie, daję panu słowo. Niech pan się nie śmieje. Muszę czuć każdego dnia, za każdym razem, gdy oczy otworzę, że mi ludzie ufają, że nikt nie ma prawa, rozumie pan? Wyjechać! Dokąd? Dlaczego? Żeby zdobyć, co zdobyć?

Powiedziałem mu właśnie (był to główny cel mych odwiedzin), że Stein ma zamiar ofiarować mu dom i cały zapas towarów w Patusa-
nie na pewnych dogodnych warunkach, które uczynią z tego najzupełniej prawidłową i ważną transakcję. Jim zachnął się i zaczął stawać dęba.

— Do licha z tą pańską delikatnością! — krzyknąłem. — To nie jest żadna łaska ze strony Steina. On po prostu oddaje panu to, co pan sam wypracował. A w każdym razie niech pan zachowa swoje uwagi dla Mac Neila, kiedy spotkacie się na tamtym świecie. Mam nadzieję, że to prędko nie nastąpi...

Musiał się poddać moim argumentom, ponieważ wszystko, co zdobył, zaufanie, sławę, przy-
jaciół, miłość, wszystko, przez co się stał wład-
cą, uczyniło z niego także i więźnia. Spoglą-

dał okiem właściciela na spokój wieczoru, na rzekę, na domy, na wieczysty żywot lasów, na życie pierwotnej ludzkości, na tajemnice tego kraju, na dumę własnego serca; ale to właśnie one zawładnęły nim i uczyniły go swoją własnością aż do najtajniejszej jego myśli, do najlżejszego drgnienia serca, do ostatniego oddechu.

Pewnie, że miał z czego być dumny. I ja też byłem dumny — za niego, choć może nie byłem tak głęboko przeświadczony, że transakcja zawarta ze Steinem jest bajecznie korzystna. Wszystko to było zdumiewające. I nie miałem tu głównie na myśli nieulekłego męstwa Jima; to dziwne, jak mało brałem je pod uwagę: jakby było czymś zbyt banalnym, aby je uważać za sedno sprawy. Nie. Uderzyły mnie bardziej inne dary, które wykazał. Dowiódł, że umie się połapać w obcych sobie warunkach; dowiódł sprawności swego umysłu, a przy tym ta jego gotowość na wszystko! Niesłychane. I było to w nim tak naturalne jak węch u rasowego psa. Brakowało mu wymowy, lecz z jego wrodzo-

nej powściągliwości przebijała godność, a z jego urywanych zdań — wielka powaga. Wciąż jeszcze miał dawną skłonność do czerwienienia się. Niekiedy wymykało mu się jakieś słowo lub zdanie dowodzące, jak głęboko, jak poważnie przejmował się pracą, która dała mu pewność rehabilitacji. Dlatego właśnie zdawał się kochać ów kraj i ludzi z pewnego rodzaju namiętnym egoizmem, z pogardliwą czułością.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

— Oto tu przez trzy dni byłem więźniem — szepnął do mnie (w czasie naszych odwiedzin u radży), gdyśmy szli wolno przez dziedziniec Tunku Allanga, wśród jego popleczników zbiegających się z oznakami najwyższej czci. — Niechlujnie tu, co? Nie dawali mi nic do jedzenia, póki nie zrobiłem awantury, i dopiero wtedy dostałem mały talerzyk ryżu i smażoną rybkę nie większą od płotki — niech ich lichy! Włóczyłem się zgłodniały wewnątrz cuchnącego częstokołu, a za mną kilku tych cymbałów

podsuwających mi mordy pod sam nos. Oddałem sławetny pański rewolwer na pierwsze żądanie, zadowolony, że się pozbywam tej zmory. Robiłem wrażenie idioty, spacerując z nienabita bronią w rękę.

W tej chwili znaleźliśmy się w obecności władcy; Jim oblókł się w głęboką powagę i zachował się z wyszukaną grzecznością wobec człowieka, który nie tak dawno go więził. To było nadzwyczajne. Chce mi się śmiać na samą myśl o tym. Ale wówczas byłem przejęty. Stary łotr Tunku Allang nie potrafił ukryć strachu (bohaterstwem się nie odznaczał, choć lubił opowiadać o swojej bujnej młodości), przy tym zaś jego sposób bycia w stosunku do dawnego więźnia zdradzał czujność, a zarazem zaufanie. Uważacie? Nawet ci, którzy najbardziej Jima nienawidzili, ufali mu jednak. Jim — o ile mogłem śledzić rozmowę, skorzystał ze sposobności, aby wygłosić pouczenie. Napadnięto niedawno kilku biednych wieśniaków udających się do Doramina i obrabowano ich z ka-

wałków gumy i wosku, które chcieli wymienić na ryż.

— To Doramin jest złodziejem! — wybuchnął radza. Jego stare, wątłe ciało trzęsło się po prostu z wściekłości. Wił się dziwnie na macie, wymachując rękami i nogami, targając poplątane strąki swego kołtuna — istne wcielenie rozwścieczonego majestatu.

Otaczały nas w krąg wytrzeszczone oczy i otwarte usta. Jim zaczął mówić. Rozwodził się czas jakiś z chłodną stanowczością na temat, że nie należy przeszkadzać, gdy ktoś zarabia uczciwie na chleb dla siebie i swoich dzieci. Tamten drugi siedział jak krawiec nad swoją deską, położywszy każdą dłoń oddzielnie na obu kolanach; spuścił głowę i patrzył nieruchomo w Jima poprzez siwą czuprynę, która mu opadała aż na oczy. Kiedy Jim przestał mówić, nastąpiła głucha cisza. Zdawało się, że wszystkim zaparło dech w piersiach, nikt nie odezwał się ani słowem; wreszcie stary radza westchnął z lekka, podniósł oczy i rzekł szybko, potrząsając głową:

— Słyszysz, mój ludu! Dość tych figłów.

Wysłuchano rozkazu w głębokim milczeniu. Otyły mężczyzna — najwidoczniej zausznik radży — o inteligentnych oczach, kościastej, szerokiej, bardzo ciemnej twarzy i wesołym a unizonym obejściu (dowiedziałem się później, że to był kat), podał nam dwie filizanki kawy na miedzianej tacy, którą wziął z rąk niższego rangą dworzanina.

— Pan tego pić nie powinien — mruknął Jim błyskawicznie.

Nie zrozumiałem z początku, co znaczą te słowa, i tylko popatrzyłem na niego. Pociągnął spory łyk i siedział spokojnie, trzymając filizankę w lewej ręce. Po chwili złość mnie porwała.

— Czemuż, u diabła — szepnąłem, uśmiechając się uprzejmie do Jima — naraża mnie pan na takie idiotyczne niebezpieczeństwo?

Wypiłem oczywiście, bo nic innego mi nie pozostawało; Jim ani drgnął i pożegnaliśmy się z radżą prawie natychmiast. Gdyśmy schodzili dziedzińcem do naszej łodzi, eskortowani przez rozgarniętego i wesołego kata, Jim bardzo mnie

przepraszał, twierdząc, że właściwie prawie nic nam nie groziło. Osobiście nie lękał się wcale trucizny. Prawdopodobieństwo otrucia było minimalne. — Uważają — jak mnie zapewnił — że jest nieskończenie bardziej użyteczny niż groźny, toteż...

— Ależ radza ma święty strach przed panem. Widać to od razu — dowodziłem, wyznaję, dość zgryźliwie, wyczekując wciąż z niepokojem, czy nie chwycą mnie pierwsze kurcze jakichś okropnych boleści. Wstręt mnie ogarnął.

— Jeśli mam tu na coś się przydać i utrzymać swe stanowisko — rzekł Jim, siadając obok mnie w łódce — muszę się na to narażać; robię to przynajmniej raz na miesiąc. Wielu ludzi liczy na to, że tak właśnie postąpię — dla ich dobra. Radza boi się mnie! Otóż to właśnie. Boi się mnie najprawdopodobniej dlatego, że ja się nie boję jego kawy. — Potem rzekł, pokazując mi miejsce z północnej strony częstokołu, gdzie zastrzone końce kilku pali były złamane: — Tędy przeskoczyłem na trzeci dzień

mego pobytu w Patusanie. Nie zmienili jeszcze tych pali. Dobry skok, co? — W chwilę później mijaliśmy ujście błotnistej zatoczki. — Tu skoczyłem po raz drugi. Biegłem kawałek, rozpędziłem się i chciałem przesadzić tę zatoczkę, ale mi się nie udało. Myślałem już, że zostawię tu swoją skórę. Zgubiłem trzewiki, grzebiąc się w błocie. A przez cały czas rozmyślałem, jakie by to było okropne, gdyby mnie dziabnęli z tyłu taką, psiakrew, długą włócznią, podczas gdy tkwiłem w tym błocie. Pamiętam, że mnie mdliło, kiedy usiłowałem się wygrzebać. Miałem dosłownie mdłości, jakbym połknął coś zgniłego.

A więc to się tak odbywało — a upragniona przez Jima sposobność nieustannie mu towarzyszyła — i w biegu, i w skoku przez strumień, i podczas zmagania się z błotem... wciąż zakwefiona. Nagłość jego niespodzianego przybycia ocaliła go przed natychmiastowym zakłuciem krisami¹⁶ i wrzuceniem do rzeki. Mie-

¹⁶*kris* — sztylet malajski, zwykle o wężowatej klindze, mierzącej 30–40 cm. [przypis edytorski]

li go w rękę, lecz było to tak, jakby pojмали jakąś zjawę, ducha, zły omen. Co to znaczy? Co z tym zrobić? Czy już nie za późno, aby to stworzenie przebłagać? Może lepiej je zabić, dłużej już nie zwlekając? Lecz co się wówczas stanie? Nieszczęsny stary Allang o mało nie oszalał, osaczony przez złe przeczucia, niezdolny do powzięcia jakiegokolwiek postanowienia. Kilka razy obrady zostały zerwane i członkowie ich rzucili się na łeb na szyję przez drzwi na werandę. Jeden z zauszników — jak mówią — skoczył nawet na ziemię — z wysokości piętnastu stóp, o ile mi się zdaje — i złamał nogę. Królewski rządca Patusanu dziwaczne miał obyczaje, a jeden z nich polegał na tym, że każdą trudną dyskusję przeplatał chełpliwymi rapsodami¹⁷ o swoich czynach, przy czym stopniowo podniecał się coraz bardziej i w końcu rzucał się ze swego wysokiego siedziska z kriesem w rękę. Lecz wyjąwszy podobne przerwy,

¹⁷*rapsod* — poetycki utwór epicki opiewający dzieje bohatera lub doniosłe wydarzenia historyczne; fragment epepei. [przypis edytorski]

narady nad losem Jima ciągnęły się dniem i nocą.

A tymczasem on wałęsał się po dziedzińcu; jedni go unikali, drudzy gapili się na niego, wszyscy go strzegli, a w gruncie rzeczy był na łasce pierwszego lepszego gałgana uzbrojonego w nóż. Wybrał sobie do spania małą, wałącą się szopę; wyziewy brudu i zgnilizny bardzo mu przeszkadzały; jednak, zdaje się, apetytu nie stracił, ponieważ — jak mi opowiadał — był głodny przez cały ten, psiakrew, czas. Raz po raz „jakiś nadęty osioł”, wysłany z izby obrad, wybiegał do niego i miodowym tonem zadawał mu zdumiewające pytania: „Czy przybywają Holendrzy, aby krajem zawładnąć? Czy biały człowiek nie chciałby wrócić z powrotem w dół rzeki? W jakim celu przybył do takich nędznych okolic? Radza chciałby wiedzieć, czy biały umie naprawić zegar?” — i rzeczywiście, przynieśli mu nikłowy budzik amerykańskiego wyrobu. Jim — wprost z nieznośnych nudów — zaczął nad nim majstrować, usiłując naprawić mechanizm dzwonka. I wówczas to,

jak się zdaje, kiedy był zajęty w swej szopie, zaświtało mu nagle poczucie niezmiernego niebezpieczeństwa, w jakim się znajdował. Wypuścił z rąk zegar „jak gorący kartofel” i wyszedł śpiesznie, nie mając najmniejszego pojęcia, co dalej począć. Wiedział tylko, że jego położenie jest nie do wytrzymania. Wałęsał się bez celu za małym, na wpół rozwalonym spichrzem, sterującym na palach, gdy nagle jego oczy padły na połamane koły w palisadzie; i wtedy — jak mi opowiadał — natychmiast, bez żadnego myślowego procesu ani też podniecenia zabrał się do ucieczki, jakby wykonywał plan dojrzewający już od kilku tygodni. Uszedł niedbale kilkanaście kroków dla nabrania rozpędu i odwróciwszy się, spostrzegł tuż obok siebie jakiegoś dygnitarza, eskortowanego przez dwóch włóczyków, który zamierzał właśnie zadać mu kilka pytań. Jim smyrgnął mu „spod nosa”, przeleciał „jak ptak” nad częstokołem i spadł po drugiej stronie, doznając takiego wstrząsu, że zachrobotowały mu wszystkie kości; miał wrażenie, iż głowa mu pękła. Dźwignął się natychmiast.

I wciąż jeszcze nie myślał o niczym; pamiętał tylko, że podniósł się wielki wrzask; najbliższe chaty Patusanu były o czterysta jardów przed nim, ujrzał zatoczkę i jakby machinalnie przyspieszył biegu. Ziemia zdawała się uciekać mu spod nóg. Odbił się od krańca suchego gruntu, poczuł, że leci w powietrzu, a potem — nie doznawszy żadnego wstrząśnienia — zarył się w niezmiernie miękki i lepki muł. Usiłował daremnie poruszyć nogami i dopiero wtedy „opamiętał się wreszcie”, jak się wyraził. Zaraz przyszły mu na myśl „te, psiakrew, długie włócznie”. Zważywszy, że ludzie wewnątrz ostrokołu musieli dopaść bramy, zejść do przystani, wsiąść w czółna i objechać naokoło przylądka — Jim wyprzedził ich znacznie bardziej, niż sobie wyobrażał. Przy tym wobec odpływu nie było wody w zatoczce, choć niepodobna było nazwać jej suchą, i w gruncie rzeczy Jimowi nie groziło na razie żadne niebezpieczeństwo prócz może bardzo dalekiego strzału. Twardy grunt znajdował się przed nim nieco wyżej, w odległości jakich sześciu stóp.

— Myślałem, że tak czy owak, będę musiał tam zginąć — rzekł.

Poruszał rozpaczliwie rękami, walcząc z błotem i udawało mu się tylko spiętrzać przed sobą okropną, zimną kupę lśniącego mułu, sięgającą mu aż po brodę. Miał wrażenie, że się zagrzebuje żywcem i zaczął walić w muł jak szalony, rozpryskując go pięściami. Padało mu to na głowę, na twarz, dostając się do ust, do oczu. Wspomniał nagle dziedziniec, jak człowiek wspomina miejsce, gdzie był przed wielu laty szczęśliwy. Tęsknił za tym, by się znaleźć tam znowu, przytaczam jego własne słowa, i naprawiać budzik. Naprawiać budzik — otóż to właśnie! Zdawało mu się, że oczy mu pękają w orbitach, że ślepie od szalonych, konwulsyjnych, zapamiętałych wysiłków, które doszły do szczytu w potężnym, ostatecznym porywie na oślepienie, aby się przebić przez ziemię, aby zrzucić ją ze swych członków — i poczuł, że się pnie nieznacznie pod górę ku brzegowi.

Leżał jak długi na twardym gruncie, widział światło i niebo. Potem, niby błysk szczę-

ścia, spadła na niego myśl, iż zaśnie. Jim twierdzi stanowczo, że zasnął naprawdę, że spał, może minutę, może dwadzieścia sekund, a może tylko jedną sekundę, lecz pamięta wyraźnie gwałtowny, konwulsyjny wstrząs przy ocknieniu. Leżał jeszcze nieruchomo przez chwilę, a potem dźwignął się, pokryty mułem od stóp do głów, i stał tak, myśląc, że jest tu sam jeden należący do innej rasy — sam jeden na setki mil wokoło, że nie może się spodziewać od nikogo pomocy, współczucia, litości — że jest jak ścigane zwierzę. Pierwsze domy znajdowały się nie dalej niż o dwadzieścia jardów; rozpaczliwy krzyk przerażonej kobiety, starającej się unieść dziecko, pobudził go znów do biegu. Rzucił się naprzód w samych skarpetkach, oblepiony warstwą błota, które go pozbawiało wszelkiego podobieństwa do ludzkiej istoty. Przebiegł tak więcej niż pół osady. Na prawo i lewo uciekały przed nim kobiety, zwinniejsze od mężczyzn, ci zaś upuszczali to, co im się zdarzyło mieć w ręku, i z otwartymi ustami obracali się w kamień. Był jak lecący postrach. Mó-

wił mi, że zauważył malutkie dzieci, które, starając się uciec w popłochu, padały na brzuszki i wywijały nóżkami w powietrzu. Skręcił między dwie chaty pod górę, przelazł z desperacją przez barykadę ze ściętych drzew (w owych czasach nie było tygodnia bez walk w Patusanie), przedarł się przez płot na pole kukurydzy, gdzie jakiś przerażony chłopiec rzucił w niego kijem, dostał się na ścieżkę i wpadł od razu w ramiona kilku zdumionych ludzi. Ledwie mu wystarczyło oddechu, aby wykrztusić: „Doramin! Doramin!” Pamięta, że go na wpół wnieśli, na wpół zaciągnęli na szczyt pochyłości, gdzie się znalazł w obszernym ogrodzeniu wśród palm i drzew owocowych; zaprowadzono go przed tęgiego mężczyznę, który siedział ociężale w fotelu wśród szalonego rozruchu i podniecenia. Jim zaczął grzebać niezdarnie w zabłoconym odzieniu, aby wydobyć pierścień, i nagle padł na wznak na ziemię, dziwiąc się, kto go przewrócił. A tamci po prostu puścili go — rozumiecie? — tylko że nie mógł się już utrzymać na nogach. U stóp pochyłości

rozległo się kilka strzałów na chybił trafił, a ponad dachy osady niósł się głuchy gwar zdumienia. Lecz Jim był już bezpieczny. Ludzie Doramina barykadowali bramę i leli mu wodę do gardła; stara żona Doramina, pełna troskliwości i współczucia, wydawała swym dziewczętom krzykliwe rozkazy.

— Staruszka krzątała się koło mnie — rzekł Jim miękko — jakbym był jej własnym synem. Położyli mnie na olbrzymim łożu — na jej własnym, paradnym łożu; przybiegała do mnie raz po raz, obcierając łzy i klepiąc mnie po ramieniu. Musiałem wyglądać żałośnie. Leżałem tam jak kłoda, nie, wiem jak długo.

Jim zdawał się mieć wiele tkliwości dla starej żony Doramina. Ona zaś ze swej strony przywiązała się do niego jak matka. Miała okrągłą, łagodną twarz orzechowego koloru, całą w drobniutkich zmarszczkach, grube, jaskrawoczerwone wargi (żuła gorliwie betel¹⁸) i mrużące, dobrodusze oczy. Była w ciągłym ru-

¹⁸*betel* — używka do żucia popularna na Dalekim Wschodzie, sporządzana z pociętych liści pieprzu betelowego, nasion palmy areka, sproszkowanego wapnia oraz innych dodatków. [przypis edytorski]

chu i zrzędziła pilnie na gromadkę młodych kobiet o jasnobrązowej cerze i wielkich, poważnych oczach, ganiając je nieustannie; były to jej córki, służebne, niewolnice. Pan wie, jak to jest u tych krajowców, niepodobna na ogół rozróżnić. Bardzo była szczupła, i nawet w swej obfitej zwierzchniej szacie, zapiętej z przodu na klamry wysadzone kamieniami, wyglądała niepokaznie. Ciemne, gołe jej nogi tkwiły w złotych słomianych chodakach chińskiego wyrobu. Widziałem ją nieraz krzątającą się szybko, przy czym niezmiernie gęste jej włosy, długie i siwe, spadały na ramiona. Wypowiadała słowa pełne bystrości i rozsądku, była szlachetnie urodzona, arbitralna i miała swoje dziwactwa. Po południu siadywała zwykle w bardzo obszernym fotelu naprzeciw swego męża, patrząc spokojnie przez szeroki otwór w ścianie, skąd był rozległy widok na osadę i rzekę.

Żona Doramina podwijała zawsze nogi pod siebie, lecz on sam siedział w fotelu prosto, imponująco, jak góra na równinie. Pochodził z klasy *nakhoda*, czyli kupieckiej, lecz szacunek,

który mu okazywano, i dostojność jego obejścia rzucały się w oczy. Stał na czele drugiej z rzędu potęgi w Patusanie. Grupa przychodźców z Celebesu (około sześćdziesięciu rodzin, które z domownikami mogły wystawić mniej więcej dwustu ludzi „noszących kris”) wybrała go przed laty na naczelnika. Ludzie z tej rasy są inteligentni, przedsiębiorczy, mściwi, odznaczają się większą odwagą niż inni Malaje i buntują się przeciw uciskowi. Utworzyli stronnictwo przeciwstawiające się radzy. Kłótnie wybuchwały oczywiście na tle prawa do handlu. Był to zasadniczy powód walk między stronnictwami, nagłych powstań, które zapełniały tę lub ową część osady dymem, ogniem, hukiem wystrzałów i wrzaskiem. Palono wsie, wleczono ludzi do ostrokołu radzy, gdzie ich zabijano lub poddawano torturom za zbrodnię handlu z kim innym niż z ich władcą. W tej właśnie rybackiej wsi, która później dostała się pod szczególną opiekę Jima, zaledwie na dwa lub trzy dni przed jego przybyciem oddział łuczników radzy zrzucił ze skalistego wybrzeża kilku oj-

ców rodzin, gdyż podejrzewano ich o zbieranie jadalnych gniazd dla handlarza z Celebesu. Radza Allang uważał się za jedyne kupca w swym kraju i przekroczenie jego monopolu pociągało za sobą karę śmierci; lecz pojęcia radzy o handlu były jednoznaczne z najpospolitszym rabunkiem. Tylko tchórzostwo Tunku Allanga hamowało jego chciwość i okrucieństwo; bał się zorganizowanej siły przychodźców z Celebesu, lecz — do przybycia Jima — bał się ich za mało, aby siedzieć spokojnie. Uderzał w nich za pośrednictwem swoich poddanych i był najgłębiej przekonany, że jest w swoim prawie.

Sytuację utrudniał jeszcze obcy wędrowiec, półkrwi Arab, który, sędzę, na gruncie ściśle religijnym, doprowadził do powstania plemion w głębi kraju (leśnych ludzi, jak ich Jim nazywał) i usadowił się w ufortyfikowanym obozie na szczycie jednego z dwóch bliźniaczych wzgórz. Wisiał nad Patusanem jak jastrząb nad kurnikiem i pustoszył okolicę. Całe wsie, opuszczone przez mieszkańców, gniły na poczernia-

łych palach nad brzegiem przejrzystych strumieni; ściany domków plecione z traw i liściaste dachy opadały strzępami w wodę, co czyniło ciekawe wrażenie naturalnego rozpadu, jakby domki te były pewnym rodzajem roślinności dotkniętej zarazą u samych korzeni. Oba stronnictwa w Patusanie żyły w niepewności, nie wiedząc, które z nich intruz najpierw zamierza złupić. Radza wszedł z nim w lekkie konszachty. Niektórzy z bugiskich osadników, znużeni ciągłym niebezpieczeństwem, skłaniali się poniekąd do porozumienia z uzurpatorem. Bardziej przedsiębiorczy radzili na wpół żartem, aby „wezwać szeryfa Alego z jego dzikimi ludźmi i wypędzić z kraju radzę Allanga”. Doramin z trudnością ich powstrzymywał. Starzał się i choć jego wpływy jeszcze się nie zmniejszyły, przestawał już panować nad sytuacją. Taki był stan rzeczy, gdy Jim, wyskoczywszy z ostrokołu radzy, ukazał się przed naczelnikiem Bugisów, wydobył pierścień i został przyjęty, że tak powiem, na łono ich społeczności.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Doramin był jednym z najwybitniejszych ludzi swej rasy, jakich kiedykolwiek spotkałem. Jego postać, jak na Malaja, wydawała się olbrzymia, ale nie tylko z powodu tuszy; wyglądał wspaniale, monumentalnie. Nieruchomy tułów przywdziany w bogate tkaniny, barwne jedwabie i złote hafty; wielka głowa obwinięta w chustę czerwoną ze złotem; płaskie, duże, okrągłe, podkreślone zmarszczkami oblicze o dwóch półkulistych, ciężkich fałdach porczynających się u szerokich, srogich nozdrzy i okalających usta o grubych wargach; kark jak u byka; szerokie, poradlone czoło wznoszące się nad nieruchomymi, dumnymi oczami — wszystko to składało się na całość, której niepodobna było zapomnieć, kiedy się raz ją ujrzało. Odznaczał się niewzruszonym spokojem — zasiadłszy, rzadko kiedy poruszył ręką lub nogą; uwydatniało to jeszcze bardziej jego do-

stojność. Nie słyszano nigdy, aby kiedykolwiek podniósł głos. Mówił zachrypłym, potężnym szeptem — nieco zgłuszonym, jakby dochodzącym z pewnej odległości. Gdy szedł, dwóch krępych, krzepkich młodzieńców, nagich do pasa, w białych sarongach i czarnych myckach na tyłach głów, podtrzymywało mu łokcie; pomagali Doraminowi siadać i trzymali się za jego krzesłem, kiedy zaś władca chciał się podnieść, obracał głowę powoli, jakby z trudnością, w prawo i w lewo, a młodzieńcy chwyтали go pod pachy i dźwigali z miejsca. Mimo to nie miał w sobie nic z kaleki, przeciwnie, ciężkie jego ruchy były jakby przejawem potężnej, poważnej siły. Uchodziło za pewnik, że zasięgał rady swej żony w sprawach publicznych, lecz o ile wiem, nikt nigdy nie słyszał, aby zamienili choć jedno słowo. Gdy siedzieli uroczyście przy wielkim oknie, trwali zawsze w milczeniu.

W dole rozpościerała się przed nimi w mierzchnącym świetle rozległa przestrzeń leśnego kraju — mroczne, senne morze ciemnej zieleni, falujące aż hen po łańcuch gór z purpury i fio-

letu; rzeka lśniła w błyszczących skrętach, niby olbrzymia litera S z kutego srebra; brunatna wstęga domostw biegła wzdłuż wygięcia obu brzegów, pod dwoma bliźniaczymi wzgórzami, ukazującymi się zza najbliższych wierzchołków drzew. Doramin i jego żona tworzyli kontrast zadziwiający; ona — drobna, delikatna, szczupła, żywa, przypominała trochę czarownicę, a jej spokój miał w sobie coś z macierzyńskiego z troskania; Doramin naprzeciw niej, olbrzymi i ciężki, niby postać wyciosana z gruba w kamieniu, wyglądał w swym bezruchu jak wielkoduszny barbarzyńca. Syn tych dwojga starców był niezwykle wybitnym młodzieńcem.

Późno im się urodził. Nie był może w rzeczywistości tak bardzo młody, jak się zdawało. Dwadzieścia cztery lub pięć lat — nie jest to już wczesna młodość dla człowieka, który w osiemnastym roku życia był ojcem rodziny. Gdy wchodził do obszernego pokoju — o suficie obciągniętym białym płótnem, a ścianach i podłodze pokrytych cienkimi matami — gdzie para małżeńska siedziała w otoczeniu

kornej świty, zbliżał się od razu do Doramina, całował go w rękę — na co tamten zezwalał majestatycznie — a potem usuwał się na bok i stawał za fotelem matki. Chyba mogę powiedzieć, że go ubóstwiali, ale nigdy nie przychwyciłem ich na tym, aby otwarcie spojrzeli na niego. Prawda, iż były to oficjalne przyjęcia, zazwyczaj bardzo tłumne. Uroczysty ceremonial powitań i pożegnań, głęboka czołobitność przejawiająca się w ruchach, wyrazie twarzy, cichych szeptach — wszystko to było wręcz nieopisane.

— Czy nie warto tego zobaczyć? — rzekł Jim, gdyśmy się przeprawiali przez rzekę w powrotnej drodze. — Wyglądają zupełnie jak bohaterowie z powieści, prawda? — mówił tryumfująco. — A Dain Waris, ich syn, to, poza panem, najlepszy ze wszystkich przyjaciół, jakich miałem kiedykolwiek. Pan Stein powiedziałby o nim: „dobry kompan z pola bitwy”. Boże mój! Cóż to było za szczęście, kiedy między nich wpadłem, goniąc resztkami sił. — Rozmyślał przez chwilę ze spuszczoną głową, po

czym ocknął się i dodał: — Naturalnie, że nie siedziałem z założonymi rękami, tylko... — Zamilkł znów. — Mam wrażenie, że wszystko przyszło mi samo z siebie — mruknął. — Ujrzałem nagle, co należy zrobić...

I rzeczywiście, wszystko przyszło mu jakby samo z siebie, i to w dodatku przyszło przez wojnę, co jest zupełnie naturalne, ponieważ moc, którą w sobie poczuł, przez wojnę doprowadziła do pokoju. Jedynie w tym znaczeniu siła jest równoznaczna ze sprawiedliwością. Ale nie myślcie, że od razu ujrzał swą drogę. Kiedy przybył, społeczność Bugisów była w niezmiernie ciężkiej sytuacji.

— Bali się wszyscy — opowiadał mi Jim — każdy się lękał o swoją skórę; a ja widziałem najwyraźniej w świecie, że muszą natychmiast coś przedsięwziąć, jeśli nie chcą zmarnieć jeden za drugim, gnębieni z jednej strony przez radzę, a z drugiej przez tego włóczęgę szeryfa.

Ale zrozumieć położenie to było jeszcze mało. Kiedy już powziął swój projekt, musiał go wbijać w odporne umysły, przewyciężając za-

pory strachu i samolubstwa. Udało mu się wreszcie. Lecz na tym nie koniec. Trzeba było obmyślić sposób działania. Jim ułożył plan bardzo śmiały; a i wówczas jeszcze zadanie było rozwiązane dopiero w połowie. Musiał natchnąć swą wiarą wielu ludzi, którzy mieli ukryte lub bezsensowne powody do stawiania oporu; musiał załagodzić niedorzeczne zawiści i wyperśwadować im głupie wątpliwości wszelakiego rodzaju. Nie byłoby mu się udało, gdyby nie powaga, jaką się cieszył Doramin, i gdyby nie ognisty zapal jego syna. Dain Waris, ów niezwykły młodzieniec, pierwszy w Jima uwierzył; zawiązała się między nimi jedna z tych osobliwych, głębokich, rzadkich przyjaźni między brązowymi a białymi ludźmi, przyjaźni, w których właśnie różnica ras zdaje się pociągać ku sobie dwie ludzkie istoty jakąś dziwną, żywiołową sympatią.

O Dainie Warisie własni jego ludzie mawiali z dumą, że umie walczyć jak biały. To była prawda; miał ten rodzaj męstwa — męstwa w otwartym polu, że tak powiem — ale

i umysł jego był europejski. Spotyka się czasem takich Malajów i niespodzianie odkrywa się w nich ze zdumieniem pokrewny sposób myślenia, bystry umysł, wytrwałe dążenie do celu, odcień altruizmu. Dain Waris był wzrostu niewielkiego, lecz niezwykle harmonijnej budowy; miał dumną postawę, gładkie, swobodne obejście, a temperament podobny do jasnego płomienia. Jego ciemna twarz o wielkich czarnych oczach była wymowna w ruchu i zamyślona w spoczynku. Usposobienie miał milczące; stanowczy wzrok, ironiczny uśmiech, dworny sposób bycia, pełen rozwagi, zdradzały w nim wielkie zasoby inteligencji i siły. Takie istoty ukazują ludziom z Zachodu — którzy zwykle głębiej nie sięgają — ukryte możliwości ras i krajów owianych tajemnicą niezliczonych stuleci. Dain nie tylko wierzył Jimowi; jestem przekonany, że go rozumiał. Mówię tak o Dainie, ponieważ byłem pod urokiem tego człowieka. W jego — że tak powiem — szyderczym spokoju i zarazem inteligentnym sprzyjaniu zamiarom Jima było coś bardzo pociąg-

gającego. Miałem wrażenie, że oglądam przyjaźń u jej źródła. Wprawdzie Jim przewodził, ale Dain oczarował swego przywódcę. W gruncie rzeczy Jim był więźniem w całym tego słowa znaczeniu. Kraj, lud, przyjaźń, miłość strzegły go zazdrośnie. Każdy dzień dodawał ogniwo do kajdan tej dziwnej wolności. Czułem to coraz dobitniej, w miarę jak z dnia na dzień dowiadywałem się więcej szczegółów z historii Jima.

A ileż się o niej nasłuchiwałem! I w marszu podczas naszych wycieczek, i w obozie (włączyliśmy się po kraju w pościgu za niewidzialną zwierzyną); znaczną część swych przygód opowiedział mi na jednym z bliźniaczych wzgórz, gdzie się wdrapałem, czołgając się na rękach i nogach przez ostatnich sto metrów. Nasza eskorta (składająca się z ochotników towarzyszących nam od wsi do wsi) rozłożyła się obozem na małej polance w połowie wysokości wzgórza; wieczór był cichy i bezwietrzny. Zapach drzewnego dymu dochodził do naszych nozdrzy, niosąc aromat delikatny i przenikliwy. Wznosiły się ku nam głosy zadziwiająco

wyraźne, jasne, niematerialne. Jim siadł na pniu ściętego drzewa, wyciągnął fajkę i zaczął palić. Nowe pokolenie traw i krzewów strzelało z ziemi; pod gęstwą ciernistych gałęzi były ślady okopów.

— Stąd się wszystko zaczęło — rzekł Jim, wyrwawszy się z długiej, głębokiej zadumy.

Na sąsiednim wzgórzu, odległym o jakie dwieście jardów, z przeciwległej strony mrocznej przepaści, zobaczyłem szereg wysokich, poczerniałych kołów walących się miejscami — szczątki niedostępnego obozu szeryfa Alego.

Lecz obóz ten został zdobyty. Stało się to dzięki pomysłowi Jima, który wwindował na szczyt wzgórza starą artylerię Doramina: dwa zardzewiałe działa siedmiofuntowe i mnóstwo drobnych mosiężnych armatek służących za obiegową monetę. Mosiężne armatki są nie tylko wykładnikiem bogactwa, ale potrafią także wyrzucić porządny strzał na niewielką odległość, jeśli je nabić śmiało aż po koniec lufy. Trudność polegała na tym, aby je wciągnąć na samą górę. Jim pokazał mi miejsce, gdzie przy-

mocował liny, wyjaśnił, jak zmajstrował naprędce prymitywny kołowrót z pustego pnia obracającego się na zaostrozonym kole, zaznaczył fajką zarysy okopów. Ostatnie sto metrów wejścia na szczyt były najcięższe. Jim oświadczył Doraminowi, że odpowiada własną głową za powodzenie całego planu. Namówił stronników wojny, aby pracowali wytrwale przez całą noc. Wielkie ogniska, zapalone w pewnych odstępach, jaśniały wzdłuż zbocza, „lecz tu na szczycie — objaśniał — oddział wciągający armaty musiał biegać w kółko w ciemności”. Jim widział z góry ludzi pełznących po pochyłości niby mrówki przy pracy. On sam w ciągu tej nocy zbiegał w dół i wspinał się po wzgórzu jak wiewiórka, kierując wszystkim, dodając ludziom ducha, czuwając nad całą linią. Stary Doramin kazał się zanieść w fotelu na wzgórze. Ustawili go na polance w połowie wysokości; siedział tam w blasku jednego z wielkich ognisk.

— Nadzwyczajny starzec — mówił Jim — zupełnie jak jaki wódz pradawny, z tymi swymi

dzikimi oczkami; na kolanach trzymał olbrzymie skałkowe pistolety, po prostu wspaniałe: heban oprawny w srebro, z cudownymi kurkami, kalibru starych rusznic. Zdaje się, że to od Steina — w zamian za ten pierścień, pamięta pan. Należały niegdyś do zacnego starego Mac Neila. A skąd on je wytrzasnął, Bóg raczej wiedzieć. Więc... stary siedział, nie ruszając ani ręką, ani nogą, zwrócony plecami do ogniska z chrustu, a naokoło niego mnóstwo ludzi biegało, krzyczało i ciągnęło; wyglądał tak uroczyście i imponująco, że trudno to sobie wyobrazić. Nie byłby chyba mógł uciec, gdyby szeryf Ali wypuścił na nas swoją wściekłą bandę i zmusił moich ludzi do ucieczki. W każdym razie Doramin przybył tu, aby umrzeć, gdy by rzeczy się źle obróciły. Nie ma co do tego dwóch zdań! Miły Boże, jakież ja byłem przejęty jego widokiem, tkwił tam jak skała. Lecz szeryf Ali myślał pewnie, żeśmy poszaleli, i ani mu się śniło przyjść i zobaczyć, co tam wyprawiamy. Zdaje mi się, że nawet ci sami ludzie, którzy ciągnęli i pchali, i oblewali się

potem, nie wierzyli, aby można było tego dokonać! — jestem pewien, że nie wierzyli, dając panu słowo...

Stał wyprostowany, z dymiącą fajką w ręku, z uśmiechem na ustach, z iskrami w dziecięcych oczach. Siedziałem na pniu u jego stóp, a pod nami rozpościerał się kraj, wielka przestrzeń lasów mrocznych pod słońcem, rozkołysanych jak morze, z połyskami krętych rzek, szarymi plamami wsi i polanką gdzieś, jaśniejącą niby wysepka wśród ciemnych fal wierzchołków. Posępna zaduma słała się nad tym rozległym, monotonnym krajobrazem; światło padało nań jakby w przepaść. Ląd pożerał słońce; tylko daleko, hen, wzdłuż wybrzeża, pusty ocean, równy i gładki pod nikłą mgłą, zdawał się wznosić ku niemu murem ze stali.

I trwaliśmy tam razem, wysoko w blasku słońca, na szczycie historycznego pagórka. Jim górował nad lasami, nad odwiecznym mrokiem, nad prastarą ludzkością. Był jak posąg wzniesiony na piedestale, aby wcielać mocą swej wiecznej młodości potęgę — a może i cnoty — ras,

które się nie starzeją, które wynurzyły się z mroku. Nie rozumiem, dlaczego Jim wydawał mi się zawsze symbolem. Może w tym leży właśnie istotna przyczyna mego zajęcia się jego losem. Nie wiem, czy to było sprawiedliwe z mej strony, ale w tej chwili właśnie przypomniałem sobie okoliczności, które tu Jima przywiodły; stanęły mi w oczach z niezmierną wyrazistością. Był to jak gdyby cień wśród blasku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Legenda przypisywała mu już nadprzyrodzoną potęgę. Tak, to prawda, że tam na wzgórzu było wiele lin chytrze rozmieszczonych i dziwna maszyna, co się obracała dzięki wysiłkom wielu ludzi. Opowiadano sobie, że każda armata przedzierała się z wolna w górę przez gąszcze, jak dzik torujący sobie drogę w leśnym podszyciu, ale... — i tu najmędrsi potrząsali głową. Było w tym niewątpliwie coś tajemniczego; bo czymże jest siła powrozów i ludzkich

ramion? W rzeczach tkwi buntownicza dusza, którą trzeba opanować przez potężne czary i zaklęcia. Tak twierdził stary Sura, właściciel domów w Patusanie, człowiek bardzo szanowany, z którym raz uciałem sobie wieczorem spokojną pogawędkę. Lecz Sura był także i czarownikiem z zawodu; na mile wokoło czuwał nad siewami i zbiorami ryżu, poskramiając upartą duszę rzeczy. Uważał swoje zajęcie za jedno z najtrudniejszych — i może istotnie duch tkwiący w rzeczach krnąbrniejszy jest od ludzkiego. Co się tyczy prostych ludzi z sąsiednich wsi, wierzyli (jak w rzecz najnaturalniejszą pod słońcem), że Jim zaniósł armaty na wzgórze na własnym grzbiecie — po dwie naraz.

Jim tupał na to nogą ze złością i wykrzykiwał zirytowany, a przy tym nieco rozśmieszony:

—No i co tu począć z takimi cymbałami? Siedzą po całych nocach, plotąc duby smalone, a im większe kłamstwo, tym większe w nim znajdują upodobanie.

W tej irytacji Jima można było wyśledzić subtelny wpływ otoczenia, jeden z czynników jego niewoli. Powaga, z jaką Jim przeczył, była bardzo zabawna; aż w końcu rzekłem do niego:

— Kochany panie, chyba pan nie przypuszcza, że *ja* w to uwierzę!

Spojrzał na mnie, zaskoczony.

— Ależ naturalnie, że nie przypuszczam!
— rzekł i wybuchnął homeryckim śmiechem¹⁹.

— No więc, tak czy owak — ciągnął — armaty znalazły się na oznaczonym miejscu i wystrzeliły wszystkie razem o wschodzie. Chryste Panie! Trzeba było widzieć, jak drzazgi leciały!
— zawołał.

U jego boku Dain Waris, przysłuchujący się ze spokojnym uśmiechem, spuścił powieki i poruszył z lekka nogami.

Kiedy się szczęśliwie udało wciągnąć je na wzgórze, ludzie nabrali takiej ufności, że Jim ośmielił się zostawić baterię pod opieką dwóch starszych Bugisów, którzy swego czasu brali udział

¹⁹*homerycki śmiech* — niepohamowany, głośny, szczery, serdeczny śmiech; Homer w *Iliadzie* wspomina o „nieugaszonym śmiechu” bogów. [przypis edytorski]

w wojnach, i przyłączył się do Daina Warisa oraz szturmowego oddziału ukrytego w wąwozie. O brzasku wszyscy zaczęli się czołgać pod górę i zrobiwszy dwie trzecie drogi, legli w mokrej trawie, czekając na pojawienie się słońca, które było umówionym sygnałem. Jim opowiadał mi, z jaką niecierpliwością, z jakim niepokojem i wzruszeniem śledził szybkie nadejście świtu; opowiadał, jak — rozgrzany od pracy i wspinania się — poczuł zimną rosę mrozącą go do szpiku kości; jak się bał, że zacznie się trząść i dygotać niby liść, zanim przyjdzie chwila ataku.

— Nigdy jeszcze tak mi się czas nie dłużył jak wtedy przez te pół godziny — oświadczył.

Zarysy milczącego częstokołu wystąpiły przed nim z wolna na niebie. Po całym zboczach byli rozsiani ludzie, przycupnięci wśród ciemnych skał i krzaków mokrych od rosy. Dain Waris leżał wyciągnięty na płask u boku Jima.

— Spojrzeliśmy po sobie — rzekł Jim, kładąc delikatnie rękę na ramieniu przyjaciela. — Dain uśmiechnął się do mnie jak najweselej,

a ja nie śmiałem otworzyć ust, aby nie zacząć dzwonić zębami. Daję panu słowo, że to jest prawda! Pot lał się ze mnie, kiedyśmy się przyczaili, toteż może pan sobie wyobrazić...

Jim oświadczył mi to, a ja daję temu wiarę, iż nie bał się ani trochę o wynik całej akcji. Niepokoiło go jedynie, czy potrafi opanować te dreszcze. Nie kłopotał się wcale o to, co miało nastąpić. Wiedział tylko, że musi się dostać na szczyt wzgórza i pozostać tam za wszelką cenę. Nie było dla niego odwrotu. Ci ludzie ufali mu ślepo. Jemu jedynemu! Zawierzyli mu na słowo... Pamiętam, że zamilkł w tym miejscu i utkwiał we mnie oczy.

— O ile wiem, nie mieli jeszcze nigdy powodu tego żałować — rzekł. — Ani razu.

Miał w Bogu nadzieję, iż to nigdy nie nastąpi. Tylko że — na nieszczęście! — przyzwyczaili się zasięgać jego rady we wszelkich możliwych wypadkach. To wprost nie do wiary! Otóż na przykład, w tych dniach jakiś stary bałwan, którego Jim nigdy w życiu nie widział na oczy, przywędrował ze wsi oddalonej

o kilka mil, aby zapytać go, czy się ma rozwieść z żoną. To fakt! Jim daje mi na to słowo. Tak oto rzeczy stoją... nie uwierzyłby, gdyby mu to ktoś opowiedział... A ja czy uwierzyłbym? — pytał. Opisywał mi, jak staruszek przykucnął na werandzie, żując betel, wzdychając i plując na wszystkie strony, ponury jak noc: trwało to godzinę, zanim wyjechał wreszcie z tymi, psia-kość, bredniami. Ta historia nie jest taka zabawna, jakby się zdawało. Co Jim miał na to wszystko powiedzieć?

— Pytam go: „A dobra twoja żona?” — „Tak — mówi — dobra, ale stara”. I zaczyna mi opowiadać bzdurną historię bez końca o jakichś mosiężnych garnkach. Żyli ze sobą piętnaście lat, dwadzieścia lat, nie pamięta. Długo, bardzo długo. Porządna to była żona. Bił ją trochę, nie zanadto, tyle, ile się należało, póki była młoda. Musiał to robić dla swego honoru. Nagle, kiedy baba już się postarzała, ni stąd, ni zowąd pożycza trzy mosiężne garnki żonie syna swej siostry, a potem zaczyna jemu, mężowi, dzień w dzień krzykliwie wymyślać. Nieprzy-

jaciele szydzą z niego; twarz jego poczerniała od hańby. A garnki przepadły: strasznie go to ścięło z nóg... Niepodobna się połapać w takiej historii; poleciłem mu wrócić do domu i obiecałem, że sam przybędę, aby rozstrzygnąć tę sprawę. Dobrze panu się śmiać, ale to był pasztet, co się zowie! Cały dzień podróży przez las, potem drugi dzień spędzony na cackaniu się z tłumem głupich wieśniaków, żeby dobrać się do sedna sprawy. Mogło dojść na ten temat do krwawej bijatyki. Każdy z tych idiotów brał stronę tej lub tamtej rodziny i jedna połowa wsi była gotowa się rzucić na drugą, schwywszy, co by się znalazło pod ręką. Słowo honoru, to nie były żarty! I wyprawiali to wszystko zamiast się zabrać do swoich marnych żniw. Zwróciłem, naturalnie, starcowi jego cholerne garnki i uspokoiłem wszystkich. Nie miałem z tym żadnego kłopotu, ani trochę. Mógłbym zażegnać najkrwawszy spór w tym kraju, po prostu kiwnąwszy palcem. Tylko w tym sęk, żeby się dobrać do prawdy. Po dziś dzień nie jestem pewien, czy byłem dla wszystkich

sprawiedliwy. To mnie czasem gryzie. A ta gadanina bez końca! Boże święty! Zdawało się, że niepodobna w tym się rozeznąć. Wolałbym zdobywać stary ostrokół wysokości dwudziestu stóp. Tysiąc razy! To dziecinna zabawka wobec tamtego zadania. I nie zajmuje tyle czasu. No tak, w gruncie rzeczy musiało to śmiesznie wyglądać, tamten dureń wydawał się taki stary, że chyba mógłby być moim dziadkiem. Ale z drugiej strony nie była to fraszka. Moje słowo decyduje o wszystkim od chwili, gdy szeryf Ali został pobity. To okropna odpowiedzialność — powtórzył. — Doprawdy, proszę pana, mówię teraz poważnie; gdyby chodziło o życie trojga ludzi zamiast o trzy parszywe mosiężne garnki, byłoby to samo...

W taki sposób Jim uzmysławiał mi moralny skutek swego wojennego zwycięstwa. Było ono w samej rzeczy olbrzymie. Zaprowadziło go poprzez walkę do pokoju, poprzez śmierć — w sam środek życia tego ludu; lecz mroczny kraj, rozpostarty pod blaskiem słońca, zacho-

wał pozór niezbadanej, odwiecznej ciszy. Świeży, młodzieńczy głos Jima — to było nadzwyczajne, jak ten człowiek prawie się wcale nie zmienił — płynął lekko w dal ponad niezmiennym obliczem lasów, podobnie jak dźwięk armat w ów zimny, rosisty poranek, kiedy Jimowi o nic nie chodziło na świecie, tylko o to, by opanować wstrząsające nim dreszcze. Gdy pierwsze ukośne promienie słońca padły na nieruchome wierzchołki drzew, szczyt jednego wzgórze zakłębił się białymi chmurami dymu wśród potężnych wystrzałów, drugi zaś wybuchnął oszołamiającym zgiełkiem wrzasków, wojennych nawoływań, okrzyków gniewu, zdumienia, trwogi. Jim i Dain Waris dopadli pierwsi ostrokołu. Według powszechnie obiegającej pogłoski, Jim powalił wrota dotknięciem palca. Oczywiście nie przyznawał się bynajmniej do tego czynu. Tłumaczył mi z naciskiem, że ostrokoł nie był wcale groźną zaporą (szeryf Ali liczył głównie na niedostępne położenie swego obozu), w dodatku zaś pociski już go potrza-

skały i trzymał się tylko jakimś cudem. Jim wparł się weń jak kto głupi i zwałił się wraz z ostrokołem do środka. Gdyby nie pomoc Dain Warisa, ospowaty, wytatuowany drab byłby przybił Jima włócznią do drewnianego kołu na kształt jednego z chrząszczów Steina. Zdaje się, że trzecim z kolei, który się dostał do środka, był Tamb' Itam, służący Jima, Malaj z północy, cudzoziemiec, który zbłądził do Patusanu i został zatrzymany siłą przez radzę Allanga jako wiosłarz na jednej z paradnych łodzi. Uciekł stamtąd przy pierwszej sposobności, znalazł czasowy przytułek (lecz bardzo mało do jedzenia) wśród bugiskich osadników i został osobistym służącym Jima. Miał bardzo ciemną cerę, płaską twarz, wyłupiaste i nabiegłe żółcią oczy. Było coś przechodzącego miarę, prawie fanatycznego, w przywiązaniu Tamb' Itama do swego „białego pana”. Nie rozłączał się nigdy z Jimem jak jego ponury cień. Przy uroczystych okazjach szedł tuż za nim, następując mu prawie na pięty, z dłonią na rękojęści krisa, i trzymał pospólstwo w przyzwoitej odległo-

ści dzikim, ponurym spojrzeniem. Jim zrobił z niego rządcę folwarku; cały Patusan szanował Tamb' Itama i ubiegał się o jego względy jako osobnika o ogromnych wpływach. Przy zdobyciu ostrokołu odznaczył się wielce przez metodyczną dzikość w boju.

— Oddział szturmowy wtargnął tak prędko do ostrokołu — opowiadał Jim — że pomimo paniki, która ogarnęła załogę, zaciekle walka trwała przez jakie pięć minut, dopóki jakiś osioł nie podpalił szalásów z gałęzi i suchych traw, po czym wszyscy musieliśmy wiać przed ogniem.

Porażka wroga była zupełna. Doramin, czekający niewzruszenie w swym fotelu na zboczach wzgórza, wśród dymu dział, snującego się z wolna nad jego wielką głową, przyjął wiadomość o zwycięstwie głębokim pomrukiem. Gdy mu doniesiono, że jego syn wyszedł z walki cało i znajduje się na czele pościgu, uczynił w milczeniu potężny wysiłek, aby się dźwignąć. Ludzie ze świty pospieszyli mu z pomocą; podtrzymywany kornie, posunął się z wielką god-

nością ku niewielkiemu obszarowi cienia, gdzie legł do snu, nakryty od stóp do głów kawałem białego płótna.

Niezmierne podniecenie zapanowało w Patusanie. Jim mówił mi, że z tego właśnie wzgórza, odwróciwszy się od częstokołu pełnego żaru, czarnych popiołów i na wpół zwęglonych ciał, widział raz po raz, jak otwarte przestrzenie między domami po obu stronach rzeki wypełniają się nagle kipiącym tłumem i znów się w mig opróżniają. Do jego uszu dochodził słabo potężny dźwięk gongów i bicie w bębny; dzikie okrzyki tłumów brzmiały jak wybuchy zgłuszonego, ryku. Mnóstwo chorągwi trzepotało niby stado drobnego ptactwa — białego, czerwonego, żółtego — między brunatnymi grzbietami dachów.

— Jakaż to radość musiała być dla pana — szepnąłem, poruszony tym do żywego.

— Tak... to było... niesłychane! Wprost niesłychane! — krzyknął głośno, gwałtownym ruchem rozwierając ramiona.

Ten nagły ruch zaskoczył mnie, jak gdybym ujrzał Jima odsłaniającego tajemnice swego serca blaskowi słońca, zadumanym ponuro lasom, morzu ze stali. Pod nami miasto spoczywało w miękkich skrętach u wybrzeży rzeki, która zdawała się spać.

— Niesłychane! — powtórzył Jim po raz trzeci szeptem do samego siebie.

Było to zaiste niesłychane. Słowa Jima spełniły się: osiągnął powodzenie, pod stopami czuł zdobyty grunt, posiadał ślełą ufność ludzi, ocalałą z rozbicia wiarę w samego siebie — i wszystkiego tego dokonał samotny. Nie potrafię wyrazić wam w zwykłych słowach, jak zupełne, jak bezwzględne było osamotnienie Jima. A jak was już uprzedzałem — to wszystko w opowiadaniu wychodzi umniejszone. Naturalnie, że był tam ze swej rasy jeden jedyny, w całym tego słowa znaczeniu, lecz nieprzewidziane zalety jego natury zespoliły go tak blisko z otoczeniem, że ta samotność wydawała się jedynie wynikiem jego potęgi. Odosobnienie wyolbrzymiało. Jak okiem sięgnąć nie było nic,

z czym by go się dało zestawić, jakby był jednym z tych wyjątkowych ludzi, których można mierzyć jedynie wielkością ich chwały; a należy pamiętać, że chwała ta była czymś najwspanialszym w promieniu wielodniowej podróży. Należało odbyć długą, nużącą drogę, wiosłując lub torując sobie przejście skroś dżungli, aby się znaleźć poza zasięgiem jego sławy. Głos jej nie był krzykliwy ani bezczelny — jak dźwięk trąb owej bogini o złym imieniu, którą wszyscy znamy; ton swój zestroił z posępną ciszą tego kraju bez przeszłości, gdzie słowo Jima było jedyną prawdą każdego mijającego dnia. Jego sława miała w sobie coś z milczenia, poprzez które szła za ludźmi w niezbadane ostępy i dawała wciąż znać o sobie, przenikająca wszędzie, dalekosiężna — sprawiając, iż szepty na ludzkich ustach miały odcień podziwu i tajemniczości.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Pobity szeryf Ali uciekł z kraju, nie opierając się dłużej, a gdy nieszczęśni, prześladowani wieśniacy zaczęli wypelzać z dżungli i wracać do swych butwiejących domów, Jim w porozumieniu z Dainem Warisem wybrał spośród nich starszyznę. Tym sposobem stał się istotnym władcą kraju. Co się tyczy starego Tunku Allanga, z początku jego strach nie znał po prostu granic. Opowiadają, że usłyszawszy o zdobyciu wzgórza Allang, rzucił się twarzą na bambusową podłogę w sali przyjęć i leżał nieruchomo przez całą noc i cały dzień, wydając zduszone jęki tak przerażające, iż żaden człowiek nie śmiał podejść bliżej niż o długość włóczni do jego wyciągniętej postaci. Radza widział już oczyma duszy, jak wygnany haniebnie z Patusanu wędruje opuszczony, obdarty ze wszystkiego, bez opium, bez swych kobiet, bez świty, łatwa zwierzyna dla każdego, kto by chciał po nią sięgnąć. Po szeryfie Alim przyj-

dzie teraz kolej na niego, a któż by się oparł na padowi poprowadzonemu przez takiego szatana! I rzeczywiście, radza zawdzięczał życie i władzę — taką jaką miał jeszcze wciąż podczas mego pobytu w Patusanie — wyłącznie zapatrywaniom Jima na sprawiedliwość. Bugisom chodziło niezmiernie o załatwienie dawnych porachunków, a niewzruszony stary Doramin żywił nadzieję, że ujrzy swego syna na stanowisku władcy Patusanu. W czasie jednej z naszych rozmów pozwolił mi wejrzeć w tę swoją tajną ambicję. Nie znam nic doskonalszego w swoim rodzaju od dostojnej ostrożności, z jaką Doramin podchodził do przedmiotu. Zaczął od oświadczenia, że i on swego czasu zażywał siły za młodych lat, ale teraz oto się postarzał i jest już znużony... Jego potężna budowa i wyniosły wyraz małych oczek, rzucających mądre, przenikliwe spojrzenia, przypominały nieodparcie starego, chytrego słonia; powolne wznoszenie się i opadanie szerokich piersi było potężne i miarowe jak wzdzymanie się spokojnego morza. Oświadczył, że i on również

pokłada bezgraniczną ufność w mądrości tu-ana Jima. Gdyby tylko mógł uzyskać od niego obietnicę! Jedno słowo by wystarczyło!... Saplliwe milczenie Doramina i głucho dudniący jego głos przywodziły na myśl ostatnie wysiłki przemijającej burzy.

Usiłowałem odwrócić rozmowę. Przychodziło mi to z trudem, bo nie ulegało wątpliwości, że Jim miał w ręku siłę; rzekłbyś, iż w nowym swym świecie rozporządzał wszystkim według własnej woli. Ale, powtarzam, wszystko to było jeszcze nic w porównaniu z myślą — która mi zaświtała, podczas gdy słuchałem Doramina z pozorną uwagą — że Jim nareszcie zawładnął prawie zupełnie swym losem. Doramin niepokoił się o przyszłość kraju; byłem uderzony sposobem jego rozumowania. Mówił, że każdy kraj pozostaje tam, gdzie go Bóg umieścił, lecz biali ludzie przybywają i po krótkiej chwili odchodzą. Ci, których pozostawili, nie wiedzą, kiedy się spodziewać ich powrotu. Biali odjeżdżają do swego kraju, do swego narodu, więc i ten biały także... Nie wiem, jak to

się stało, że się zdradziłem w tej chwili, oświadczając energicznie: „Nie, nie!” Cała waga tej mojej niedyskrecji ujawniła się, gdy Doramin zwrócił ku mnie twarz — której wyraz, zastygły w surowych, głębokich bruzdach, pozostał niezmienny jak na wielkiej, brunatnej masce — i rzekł po namyśle, że to jest zaiste dobra nowina; i chciałby wiedzieć, dlaczego tuan Jim nie odjedzie.

Z drugiej strony obok mnie żona Doramina, podobna do małej, dobrodusznej czarownicy, siedziała z nakrytą głową i podwiniętymi nogami, patrząc przez wielki otwór w ścianie. Twarz miała odwróconą; widziałem tylko zbłąkane pasmo jej siwych włosów, zarys wysokiej kości policzkowej, lekki, żujący ruch spiczastej brody. Nie odrywając oczu od rozległego widoku lasów, rozpostartych aż po góry, zapytała mnie tonem pełnym litości, jak to się stało, że Jim, taki jeszcze młody, wywędrował w dalekie kraje, poprzez tyle niebezpieczeństw? Czyżby nie miał domu ani rodaków? Czy nie ma starej matki, która by pamiętała zawsze jego twarz?...

Byłem zupełnie nieprzygotowany na to pytanie. Zdobyłem się tylko na mruknięcie i pokręciłem głową w nieokreślony sposób. Zdaję sobie doskonale sprawę, że potem usiłowałem bardzo niezręcznie wyplątać się z trudnego położenia. Jednak od owej chwili stary *nakhoda* stał się milczący. Obawiam się, że nie bardzo był zadowolony; dałem mu widać dużo materiału do rozmyślań. Dość dziwnym zbiegiem okoliczności tak się złożyło, że wieczorem tego samego dnia (który był ostatnim dniem mego pobytu w Patusanie) spotkałem się jeszcze raz z tym samym pytaniem, z tym „dlaczego” odnoszącym się do losu Jima, na które odpowiedzieć nie mogłem. A to mnie prowadzi do dziejów jego miłości.

Pewno myślicie, że to jest historia, którą sami możecie sobie wyobrazić. Słyszeliśmy o tylu podobnych przygodach i większość z nas nie wierzy wcale, aby miłość grała w nich rolę. Uważamy je zwykle za miłostki — w najlepszym razie za przelotne namiętności, za dzieje młodzieńczych pokus skazanych w końcu na

zapomnienie, nawet jeśli przechodziły przez okres prawdziwej tkliwości i żalu. Ten pogląd jest na ogół słuszny i może także w tym wypadku... A jednak nie wiem. Opowiedzieć tę historię nie jest bynajmniej tak łatwo; byłoby niesprawiedliwością brać ją ze zwykłego punktu widzenia. Z pozoru jest to wydarzenie bardzo podobne do innych; ja tam jednak dostrzegam tragiczną postać kobietą z pieczęcią milczenia na ustach, cień okrutnej mądrości, pogrzebanej w samotnym opuszczonym grobie, spoglądający bezradnie i tęsknie. Ów grób, na który się raz natknąłem podczas rannej przechadzki, przedstawiał się jako nieforemny, brunatny kopiec, opasany u samej podstawy szlakiem z inkrustowanymi kawałkami białego koralu i ogrodzony płotem ze ściętych drzewek, na których pozostawiono korę. Girlanda z liści i kwiatów wiła się po wierzchu cienkich słupków — a kwiaty były świeże.

Tedy — choć przyznaję, że cień kobiety istniał może tylko w mej wyobraźni — mo-

gę w każdym razie zaznaczyć ważki fakt: ów grób utrzymany był starannie. Kiedy wam powiem w dodatku, że Jim wzniósł własnoręcznie sielski płot naokoło kopca, dostrzeżecie zaraz odrębność tej historii, jej indywidualny charakter. W tym podzielanu wspomnień i uczuć drugiej istoty jest powaga dająca dużo do myślenia. Jim posiadał sumienie, i to romantyczne sumienie. Żona ohydneho Corneliusa przez całe życie nie miała innej towarzyszki, powiernicy i przyjaciółki poza swą córką. Jak się to stało, że biedna kobieta wyszła za mąż za tego odrażającego Portugalczyka z Malakki, po rozstaniu się z ojcem swego dziecka, i jak się odbyło to rozstanie — czy przez śmierć, która bywa niekiedy miłosierna, czy przez bezlitosny nacisk konwenansu — pozostało dla mnie tajemnicą. Z niezliczonych wzmianek, które słyzałem na ten temat od Steina znającego tyle różnych historii, jestem przekonany, że nie była to zwykła kobieta. Jej ojciec — biały człowiek i wysoki urzędnik w dodatku — był jednym z tych wspaniale uzdolnionych ludzi, któ-

rzy nie są dość tępi, aby osiągnąć powodzenie, toteż kariera ich kończy się często w cieniu. Sądzę, że tej kobiecie brakowało również zbawiennej tępoty — i kariera jej skończyła się w Patusanie. To wspólny los wielu z nas... bo gdzież jest człowiek — mam na myśli prawdziwie uczuciowego człowieka — który nie przypomina sobie mgliście, jak w pełni posiadania został opuszczony przez kogoś — lub coś — cenniejszego od życia?... A to wspólne nam przeznaczenie pastwi się ze szczególnym okrucieństwem nad kobietami. Nie wymierza im kary jak władca, lecz zadaje im przewlekłe katusze, jakby chciało nasycić swój tajny, nieugaszony gniew. Można by pomyśleć, że los, przeznaczony do rządzenia nami na tej ziemi, szuka zemsty na istotach, które są najbliższe wyzwolenia się z pęt ziemskiej przezorności; bo tylko kobiety umieją niekiedy włożyć w miłość ów pierwiastek zaledwie dostrzegalny, który przejmując nas lękiem jak zetknięcie z czymś pozaziemskim. Pytam siebie z zaciekawieniem, jak też świat wygląda w oczach kobiet — czy ma

kształt i treść, która *nam* jest znana, czy ma powietrze, którym my oddychamy! Wydaje mi się niekiedy, że to musi być kraina nielogicznych wzniosłości, kipiąca od uniesień dusz wążących się na wszystko, opromieniona chwałą wszelkich możliwych hazardów i wyrzeczeń. Ale podejrzewam, że na świecie takich kobiet jest bardzo mało, choć oczywiście zdają sobie sprawę z mnogości ludzkiego rodzaju i równowagi liczebnej między obu płciami.

Jednak jestem pewien, że matka dziewczyny była najprawdziwszą kobietą, taką samą, jaką zdawała się być córka. Wyobrażam sobie często obie; z początku widzę młodą kobietę z dzieckiem, potem starszą kobietę z młodą dziewczyną — wśród okropnej jednostajności i szybko mijających lat; widzę je za zaporą lasu, samotne wśród wiru życia, a każde słowo, które zamieniają, przeniknięte jest smutkiem. Matka musiała prawdopodobnie zwierzać się córce, i to nie tyle z faktów, co z najgłębszych uczuć, żalu, lęku; zapewne padały i przestrogi, których dziewczyna nie rozumiała w całej pełni, póki

matka jej nie umarła i póki Jim się nie zjawił. Wówczas z pewnością zrozumiała wiele, choć nie wszystko, a chyba lęk przede wszystkim. Jim nazwał ją słowem, które oznacza coś drogocennego, na przykład drogocenny kamień, nazwał ją Klejnotem. Prawda, że ładnie? Ale on miał w sobie wszystkie możliwości. Był godzin swego powodzenia, tak jak i — w gruncie rzeczy — zasłużył był na swoje nieszczęście. Mówił do niej: „Klejnocie”, a wymawiał to zupełnie tak, jakby wołał: „Janko”, rozumiecie? takim spokojnym, małżeńskim, poufnym tonem. Usłyszałem to po raz pierwszy w dziesięć minut po przybyciu na dziedziniec Jima, który o mało co nie oderwał mi ręki, potrząsając nią na powitanie, a potem rzucił się na schody i jak rozradowany chłopczyk zaczął się awanturować u drzwi pod ciężkim okapem:

— Klejnocie! Słyszysz, Klejnocie! Prędko! Przyjechał mój przyjaciel! — Nagle zajrzał mi w oczy w półmroku werandy i szepnął poważnie: — Pan rozumie, to jest, tylko bez żadnych żartów, nie umiem wypowiedzieć, jak wiele jej

zawdzięczam, więc też, widzi pan, ja... zupełnie jak gdyby...

Jego gorączkowy, niespokojny szept urwał się nagle: wewnątrz domu mignęła biała postać, rozległ się słaby okrzyk i z ciemnego pokoju wyjrzała dziecinna, lecz pełna energii twarzyczka o delikatnych rysach i głębokim, uważnym spojrzeniu, jak ptak z głębi gniazda.

Uderzyło mnie, naturalnie, imię, jakim Jim na nią wołał, ale dopiero później zwróciłem uwagę na związek tego imienia z dziwacznymi pogłoskami, które doszły mnie podczas podróży w małej osadzie na wybrzeżu, około 230 mil na południe od ujścia patusańskiej rzeki. Szkuner Steina, na którym podróżowałem, zawinął tam po jakieś produkty. Wysiadłszy na brzeg, przekonałem się z wielkim zdziwieniem, że ta nędzna miejscowość szczyli się stałym rezydentem, trzeciorzędnym urzędniczyną, drabem mieszanego pochodzenia — wielkim, tęgim, ociekającym tłuszczem, o mrugających oczach i wywiniętych, świecących wargach. Zastałem go leżącego na wznak na trzciniowym leżaku; był

obrzydliwie rozpięty, na czubku parującej głowy miał wielki zielony liść, drugi zaś trzymał w ręku i wachlował się nim leniwie... Więc jadę do Patusanu? Ach tak, Spółka Handlowa Steina. Słyszał o niej. Wie, że Stein ma koncepcję.

— Ale mnie nic do tego. Teraz tam wcale jest nieźle — zauważył niedbale i mówił dalej, przeciągając: — Dostał się tam podobno jakiś biały włóczęga... Jak? Co pan mówi? Pański przyjaciel? Aha!... A więc mówiono mi prawdę, że to jeden z tych *verdammte*²⁰. Czegóż — on tam szukał? A hycel, więc się potrafił tam wśliznąć! Co pan mówi? Nie byłem tego pewien. Patusan, oho, podrzynają tam gardła jak nic, ale co mi do tego. — Urwał i zaczął jęczeć: — Uf! Boże ty mój! Ten upał, ten upał! Hm, wobec tego, co pan mówi, może i jest trochę prawdy w pogłoskach o... — Zamknął paskudne, szkliste oko (powieka drżała mu w dalszym ciągu), a drugim zerknął na mnie ohydnie. — Niech pan posłucha — rzekł tajemniczo — je-

²⁰*verdammte* (niem.) — przeklęci. [przypis edytorski]

żeli... rozumie pan? jeżeli tamten facet dobrał się rzeczywiście do czegoś, co warte zachodu... Nie do jakiegoś zielonego szkiełka, kapuje pan? Jestem oficjalną osobą... Otóż niech pan powie temu szelmie... Co? Jak? Pański przyjaciel? — Przewalał się wciąż spokojnie po leżaku. — Tak pan mówi? Bardzo pięknie; miło mi, że mogę dać panu te wskazówki. Pan chciałby pewno także trochę się na tym obłowić? Proszę mi nie przerywać. Pan mu powie po prostu, że słyszałem o tej historii, ale rządowi nic nie doniosłem. Jeszcze nie. Rozumie pan? I po co donosić? Prawda? Niech pan mu powie, żeby się u mnie stawił, jeśli go wypuszczą żywego z kraju. Powinien pilnować swej skóry. Co? Obiecuję, że żadnych pytań zadawać nie będę. Szyto, kryto, rozumie pan? Panu się także coś niecoś ode mnie okroi. Niewielka prowizja za zajęcie się tą historią. Proszę mi nie przerywać. Jestem urzędnikiem rządowym, ale raportu nie zrobię. Interes interesem. Kapuje pan? Znam paru porządnych ludzi, którzy kupią wszystko, co jest warte kupienia, i mogę dać temu łajda-

kowi porządny kawał grosza, taki, jakiego nigdy w życiu nie widział. Już ja wiem, jakiego to rodzaju ptaszek.

Patrzył we mnie spokojnie, otwarłszy oboje oczu, a ja stałem nad nim w nieopisanym zdumieniu, pytając siebie, czy on oszalał, czy też jest pijany. Pocił się, sapał, stękając z lekka, i drapał się z takim wstrętnym spokojem, że nie mogłem znieść dłużej tego widoku i nie dotarłem do sedna sprawy. Nazajutrz przekonałem się z przypadkowych rozmów, które prowadziłem na tamtejszym malutkim dworze, że wzdłuż wybrzeża wędruje z wolna opowieść o tajemniczym białym, osiadłym w Patusanie; człowiek ten zawładnął jakoby nadzwyczajnym klejnotem, a mianowicie szmaragdem olbrzymiej wielkości, wprost bezcennym. Zdaje się, że szmaragd bardziej działa na wyobraźnię Wschodu niż wszystkie inne kamienie. Opowiadano mi, iż biały wy dostał go — po części dzięki swej nadzwyczajnej sile, po części zaś dzięki chytrości — od władcy odległej krainy, skąd uciekł natychmiast i przybył do Patusanu wśród naj-

groźniejszych niebezpieczeństw; zdołał jednak wszystkich zastraszyć przez niezmierną swą dzikość, której nic poskromić nie zdoła. Większość mych informatorów była zdania, że ów drogocenny kamień przynosi zapewne nieszczęście — jak słynny kamień sułtana Sukkadany, który ongi sprowadzał na ten kraj wojny i klęski niesłychane. A może to ten sam kamień? Któż to może wiedzieć! I rzeczywiście opowieść o szmaragdzie bajecznej wielkości sięga przybycia pierwszych białych na archipelag, a wiara w to podanie jest tak uporczywa, że przed niespełna czterdziestu laty Holendrzy przeprowadzili co do tego urzędowe śledztwo. Starzec, który mi opowiadał najwięcej szczegółów o zdumiewającym micie Jimowym, był czymś w rodzaju pisarza przy nędznym, małym tamtejszym radzy; tłumaczył mi, wytrzeszczając biedne, niedowidzące oczy (siedział na podłodze w dowód szacunku), że taki skarb najlepiej przechowywać na łonie niewiasty. Lecz nie każda niewiasta nadaje się do tego. Musi być młoda, tu westchnął głęboko, i nieczuła na ponęty miłości.

Pokręcił sceptycznie głową. Jednak zdaje się, że taka kobieta doprawdy istnieje. Opowiadano mu o wysokiej dziewczynie, do której biały odnosi się z wielkim szacunkiem i troskliwością, a która nigdy sama z domu nie wychodzi. Ludzie mówią, że prawie co dzień widuje się białego w jej towarzystwie; chodzą oboje jawnie ramię w ramię, a on ją trzyma pod rękę i przyciska do siebie, o tak — w najdziwniejszy sposób. Może to i kłamstwo, przyznawał, bo to by było zaiste dziwne postępowanie; ale skądinąd nie ma wątpliwości, że ta dziewczyna nosi klejnot białego ukryty na piersiach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Taka rozeszła się pogłoska o wieczornych przechadzkach młodej pary. Uczestniczyłem w nich nieraz, a za każdym razem dawała mi się we znaki obecność Corneliusa, który uważał się za pokrzywdzonego w legalnych prawach ojcostwa i snuł się zawsze w pobliżu, wykrzywia-

jąc dziwacznie usta, co wyglądało, jakby miał natychmiast zazgrzytać zębami. Ale czyście zauważyli, że trzysta mil poza obrębem drutów telegraficznych i okrętowej komunikacji ponure utylitarne kłamstwa właściwe naszej kulturze więdną i zamierają, ustępując miejsca oderwanym ćwiczeniom wyobraźni, które są bezinteresowne, często posiadają urok, a niekiedy głęboko ukrytą prawdę dzieł sztuki? Romantyzm upodobał sobie Jima — i to było jedyną prawdą w tej opowieści. Jim nie ukrywał swego klejnotu. Wręcz przeciwnie, pysznił się nim niezmiernie.

Spostrzegam teraz, że w gruncie rzeczy bardzo mało widywałem tę dziewczynę. Utkwiła mi najbardziej w pamięci bladość jej gładkiej, oliwkowej cery i głębokie granatowoczarne połyski włosów spływających obficie spod małej czerwonej czapeczki, którą nosiła zawsze zsuniętą na tył kształtnej głowy. Ruchy jej były swobodne, pewne; kiedy się rumieniła, policzki jej okrywały się ciemną czerwienią. Gdyśmy rozmawiali we dwóch z Jimem, przesuwiała

się nieraz przez pokój, rzucając na nas szybkie spojrzenia; zostawało po niej wrażenie wdzięku, czaru i bardzo wyraźnej czujności. Jej zachowanie było dziwną mieszaniną śmiałości i lęku. Każdy jej uśmiech, pełen uroku, ustępował prędko wyrazowi głuchej, tłumionej trwogi, niby zmuszony do ucieczki przez jakieś grożące stale niebezpieczeństwo. Czasami, siadłszy przy nas, przysłuchiwała się rozmowie, podpierając drobną rączką delikatny policzek i żłobiąc w nim dołki: wielkie jej jasne oczy wisiały na naszych ustach, jakby każdy z wymówionych wyrazów miał jakiś widzialny kształt. Nauczyła się czytać i pisać od matki, a od Jima pochwytała sporo angielszczyzny; posługiwała się nią w sposób niesłychanie zabawny, mówiąc — zupełnie na wzór Jima — niedbale, uczniowskim tonem. Tkliwość jej unosiła się nad Jimem jak trzepot skrzydeł. Dziewczyna żyła w tak bezwzględnym zapatrzeniu się w niego, że przejęła coś z zewnętrznego wyglądu Jima, coś, co przypominało go w ruchach, w sposobie wyciągania ręki, oglądania się, rzu-

cania spojrzeń. Niezmierne natężenie jej czujnej miłości sprawiało, że można było prawie wyczuć tę miłość zmysłami; zdawała się naprawdę istnieć w przestrzeni naokoło Jima, otaczając go jak szczególny aromat, trwając w słońcu niby drżąca, stłumiona, namiętna nuta. Pewno bierzecie i mnie za romantyka, ale jesteście w błędzie. Opowiadam wam trzeźwe wrażenia, jakich doznałem w zetknięciu z młodocianością; opowiadam o dziwnym, niepokojącym romansie, który się znalazł na mojej drodze. Przyglądałem się z zaciekawieniem przebiegowi — powiedzmy — miłostki Jima. Był kochany zazdrośnie, ale dlaczego dziewczyna miała być zazdrosna i o co, nie umiem powiedzieć. Ten kraj, te lasy, ci ludzie byli jej współnikami, strzegli go w czujnym porozumieniu, sekretnie, tajemniczo, jako swej bezwzględnej własności. Zdawało się, że żaden głos nie dosięgnie tu Jima, więziła go własna jego wolność i potęga, a dziewczyna, choć była gotowa podesać mu głowę pod nogi, strzegła swej zdobyczy nieugięcie — jakby trudno było Jima utrzymać. Nawet Tamb'

Itam, który podczas naszych podróży chodził z zadartą głową, następując na pięty swemu władcy, dziki i obwieszony bronią jak janczar²¹, z krisem, kordelasem i włócznią (poza tym niósł jeszcze strzelbę Jima) — otóż nawet Tamb' Itam pozwalał sobie odgrywać rolę nieugiętego opiekuna, niby zgryźliwy dozorca, gotów oddać życie za swego więźnia. Wieczorami, kiedyśmy siadywali do późna, milcząca, niewyraźna postać chodziła bezszelestnymi krokami przed werandą tam i z powrotem; niekiedy zaś, podnosząc głowę, dostrzegałem niespodzianie, że Malaj stoi w cieniu, sztywny i wyprostowany. Po jakimś czasie zniknął zazwyczaj bez najmniejszego szmeru, lecz gdyśmy wstali z krzeseł, wyłaniał się tuż przy nas, jak gdyby z ziemi, gotów wypełnić wszelkie rozkazy Jima. Dziewczyna także, jak sądzę, nie kładła się spać, pókiśmy nie rozstali się na noc. Nie raz i nie dwa widziałem ich oboje z Jimem przez okna mego pokoju, wychodzących spokojnie na werandę; opierali się o grubą ciosaną poręcz — dwie

²¹*janczar* — żołnierz dawnej piechoty tureckiej. [przypis edytorski]

zbliżone do siebie białe postacie; Jim obejmował dziewczynę, a ona kładła mu głowę na ramieniu. Dochodziły do mnie ciche ich szepoty, wyraźne, tkliwe, brzmiące spokojną, smutną nutą wśród nocnej ciszy, niby obcowanie z sobą jednej i tej samej istoty, rozłożone na dwa tony. Później, przewracając się na łóżku pod siatką od moskitów, słyszałem wyraźnie słabe trzaski, lekki oddech, ostrożne pochrząkiwania — i wiedziałem, że to Tamb' Itam jest wciąż na czatach. Choć miał (z łaski białego władcy) dom w obejściu Jima, choć „pojął żonę” i związek jego został niedawno pobłogosławiony przez urodzenie dziecka, zdaje się, że sypiał co noc na werandzie, a w każdym razie było tak podczas mego pobytu w Patusanie. Dogadać się z tym wiernym i ponurym sługą bardzo było trudno. Nawet samemu Jimowi odpowiadał w krótkich, urywanych zdaniach, rzekłbyś, niechętnie, jakby dawał do zrozumienia, że bawienie się w rozmowę do niego nie należy. Najdłuższe zdanie, jakie wypowiedział sam z siebie, usłyszałem pewnego ranka, gdy

rzekł, wskazując na Corneliusa: „Tam idzie Nazarejczyk”. Nie sędzę, aby się do mnie z tym zwracał, choć stałem u jego boku; zdaje mi się, że chciał raczej pobudzić oburzoną uwagę wszechświata. Kilka aluzji do psów i zapachu pieczonego mięsa, które przy tym wymamrotał, uderzyły mnie szczególną trafnością. Wielka kwadratowa przestrzeń dziedzińca była zalana rozpalonym blaskiem słońca, a Cornelius skąpany w jaskrawym świetle lazył przez sam środek, widzialny jak na dłoni; mimo to jednak miało się nieokreślone wrażenie, że idzie chyłkiem, że się skrada potajemnie w jakichś ciemnych zamiarach. Przywodził na myśl wszystko, co najwstrętniejsze. Jego powolny, pracowity chód przypominał czołganie się odrażającego karalucha; tylko nogi poruszały mu się z ohydny mozolem, tułów zaś sunął nieruchomo. Przypuszczam, że kierował się wprost tam, dokąd zamierzał się udać, ale jego chód z wysuniętym naprzód ramieniem robił wrażenie, że idzie na ukos. Widywano go często krążącego wolno między szopami, jakby wywąchiwał

jakiś ślad; mijał werandę, spoglądając w górę ukradkiem, i znikał bez pośpiechu za węglem pierwszej lepszej chaty. Zupełna swoboda ruchów, którą mu pozostawiono, dowodziła bezsensownej niedbałości Jima lub też jego niezmiernej pogardy, gdyż Cornelius odegrał rolę co najmniej bardzo dwuznaczną w pewnym epizodzie, który mógł się skończyć dla Jima jak najgorzej, a tymczasem przyczynił się tylko do jego chwały. Lecz wszystko obracało się na jego chwałę; była pewna ironia łaskawego mu losu w tym, że Jim, który raz przez chwilę okazał zbytnią troskliwość o swoje życie, zdawał się teraz posiadać czar przeciw śmierci.

Trzeba wam wiedzieć, że opuścił posiadłość Doramina bardzo prędko po swym przybyciu, w gruncie rzeczy o wiele za prędko, jeśli chodziło o jego bezpieczeństwo, i oczywiście na długi czas przed wojną. Powodowało nim poczucie obowiązku; mówił mi, że musiał się przeciw zająć interesami Steina. W tym celu przeprowił się przez rzekę ze skrajnym lekceważeniem swego bezpieczeństwa i zamieszkał u Cor-

neliusa. Jak się temu ostatniemu udało przetrzymać okres zamieszek, tego nie umiem powiedzieć. Ostatecznie był agentem Steina i jako taki pozostawał w pewnej mierze pod protekcją Doramina. Tak czy inaczej, udało mu się wywinąć z tych groźnych komplikacji; nie mam zaś wątpliwości, że jego postawa, bez względu na narzuconą mu linię postępowania, odznaczała się nikczemnością, która była niejako piętnem tego człowieka. Oto właśnie główny jego rys charakterystyczny: był z gruntu nikczemny, co odbijało się także na jego wyglądzie, podobnie jak inni ludzie mają wygląd szlachetny, dystyngowany lub wzbudzający szacunek. Ów pierwiastek jego natury przenikał wszystkie jego czyny, namiętności i wzruszenia; Cornelius wściekał się nikczemnie, uśmiechał nikczemnie, a także i nikczemnie się martwił; jego uprzejmości i oburzenia były jednakowo nikczemne. Wyobrażam sobie, że jego miłość byłaby najnikczemniejszym z uczuć — ale czy można sobie wyobrazić, aby wstrętny owad się

kochał? A i obrzydliwość jego była także nikczemna, tak że pierwszy lepszy człowiek budzący tylko odrazę wydałby się obok niego szlachetny. Cornelius nie znajduje się ani na pierwszym, ani na ostatnim planie tego opowiadania; widać go po prostu, jak snuje się chyłkiem gdzieś po jego krańcach, zagadkowy i nieczysty, mącąc wonny zapach młodości i prostoty.

Stanowisko jego mogło być w każdym razie tylko bardzo nędzne, ale nie jest wykluczone, że ciągnął zeń pewne korzyści. Jim mówił mi, że z początku Cornelius okazywał mu w odrażający sposób najprzyjaźniejsze uczucia.

— Ten człowiek nie posiadał się widać z radości — rzekł Jim z obrzydzeniem. — Rzucał się na mnie co rano i potrząsał mi obie ręce, daj go katu! Ale nie wiedziałem nigdy, czy będę miał co jeść na śniadanie. Jeśli dostałem trzy posiłki w ciągu dwóch dni, uważałem się za szczęśliwego; w dodatku kazał mi podpisywać co tydzień kwit na dziesięć dolarów. Mówił, że chyba pan Stein sobie nie wyobraża, aby on, Cornelius, za darmo mnie ży-

wił. A nie dawał mi prawie nic do jedzenia. Tłumaczył to zamieszaniem panującym w kraju, przy tym zaś udawał, iż sobie włosy z głowy wyrywa, i przepraszał mnie dwadzieścia razy na dzień, tak że w końcu musiałem go błagać, aby się tym nie przejmował. Robiło mi się niedobrze na widok tych komedii. Dach jego domu był na wpół zapadnięty, a całe mieszkanie wyglądało nadzwyczaj nędznie; z dziur sterczały źdźbła suchej trawy, strzępy podartych mat trzepotały na wszystkich ścianach. Cornelius starał się dowieść usilnie, że pan Stein winien mu jest pieniądze za trzy ostatnie lata handlu, ale wszystkie książki były podarte, a kilku z nich brakowało. Dawał do zrozumienia, że to wina jego zmarłej żony. Wstręt na kanalia! W końcu zakazałem mu w ogóle swoją żonę wspominać. To pobudzało Klejnot do płaczu. Nie dowiedziałem się nigdy, co się stało z wszystkimi towarami; w składach nie było nic prócz szcurów wyprawiających harce wśród śmieci, odpadków brunatnego papieru i starych worków. Zapewniano mnie na

wszystkie strony, że Cornelius ma mnóstwo pieniędzy, które gdzieś zakopał, ale oczywiście nie mogłem nic z niego wycisnąć. Prowadziłem w tym nieszczęsnym domu najmarniejsze życie, jakie sobie można wystawić. Usiłowałem pełnić swoje obowiązki w stosunku do Steina, ale trzeba było myśleć także i o innych sprawach. Kiedy uciekłem do Doramina, stary Tunku Allang zląkł się i zwrócił mi wszystkie moje rzeczy. Odbyło się to krętą drogą w niezmiernie tajemniczy sposób za pośrednictwem Chińczyka, który utrzymuje tu sklepik; lecz z chwilą gdy opuściłem Bugisów, aby zamieszkać u Corneliusa, zaczęto rozpowiadać otwarcie, że radza postanowił mnie wkrótce zgładzić. Przyjemne, co? Nie widziałem nic, co by mogło mu przeszkodzić, gdyby rzeczywiście na to się zdecydował. A najgorsze, zdawałem sobie sprawę, że mój pobyt w Patusanie zupełnie jest bezużyteczny i dla Steina, i dla mnie. Och! tych sześć tygodni — to było coś piekielnego.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Mówił mi dalej, że nie wie, co go skłoniło do odkładania wyjazdu — ale możemy to naturalnie odgadnąć. Miał głębokie współczucie dla bezbronnej dziewczyny, która była na łasce tego nędznego, tchórzliwego łotra. Zdaje się, że Cornelius okropnie się z nią obchodził, nie posuwając się jednak do fizycznego znęcania się tylko dlatego, że — jak sędzę — brakowało mu odwagi. Nalegał, aby nazywała go ojcem, „i to z szacunkiem — z szacunkiem”, wykrzykiwał grożąc jej małą żółtą pięścią.

— Jestem człowiekiem zasługującym na szacunek, a ty czym jesteś? No mów — czym jesteś? Myślisz, że będę wychowywał cudze dziecko i nie żądał za to szacunku? Powinnaś się czuć szczęśliwa, że ci pozwalałam nazywać siebie ojcem. No dalej, odpowiadaj: tak, ojcze... Nie chcesz? Zaraz ci tu pokażę!

I póty wymyślał na zmarłą, póki dziewczyna nie uciekła, trzymając się oburącz za głowę. Ścigał ją, wbiegał do mieszkania i wybiegał na

dwór, latał naokoło domu i między szopami; wreszcie zapędzał ją w jakiś kąt, gdzie padała na kolana, zatkawszy uszy, a wówczas stawał za nią z daleka i jednym ciągiem wykrzykiwał plugawe wymysły przez jakie pół godziny.

— Twoja matka to była diablica, chytra diablica — i z ciebie także diablica — wybuchał w końcu, podnosił grudkę zeschniętej ziemi albo garść błota (pełno było błota naokoło domu) i rzucał jej na głowę.

Niekiedy jednak stawiała mu czoło, pełna pogardy, mierząc go wzrokiem w milczeniu, z ponurą, zmienioną twarzą, i tylko od czasu do czasu wypowiadała parę słów, od których żądła tamten się wił i skakał. Jim opowiadał mi, że te sceny były okropne. Natrafić na coś podobnego w dzikiej głuszy było naprawdę czymś niezwykłym. Pomyślcie tylko, jak przerażająca była beznadziejność tej wyrafinowanej okrutnej sytuacji.

Szacowny Cornelius (Malajowie nazywali go „Inchi 'Nelyus” z grymasem dającym wiele do myślenia) był człowiekiem, którego spo-

tkał wielki zawód. Nie wiem, czego się spodziewał w zamian za swoje małżeństwo, lecz najwidoczniej zupełna swoboda kradzenia, popełniania nadużyć i przywłaszczenia sobie od lat towarów Spółki Handlowej Steina w sposób dla siebie najwygodniejszy — (Stein dostarczał bez zawodu towarów do Patusanu za każdym razem, kiedy szyprowie Spółki mogli tam dotrzeć) — otóż swoboda ta nie wydawała się Corneliusowi należytym równoważnikiem za ofiarę z jego szacownego nazwiska. Jim byłby go z rozkoszą zbił na kwaśne jabłko; ale z drugiej strony owe sceny były czymś tak przykrym i ohydny, że idąc za pierwszym odruchem, usuwał się poza obręb głosu, aby oszczędzić wstydu dziewczynie. Wychodziła z takiej sceny wzburzona, niema, przyciskając niekiedy ręce do piersi z kamienną, zrozpaczoną twarzą. Wówczas Jim przybliżał się i zgnębiony, próbował do niej przemówić.

— Ależ, doprawdy, po co się tym tak przejmować, może pani spróbuje teraz coś zjeść —

albo też okazywał jej współczucie w jakiś inny sposób.

Cornelius wślizgiwał się ustawicznie to tymi, to owymi drzwiami i myszkował po werandzie, niemy jak ryba, rzucając spode łba wrogie, podejrzliwe spojrzenia.

— Mogę mu tego zabronić — rzekł raz Jim do niej. — Niech pani tylko szepnie słowo.

I czy wiecie, co mu powiedziała? Odrzekła, Jim powtórzył mi to z przejęciem, iż gdyby nie miała pewności, że Cornelius jest sam bardzo nieszczęśliwy, znalazłaby odwagę, aby go zabić własnymi rękoma.

— Niechże pan sobie to wyobrazi! Ta biedna dziewczyna, prawie dziecko, doprowadzona do czegoś podobnego! — wykrzyknął Jim ze zgrozą.

Wydawało się niepodobieństwem uchronić ją nie tylko przed tym podłym łotrem, ale i przed nią samą. To, co Jim odczuwał, było, jak mówił, czymś daleko większym od współczucia; zdawało mu się, że coś ciąży mu na sumieniu, kiedy patrzył na jej życie. Uważałby

swój wyjazd z Patusanu za niegodziwą dezer-
cję. Zrozumiał w końcu, że nie może się tu
spodziewać niczego po dłuższym pobycie, ani
rachunków, ani pieniędzy, ani jakichkolwiek
wyjaśnień, ale mimo to nie wyjeżdżał, dopro-
wadzając tym Corneliusa do rozjątrzenia gra-
niczącego, nie powiedziałbym z szaleństwem,
ale prawie z odwagą. A tymczasem Jim czuł,
że przeróżne niebezpieczeństwa gromadzą się
skrycie wkoło niego. Doramin posyłał dwa ra-
zy zaufanego sługę, aby mu powiedzieć z na-
ciskiem, że nic dla jego bezpieczeństwa zrobić
nie może, póki Jim nie przeprawi się z powro-
tem przez rzekę i nie zamieszka wśród Bugi-
sów jak przedtem. Ludzie najróżniejszego au-
toramentu odwiedzali Jima częstokroć głuchą
nocą, aby wyjawić mu spiski knute na jego ży-
cie. Chciano go otruć. Chciano go zasztyleto-
wać w łazience. Przygotowywano się do zabicia
go z łódki na rzece. Każdy z donosicieli twier-
dził, że jest mu bardzo życzliwy. To wystarczy-
ło, mówił Jim, aby pozbawić człowieka spoko-
ju raz na zawsze. Zamachy w tym rodzaju były

najzupełniej możliwe, nawet prawdopodobne, ale kłamliwe ostrzeżenia dawały Jimowi tylko poczucie groźnych knowań, czających się nokoło w mroku ze wszystkich stron. Trudno obmyślić coś bardziej skutecznego dla wyprowadzenia z równowagi najsilniejszych nerwów. Wreszcie pewnej nocy sam Cornelius, odgrywając komedię wielkiego niepokoju i tajemniczości, wyjawiał Jimowi pewien projekt w słowach obleśnych i uroczystych, projekt następujący: on, Cornelius, podejmuje się za sto dolarów, nawet za osiemdziesiąt, powiedzmy: osiemdziesiąt, dostarczyć zaufanego człowieka, który przemyci Jima bezpiecznie przez rzekę. Nie ma już teraz innej rady, jeśli Jim dba choć trochę o życie. Cóż to jest osiemdziesiąt dolarów? Drobnostka. Sumka bardzo nieznaczna. A tymczasem Cornelius, który musi pozostać tu na miejscu, dosłownie wyzywa śmierć tym dowodem przywiązania do młodego przyjaciela pana Steina. Bardzo trudno było Jimowi znieść widok wstrętnych min, które Cornelius stroił; targał się za włosy, bił w piersi, kiwał się z rę-

kami przyciśniętymi do brzucha i nawet udawał, że roni łzy. „Pańska krew spadnie na pana własną głowę” — skrzeknął wreszcie i wybiegł. Ciekawe, do jakiego stopnia Cornelius był szczery, odgrywając tę scenę. Jim wyznał mi, że oka nie zmrużył po wyjściu tego człowieka. Leżał na wznak na cienkich matach rozpostartych na bambusowej podłodze, usiłując na próżno rozróżnić gołe krokwie i przysłuchując się szelestom w podartej strzesze. Gwiazda zamigotała nagle przez dziurę w dachu. Myśli Jima goniły się jak szalone; mimo to jednak właśnie tej nocy dojrzał w jego umyśle plan, w jaki sposób zwyciężyć szeryfa Alego. Rozwazywał sytuację już przedtem, każdej chwili wolnej od beznadziejnego wglądania w interesy Steina, ale sam pomysł przyszedł mu wtedy nagle do głowy: ujrzał po prostu armaty wciągnięte na szczyt wzgórza. Leżał tak, bardzo przejęty i bardziej rozbudzony niż kiedykolwiek. Było mu gorąco, zerwał się i wyszedł boso na werandę. Idąc po cichu, natknął się na dziewczynę stojącą nieruchomo pod ścianą jak gdyby na

czatach. Taki był wzburzony, że nie zdziwił go wcale ani jej widok, ani też szept niespokojny, gdy zapytała, gdzie może być Cornelius. Odpowiedział po prostu, że nie wie. Jęknęła z cicha i wyjrzała na podwórze. Spokój panował wszędzie. Jim miał głowę pełną swego nowego planu i taki był nim przejęty, że nie mógł się powstrzymać, aby natychmiast dziewczynie wszystkiego nie opowiedzieć. Wysłuchawszy go, klasnęła leciutko w dłonie, szepcząc cicho słowa podziwu, ale najwidoczniej miała się wciąż na baczności. Sądzę, że przywykł był zwierzać się jej ze wszystkiego, a z całą pewnością ona ze swej strony mogła mu dawać mnóstwo pożytecznych wskazówek co do spraw Patusanu — i dawała mu je bez wątpienia. Zapewniał mnie nieraz, iż nigdy źle na tym nie wyszedł, jeśli posłuchał jej rady. Otóż wyjaśniał jej właśnie szczegółowo swój projekt, gdy nagle ścisnęła go za ramię i znikła. Zaraz potem Cornelius skądś się wyłonił; ujrzawszy Jima, uskoczył w bok, jakby do niego strzelono, i stanął nie-

ruchomo wśród mroku. W końcu posunął się naprzód ostrożnie jak podejrzliwy kot.

— Przyszło tam kilku rybaków... z rybami na sprzedaż — rzekł drżącym głosem. — Uważa pan, handlują rybami... — Musiała być wtedy jaka druga nad ranem, akurat odpowiedni czas dla przekupnia zachwalającego swój towar!

Ale Jim pominął to oświadczenie, nie poświęcając mu ani jednej myśli. Niczego nie zauważył i nie dosłyszał. „Aha!” — rzekł z roz-targnieniem, popił wody z dzbana stojącego na werandzie, wszedł z powrotem do domu i wy-ciągnął się na macie, aby rozmyślać. Inne spra-wy go zaprzętały, więc pozostawił własnym my-ślom Corneliusa, który, nurtowany przez ja-kieś niezrozumiałe wzruszenie, objął oburącz stoczoną przez robaki poręcz werandy, jakby nogi się pod nim ugięły. Niebawem Jim usły-szał skradające się kroki. Zatrzymały się. Drżą-cy głos szepnął przez ścianę:

— Czy pan śpi?

— Nie! A co takiego? — rzekł żywo.

Za ścianą dał się słyszeć nagły ruch, a potem wszystko ucichło, jakby ów ktoś, kto szepotał, został spłoszony. Jim, podrażniony do ostateczności, wybiegł gwałtownie; Cornelius wydał słaby okrzyk i zaczął uciekać wzdłuż werandy, lecz zatrzymał się przy schodach i oparł o złamaną poręcz. Wszystko to bardzo Jima zdziwiło; krzyknął z daleka, pytając, co to, u diabła, ma znaczyć.

— Czy pan się zastanowił nad tym, co panu mówiłem? — spytał Cornelius, wymawiając słowa z trudnością, jak człowiek, który ma atak dreszczów.

— Nie! — krzyknął Jim w pasji. — Nie zastanawiałem się i zastanawiać nie myślę. Zostanę tutaj, w Patusanie.

— U-u-mrze pan t-t-tutaj — odparł Cornelius zamierającym jakby głosem, trzęsąc się wciąż gwałtownie.

Wszystko to było takie głupie i drażniące, że Jim nie wiedział, czy ma się śmiać, czy złościć.

— Założmy się, że nie umrę, póki nie dopilnuję, aby pana zamknęli! — krzyknął, wściekły, lecz skłonny do śmiechu. I wołał dalej na wpół serio (podniecony, jak wiecie, swymi myślami): — Choćbyś pan pękł, nic mi pan zrobić nie możesz!

Daleki cień Corneliusa wydał mu się jakimś nienawistnym wcieleniem wszystkich zgryzot i trudności, które spotkał na swojej drodze. Przestał panować nad sobą, nerwy już od dawna miał przemęczone, i zaczął wyzywać Corneliusa różnymi pięknymi słowami: oszust, łgarz, nędzny łajdak — naprawdę w sposób niesłychany. Przyznał sam, że przebrał miarę, że stracił panowanie nad sobą, cały Patusan rzucił na głowę Corneliusowi, aby go przepędzić, oświadczył, iż wszyscy będą tu jeszcze tańczyli tak, jak on, Jim, im zagra — i tak dalej. Cały potok grózb i przechwałek. Mówił mi, że był bardzo górnolotny i bardzo śmieszny. Na samo wspomnienie o tym paliły go uszy. Zachowywał się tak, jakby dostał bzika. Dziewczyna, która z nami siedziała, skinęła ku mnie szyb-

ko małą główką, zmarszczyła się trochę i rzekła dziecinnie uroczystym tonem:

— Słyszałam to wszystko. — Jim roześmiał się i zaczerwienił.

— Co mnie wreszcie osadziło — powiedział — to milczenie, zupełne, śmiertelne milczenie niewyraźnej postaci z oddali, która jak gdyby osłabła, przewieszona przez poręcz w dziwacznym bezruchu. — Oprzytomniał i nagle zamilkł, bardzo samym sobą zdumiony. Śledził Corneliusa przez chwilę. Żadnego ruchu, żadnego dźwięku.

— Zupełnie jak gdyby skonał, gdy ja wyprawiałem cały ten hałas — rzekł Jim. Taki był zawstydzony, że wrócił do siebie w pośpiechu, nie mówiąc ani słowa, i rzucił się znów na posłanie. Ta awantura dobrze mu widać zrobiła, bo przez resztę nocy spał jak zabity. Nie sypiał tak już od tygodni.

— Ale *ja* nie spałam — wtrąciła dziewczyna, siedząc z łokciem wspartym o stół i policzkiem w dłoni. — Czuwałam. — Potoczyła

wzrokiem; błysnęły jej wielkie oczy, które badawczo utkwiała w mej twarzy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Możecie sobie wyobrazić, z jak wielkim słuchałem zajęciem. W dwadzieścia cztery godziny później okazało się, że wszystkie te szczegóły miały swoje znaczenie. Rano Cornelius nie robił żadnych aluzji do nocnych wypadków.

— Przypuszczam, że pan wróci do mego ubogiego domu — mruknął zgryźliwie, wyslizgując się skądś właśnie w chwili, gdy Jim wchodził do czółna, aby się udać do *kampungu* Doramina. Jim skinął tylko głową, nie patrząc na niego. — Widzę, że pan uważa to wszystko za dobry kawał — dodał cierpko Cornelius.

Jim spędził dzień ze starym *nakhodą*, głosząc konieczność energicznych czynów przed najznacześniejszymi mężami bugiskiej społeczności, zwołanymi na wielką naradę. Wspomniał

mi z przyjemnością, jaki był wymowny i przekonujący.

— Doprawdy, udało mi się tym razem wlać w nich ducha — rzekł.

Ostatnia wyprawa szeryfa Alego zniszczyła krańce osady; Arabowie uprowadzili kilka kobiet do swego warownego obozu. Dzień przedtem widziano na targu wysłańców szeryfa Alego kroczących wyniośle w białych płaszczach i chełpiących się przyjaźnią radży dla ich pana. Jeden z tych ludzi, stojący w cieniu drzewa, wysunął się naprzód i wsparty na długiej lufie strzelby, wzywał obecnych do modlitwy i skruchy, doradzając, aby zabili wszystkich cudzoziemców znajdujących się w kraju, albowiem są między nimi niewierni, a nawet jeszcze gorsi od niewiernych, dzieci szatana w muzułmańskim przebraniu. Doniesiono także, iż wielu z ludzi radży, znajdujących się wśród słuchaczy, głośno mówcy potakiwało. Popłoch wśród pospólstwa był wielki. Jim, rad niezmiernie ze swego całodziennego trudu, przeprowił się z powrotem przez rzekę, nim słońce zaszło.

Biorąc na siebie odpowiedzialność za powodzenie, zdołał nieodwołalnie nakłonić Bugisów do czynu — i ogarnęła go taka radość, że usiłował być grzeczny nawet dla Corneliusa. W odpowiedzi na to Cornelius stał się szalenie wesoły; Jim opowiadał, że było to prawie nie do niesienia — słuchać pisków tego człowieka, zanoszącego się fałszywym śmiechem, widzieć, jak się kryguje i mruga, a potem nagle chwyta za brodę i kurczy się tuż nad stołem, patrząc błędnie przed siebie. Dziewczyna się nie pokazała i Jim poszedł wcześniej do siebie. Kiedy wstawał od stołu, aby powiedzieć dobranoc, Cornelius zerwał się, przewracając krzesło i dał nurka, jakby chciał podnieść coś, co wypadło mu z ręki. Jego „dobranoc” rozległo się chrypliwie pod stołem. Zdumiony Jim ujrzał go wynurzającego się z opadłą szczęką i oczami wytrzeszczonymi w idiotycznym strachu. Cornelius trzymał się za brzeg stołu.

— Co się stało? Czy panu niedobrze? — spytał Jim.

— Tak, tak, tak. Brzuch mnie strasznie boli — odrzekł tamten; zdaniem Jima, była to najzupełniejsza prawda. Zważywszy na czyn, który Cornelius miał na myśli, należy ten objaw strachu uznać za dowód jeszcze niezupełnej zatwardziałości Corneliusa i zapisać to na jego dobro.

Tymczasem sen Jima został zakłócony majakiem; wydało mu się, że niebiosy rozbrzmiewają, jak miedź, wielkim głosem wołającym na niego: zbudź się! zbudź się! tak donośnie, iż wbrew rozpaczliwemu postanowieniu, aby spać dalej, obudził się naprawdę. Blask czerwonych, trzaskających płomieni, jakby zawieszonych w powietrzu, padł mu na oczy. Zwoje gęstego, czarnego dymu kłębiły się naokoło głowy jakiegoś zjawiska, niezziemskiego zjawiska, całego w bieleli, o surowej, nateżonej, niespokojnej twarzy. Jim rozpoznał po chwili dziewczynę. Jej ramię z pochodnią było wyprężone nad głową; powtarzała wytrwale nagłym, jednostajnym głosem:

— Niech pan wstanie! Niech pan wstanie!
Niech pan wstanie!

Zerwał się raptownie; dziewczyna natychmiast wetknęła mu do ręki rewolwer, jego własny rewolwer, który wisiał na gwoździu, ale był tym razem nabity. Wziął go w milczeniu, oszłomiony, mrużąc oczy od światła. Zastanawiał się, co też będzie mógł dla niej zrobić.

Zapytała szybko i bardzo cicho:

— Czy pan może stawić czoło czterem ludziom z tym rewolwerem?

Opowiadając mi to, Jim roześmiał się na wspomnienie uprzedzającej grzeczności, jaką okazał dziewczęciu.

— Naturalnie, że tak — oczywiście — jestem na pani rozkazy.

Nie otrząsnął się jeszcze ze snu i miał wrażenie, że zachowuje się bardzo odpowiednio w tych niezwykłych okolicznościach, ujawniając bezwzględną gotowość na wszystko. Dziewczyna wyszła z pokoju, Jim za nią; na korytarzu zakłócili spokój starej jędzy, która od czasu do czasu gotowała dla domowników, choć by-

ła już taka zgrzybiała, że z trudnością mogła, zrozumieć, co się do niej mówi. Dźwignęła się i poszła za nimi, kulejąc i mrużąc coś bezzębnymi ustami. Na werandzie hamak z żaglowego płótna — własność Corneliusa — bujał się lekko, trącony łokciem Jima. Był pusty.

Filia w Patusanie, tak jak i wszystkie stacje Spółki Handlowej Steina, składała się początkowo z czterech budynków. Dwa z nich przedstawiały obecnie stosy chrustu, połamanych bambusów i zbutwiałej strzechy, nad którymi cztery narożne słupy z twardego drzewa chyliły smętnie pod różnymi kątami; główny skład jednak stał jeszcze naprzeciw domu agenta. Była to podłużna szopa ulepiona z błota i gliny; u jednego jej końca znajdowały się szerokie drzwi z grubych desek, które dotychczas trzymały się jeszcze na zawiasach, a w bocznej ścianie był czworokątny otwór na kształt okna z trzema drewnianymi sztabami. Przed zejściem z paru stopni dziewczyna zwróciła głowę w tył ku Jimowi i rzekła prędko:

— Mieli napaść na pana podczas snu.

Jim mówił mi, że doznał wówczas w pewnym sensie rozczarowania. — Znowu ta sama historia! — Znudziły go zamachy na jego życie. Miał po uszy wszystkich alarmów. Aż do obrzydzenia. Był zły na dziewczynę, że go zwiodła. Poszedł za nią, przekonany, że to ona potrzebuje jego pomocy, i teraz, zniechęcony, prawie że miał ochotę wykręcić się na pięcie i wrócić.

— Wie pan — wyjaśniał mi z głębokim zastanowieniem — zdaje mi się, że w owym czasie, przez szereg tygodni, jak gdybym nie był właśnie samym sobą.

Nie mogłem się powstrzymać od zaprzeczenia:

— Ależ pan był właśnie sobą!

Tymczasem dziewczyna sunęła szybko naprzód, a Jim szedł za nią na podwórze. Ogradzające je płoty dawno już się rozpadły i bawoły sąsiadów kroczyły rano powoli przez otwartą przestrzeń, głucho postępując; nawet dżungla zaczynała tu się już wdzierać. Jim i dziewczyna zatrzymali się w bujnej trawie. Światło, w któ-

rym stali, pogłębiało ciemności dokoła i tylko nad ich głowami połyskiwała mnogość gwiazd. Jim mówił mi, że była to cudowna noc — zupełnie chłodna, z leciutkim powiewem od rzeki. Zauważył widać jej dobrotliwe piękno. Nie zapominajcie o tym, że opowiadam wam teraz historię miłosną. Ta piękna noc zdawała się tchnąć na nich łagodną pieśczętą. Płomień pochodni chwiał się niekiedy, trzepocząc głośno jak chorągiew, i przez jakiś czas nic więcej nie było słycać.

— Czeka ją w składzie — szepnęła dziewczyna — czeka ją tam na sygnał.

— Czyj sygnał? — zapytał Jim.

Wstrząsnęła pochodnią, która buchnęła płomieniem, rozsypawszy deszcz iskier.

— Tylko że spał pan tak niespokojnie — ciągnęła szeptem. — Ja także nad panem czuwałam.

— Pani! — zawołał, obracając głowę, aby na nią spojrzeć.

— Pan myśli, że ja czuwałam tylko tej nocy! — powiedziała jak gdyby z rozpaczą i oburzeniem.

Mówił mi, że te słowa podziały na niego niby cios w piersi. Tchu mu zabrakło. Doznał wrażenia, że zachowywał się dotąd jak cham — poczuł skruchę, wzruszenie, szczęście, dumę. Przypominam wam znowu, że to jest historia miłosna; można to zresztą poznać po głupocie — bynajmniej nie odpychającej — po wzniosłej głupocie ich zachowania; po tym postoju w świetle pochodni, jakby na benefis²² ukrytych zbrodniarzy przybyli tu umyślnie, żeby ze sobą rozprawiać. Jim słusznie zauważył, że gdyby wysłańcy szeryfa Alego mieli choć za grosz odwagi — ta chwila byłaby najodpowiedniejsza do napaści. Serce Jima waliło — ale nie z trwogi; wydało mu się, że słyszy szelest trawy, i wyszedł prędko poza obręb światła. Coś ciemnego i niewyraźnego mignęło szybko i przepadło.

²²*benefis* (z fr. *bénéfice*: pożytek, korzyść) — daw.: przedstawienie a. koncert, z którego zyski były przeznaczone dla jednego z artystów; dziś: okolicznościowe przedstawienie a. koncert dla uhonorowania artysty lub zespołu, najczęściej z okazji jubileuszu; *na czyjś benefis*: na czyjąś rzecz, dla kogoś. [przypis edytorski]

Zawołał głośno: „Cornelius! Hej, Cornelius!”
Nastąpiła głęboka cisza; zdawało się, że głos Jima nie sięgnął poza jakichś dwadzieścia stóp. Dziewczyna znalazła się znów u jego boku.

— Niech pan ucieka! — rzekła.

Starucha zbliżała się; pokraczna jej postać sunęła na skraju światła w kulawych, drobnych podskokach; usłyszeli pomruk i lekki jęk czy westchnienie.

— Niech pan ucieka! — powtórzyła gorączkowo dziewczyna. — Oni boją się teraz tego światła — tych głosów. Wiedzą, że pan się obudził — wiedzą, że pan jest wielki, silny, nieustraszony...

— Jeżeli jestem taki, jak pani mówi — zaczął, lecz dziewczyna przerwała mu.

— Tak, dzisiaj! ale co będzie jutro? Pojutrze? I jeszcze później — przez wiele, wiele następnych nocy? Czy ja mogę czuwać zawsze? — Usłyszał niby szloch, niby westchnienie, i wzruszyło go to nad wszelki wyraz.

Mówił mi, że jeszcze nigdy nie czuł się taki nędzny, taki bezsilny, a co do odwagi, to

— rozmyślał — na cóż mogła się przydać? Był tak bezradny, że nawet ucieczka wydała mu się bezcelowa; i choć dziewczyna szeptała wciąż z gorączkowym naciskiem: — Niech pan wraca, niech pan wraca do Doramina — Jim zdał sobie sprawę, że dla niego nigdzie nie ma ucieczki od osamotnienia, które go otaczało, zwiększając stokrotnie wszelkie niebezpieczeństwa; że nie ma dla niego ucieczki, tylko w niej jednej.

— Pomyślałem — rzekł do mnie — że jeśli odejdę od niej, będzie to jakby koniec wszystkiego.

Ponieważ nie mogli stać wiecznie w środku tego podwórza, Jim postanowił pójść i zajrzeć do składu. Pozwolił jej iść za sobą, nie myśląc się temu sprzeciwiać, jakby byli nierozwiązalnie złączeni.

— Jestem nieustraszony, prawda? — mruknął przez zęby.

Powstrzymała go za ramię.

— Niech pan zaczeka, póki pan nie usłyszysz mojego głosu — rzekła i z pochodnią w ręku lekkim krokiem pobiegła za szopę.

Został sam w ciemnościach, zwrócony twarzą ku drzwiom; żaden odgłos, choćby najlżejszy, nie dochodził z przeciwnej strony. Stara jędrza jęknęła ponuro gdzieś za plecami Jima. Nagle usłyszał wysoki głos dziewczyny, przechodzący prawie w krzyk:

— Teraz! Pchnąć drzwi!

Pchnął gwałtownie; otworzyły się ze zgrzytem i klekotem, odsłaniając ku niezmiernemu zdumieniu Jima niskie wnętrze, podobne do więzienia, oświetlone ponurym, chwiejnym blaskiem. Dym kłębił się w dół na pustą, drewnianą pakę na środku podłogi zaśmieconej słomą i gałganami, które jakby usiłowały wznieść się w górę, poruszając się słabo w przewiewie. Dziewczyna wsunęła światło przez sztaby w oknie. Widział jej nagie, okrągłe ramię; dzierżyła pochodnię tak nieporuszenie, że wydawało się — osadziła ją w żelaznej klamrze. Strzępiasty stos starych mat w kształcie stożka zapełniał odległy kąt szopy prawie do sufitu — i to było wszystko.

Jim mówił mi, że poczuł na ten widok gorzkie rozczarowanie. Jego wytrzymałość już od tygodni była narażona na próbę; było tyle ostrzeżeń i napomknień o niebezpieczeństwie, że zapragnął ulgi. Pragnął się zetknąć z rzeczywistością, z czymś dotykającym, czemu by mógł stawić czoło.

— To by oczyściło powietrze przynajmniej na parę godzin — pan przecież rozumie, o co mi chodzi — rzekł do mnie. — Przecież żyłem już od tylu dni z kamieniem na piersiach.

Myślał, że zetknie się wreszcie z czymś realnym — a tu nic! Żadnego śladu, żadnego znaku czyjejś tam obecności. Kiedy drzwi się otwały, podniósł rękę z bronią, teraz mu ramię opadło.

— Niech pan strzela! Niech pan się broni! — wołała dziewczyna z rozpaczą w głosie. Stojąc w ciemności z ramieniem wsuniętym aż po pachę w niewielki otwór, nie mogła widzieć, co się dzieje w środku, a nie śmiała cofnąć teraz pochodni, aby biec do niego.

— Nie ma tu nikogo! — wrzasnął Jim pogardliwie iomalże nie wybuchnął złym, rozjątrzoną śmiechem, który mu zamarł na ustach, bo w chwili kiedy już się miał odwrócić, dostrzegł, że ze stosu mat wyziera para oczu, z którymi zamienia spojrzenie. Ujrzał połyskliwy ruch białek.

— Wyłaź! — krzyknął z wściekłością, trochę jeszcze niepewny, i ciemna głowa, głowa bez torsu, ukształtowała się pośród śmieci, dziwna, oderwana, patrząca na niego spokojnie.

W następnej chwili poruszył się cały kopiec; człowiek wynurzył się zeń szybko z cichym pomrukiem i dał susa w kierunku Jima. Maty podskoczyły i rozleciały się; prawe ramię napastnika, zgięte w łokciu, było wzniesione, a matowe ostrze krisa wystawało z pięści trzymanej tuż nad głową. Przepaska obwinięta ciasno koło bioder bielila się olśniewająco na brązowym ciele; naga skóra połyskiwała jak mokra.

Jim zauważył to wszystko. Mówił mi, że doznał niewysłowionej ulgi, mściwego unie-

sienia. Powstrzymał się umyślnie od strzału. Opóźnił go o dziesiątą część sekundy — czas nieokreślenie długi, w którym napastnik zbliżył się o trzy kroki. Jim opóźnił strzał dla uprzytomnienia sobie: ten człowiek jest już martwy! Był niewzruszenie pewien swego. Pozwolił mu się zbliżyć, ponieważ to nie miało już znaczenia. Ten człowiek jest martwy. Zauważył jego rozdęte nozdrza, szeroko rozwarte oczy, zapamiętały, żarliwy spokój twarzy i wreszcie strzelił.

Huk w tej zamkniętej przestrzeni był ogłuszający. Jim odstąpił krok w tył. Widział, jak napastnik poderwał głowę, wyrzucił naprzód ramiona i upuścił kris. Jim stwierdził potem, że strzelił mu w usta, trochę ku górze, tak że kula wyszła wysoko z tyłu czaszki. W rozpędzie napastnik posuwał się wciąż jeszcze naprzód z otwartymi ustami i wykrzywioną twarzą, macając przed sobą rękoma, jakby zaniewidział — wreszcie runął na twarz ze straszliwą siłą tuż przed nagimi stopami Jima. Jim mówił, że nie uszedł mu najdrobniejszy szczegół

tej sceny. Poczul się nagle spokojny, ukojony, bez złości, bez żadnej obawy, jak gdyby śmierć tego człowieka zadośćuczyniła za wszystko. Pochodnia napełniała szopę dymem i kopciem, wśród których spokojny płomień gorzał bez drgnienia krwawą czerwienią. Jim posunął się w głąb stanowczym krokiem, przestępując przez martwe ciało, i wziął na cel drugą nagą postać, rysującą się niewyraźnie w drugim końcu szopy. Gdy już miał pociągnąć za kurek, człowiek ów odrzucił z siłą krótką, ciężką włócznię i przysiadł ulegle na piętach tyłem do ściany, splótłszy ręce między kolanami.

— Prosisz o życie? — spytał Jim.

Tamten ani mruknął.

— Ilu was jest jeszcze? — spytał Jim znowu.

— Jeszcze dwóch, tuanie — rzekł człowiek bardzo cicho, patrząc wielkimi, urzeczonymi oczyma w lufę rewolweru.

Zgodnie z jego oświadczeniem jeszcze dwóch ludzi wypełzło spod mat, wyciągając ostentacyjnie puste ręce.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Jim kazał im iść naprzód i wyprowadził całą grupę z szopy; a przez cały ten czas pochodnia tkwiła prostopadle w ujęciu drobnej dłoni, która nawet nie drgnęła. Trzej ludzie słuchali Jima bez słowa, poruszając się automatycznie. Ustawił ich rzędem.

— Weźcie się za ręce! — rozkazał. Usłuchali go.

— Ten, który cofnie rękę albo się obejrzy, jest trupem — rzekł. — Marsz!

Ruszyli sztywno naprzód; szedł za nimi, a z boku niosła pochodnię dziewczyna w białej powłóczystej sukni, z czarnymi włosami spadającymi do pasa. Prosta i gibka, zdawała się sunąć, nie dotykając ziemi: słychać było tylko jedwabisty szmer i szelest wysokiej trawy.

— Stać! — krzyknął Jim.

Brzeg rzeki był stromy; z dołu bił wielki chłód, światło padało na skraj gładkiej, ciemnej wody pieniającej się bez zmarszczek; na prawo

i lewo szeregi domostw zbiegały się pod ostrymi zarysami dachów.

— Pozdrówcie ode mnie szeryfa Alego, póki sam się nie zgłoszę — rzekł Jim. Żadna z trzech głów nie poruszyła się. — Skakać! — zagrzemiał.

Trzy pluski zlały się w jeden, wzbił się deszcz bryzgów, czarne głowy zakotłowały się gwałtownie i zanikły; ale wciąż było słychać potężne sapanie i parsknięcia, słabnące stopniowo, bo wszyscy trzej nurkowali pilnie w wielkim strachu przed pożegnalnym strzałem. Jim zwrócił się do dziewczyny, która przez cały czas była niemą i uważną obserwatorką. Wydało mu się nagle, że serce rozpiera mu piersi i podchodzi do gardła; zapewne dlatego zaniemówił na tak długo. Dziewczyna odwzajemniła jego spojrzenie i cisnęła palącą się pochodnię do rzeki z wielkim rozmachem. Czerwony, ogniasty blask, zatoczywszy wielki łuk wśród nocy, zapadał się z gniewnym sykiem, a spokojne, łagodne światło gwiazd zstąpiło na nich już niczym nie zmącone.

Nie wiem, co Jim jej powiedział, gdy w końcu odzyskał głos. Wątpię, aby był bardzo wymowny. Świat zaległa cisza, wokół nich dyszała noc, jedna z tych nocy jakby stworzonych do czułości. Zdarzają się chwile, kiedy dusze, wyzwolone ze swych ciemnych zasłon, goreją cudowną wrażliwością, która sprawia, że czasem milczenie przejrzystsze jest niż mowa. Jim mówił mi dalej o dziewczynie:

— Osłabła na chwilę. Tyle podniecenia — pan rozumie. Nastąpiła reakcja. Musiała być piekielnie zmęczona... i tak dalej. I, co tu dużo gadać, okazało się, że mnie kocha, uważa pan... Ja także... Nie wiedziałem naturalnie... nie przyszło mi to nigdy do głowy...

Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem, trochę poruszony.

— Ja, ja kocham ją całym sercem. Bardziej niż się to da wypowiedzieć. Naturalnie, że tego wypowiedzieć nie można. Człowiek patrzy inaczej na swoje czyny, kiedy rozumie, kiedy go *zmuszają* co dzień do rozumienia, że jego życie

jest niezbędne, uważa pan, dosłownie niezbędne dla kogoś drugiego. A ja do rozumienia tego jestem zmuszany. To cudowne. Ale niech pan tylko spróbuje sobie wyobrazić, czym było jej życie. Coś nieprawdopodobnie straszne! Prawda? I ja, który znalazłem ją tutaj, tak jakbym wychodząc na przechadzkę, natknął się na kogoś tonącego w samotnym, zatraconym miejscu. Słowo daję! Nie było ani chwili do stracenia. A poza tym to jest odpowiedzialność. Wierzę, że jej podołałam...

Tu mi wypada zaznaczyć, że dziewczyna zostawiła nas samych już na chwilę przedtem. Jim uderzył się w piersi.

— Tak! Czuję tę odpowiedzialność, ale wierzę, że potrafię swoje szczęście udźwignąć.

Miał dar przypisywania szczególnego znaczenia wszystkiemu, co go spotykało. Toteż zapatrywał się podobnie i na swoje sprawy miłosne, idyllicznie, nieco uroczyście, a zarazem szczerze, ponieważ jego wiara miała niewzruszoną powagę młodości. W jakiś czas później powiedział mi znów przy innej okazji:

— Jestem tu dopiero od dwóch lat, a teraz, słowo daję, nie umiem sobie wyobrazić, abym mógł mieszkać gdziekolwiek indziej. Sama myśl o tamtym zewnętrznym świecie przejmuje mnie strachem; ponieważ, rozumie pan — ciągnął dalej ze spuszczonej oczami, patrząc na swój but, którym rozgniatał dokładnie grudkę zeschniętego błota (przechadzaliśmy się właśnie nad brzegiem rzeki) — ponieważ nie zapomniałem, dlaczego tu się znajduję. Jeszcze nie!

Starłem się na niego nie spojrzeć, ale zdaje mi się, że doszło mnie krótkie westchnienie; przeszliśmy parę razy, milcząc, tam i z powrotem.

— Przysięgam na swoją duszę — zaczął znowu — że jeśli w ogóle można o tym zapomnieć, to ja mam prawo wymazać to z pamięci. Niech pan zapyta któregoś z tutejszych ludzi... — ton jego się zmienił. — Czy to nie dziwne — ciągnął łagodnym, prawie tęsknym głosem — że wszyscy ci ludzie, choć nie ma rzeczy, której by dla mnie nie zrobili, nigdy

by tego nie byli w stanie zrozumieć? Nigdy! Jeżeliby pan temu, co mówię, nie wierzył, nie mógłbym się na nich powołać. To mi się jednak wydaje ciężkie. Głupi jestem, prawda? Czegóż więcej mógłbym pragnąć? Gdyby pan ich zapytał, komu by powierzyli swoje życie, kto jest odważny, kto jest prawy, kto jest sprawiedliwy? — odpowiedzieliby: tuan Jim. A jednak nie mogą nigdy poznać istotnej, istotnej prawdy...

Oto co mi powiedział ostatniego dnia, który z nim spędziłem. Nie pozwoliłem sobie nawet na szept; czułem, że będzie mówił dalej i że się do jądra sprawy nie zbliży. Słońce, którego skupiony blask przemienia ziemię w pyłek nieznaną spoczynku, zapadło za las, a rozproszone światło opalowego nieba zdawało się rzucać na świat bez cieni i blasków złudę spokojnej, zadumanej wielkości. Nie wiem dlaczego, przysłuchując się Jimowi, zwracałem tak baczniejszą uwagę na stopniowe ściemnianie się rzeki i powietrza; na nieodpartą, powolną pracę nocy, która sadowi się po cichu na wszystkim,

co widzialne, zaciera kontury, grzebie kształty coraz głębiej i głębiej jak spokojny osad nieuchwytnego, czarnego pyłu.

— Słowo daję — zaczął nagle — zdarzają się dni, kiedy człowiek czuje się po prostu głupi, tylko ja wiem, że panu to wszystko mogę powiedzieć. A więc — skończyłem już z tym, z tą zmorą... Ale zapomnieć... Do licha! Nie wiem, czy potrafię... Mogę o tym myśleć spokojnie. Ostatecznie, czego tamto dowiodło? Niczego. Ale pan tak pewnie nie myśli...

Mruknałem coś przecząco.

— Mniejsza z tym — rzekł. — Jestem prawie... zadowolony. Potrzebuję tylko spojrzeć w twarz pierwszemu lepszemu z tutejszych ludzi, żeby odzyskać pewność siebie. Niepodobna im wyjaśnić, co we mnie się dzieje. Cóż z tego? Przecież tak źle się nie sprawiłem.

— Wcale nieźle — odrzekłem.

— A jednak nie miałby pan ochoty mieć mnie na pokładzie swojego statku, co?

— A niechże pana, doprawdy! — krzyknąłem. — Dość już tego.

— Aha! Widzi pan — zawołał, jakby spokojnie nade mną tryumfując. — Ale — ciągnął — niech pan tylko spróbuje powiedzieć to któremukolwiek z tutejszych ludzi. Pomyślą, że pan jest durniem, kłamcą albo czymś jeszcze gorszym. I dlatego właśnie jestem w stanie znieść — tamto. Zrobiłem dla nich coś niecoś; a oto jest to, co oni dla mnie zrobili.

— Mój kochany chłopcze! — zawołałem — pozostanie pan dla nich zawsze niezbadaną tajemnicą.

Po czym zamilkliśmy.

— Tajemnicą — powtórzył i zanim podniósł oczy, dodał: — A więc, pozwólcie mi tu zostać na zawsze.

Po zachodzie słońca ciemność zdawała się na nas pędzić, niesiona każdym nikłym powiewem. Na środku ogrodzonej ścieżki zobaczyłem nieruchomą sylwetkę Tamb' Itama — szczupłą, czujną — jak gdyby o jednej nodze; a skroś zmierzchu oko moje dostrzegło, że coś białego porusza się tam i z powrotem za słupami podtrzymującymi dach. W chwili gdy Jim, z Tamb'

Itamem następującym mu na pięty, wyruszył na obchód wieczorny, poszedłem sam do domu i niespodzianie zostałem zatrzymany przez dziewczynę, która najwidoczniej na mnie czekała.

Trudno mi jest wam określić, co właściwie pragnęła mi wydrzeć. Chodziło jej oczywiście o coś bardzo prostego, o taką najprostszą na świecie niemożliwość, jak na przykład dokładny opis kształtu chmury. Pragnęła zapewnienia, stwierdzenia, obietnicy, wytłumaczenia, nie wiem, jak mam to nazwać: ta rzecz nazwy nie posiada. Było ciemno pod wystającym dachem i mogłem widzieć tylko zarys jej powłóczystej sukni, drobny, blady owal twarzy z o połyskliwych zębach i zwrócone ku mnie ciemne wgłębienia oczu, w których jakby coś poruszało się słabo; zdaje się nam czasem, że dostrzegamy coś podobnego, wpatrując się w niezmiernie głęboką studnię. Co to się tam rusza? — pytamy siebie. Jakiś ślepy potwór czy tylko zagubiony odbłask z wszechświata? Przyszło mi na myśl, nie śmiejcie się ze mnie, że —

choć to porównanie jest dziwne — dziewczyna bardziej była nieprzenikniona w swej dziecinnej niewiedzy niż sfinks zadający wędrowcom dziecinne zagadki. Wywieziono ją do Patusanu, zanim oczy jej na świat się otwały. Wyrosła tam; nie widziała nic, nie знаła nic, nie miała o niczym pojęcia. Pytam siebie, czy była pewna, że cośkolwiek innego w ogóle istnieje. Niepojęte jest dla mnie, jakie wyobrażenie mogła sobie wyrobić o zewnętrznym świecie; jedynymi jego mieszkańcami, których znała, byli — zdradzona kobieta i ponury błazen. Ukochany jej przybył też stamtąd, obdarzony nieprzepar- tym urokiem, ale co się z nią stanie, jeśli Jim wróci znów do niepojętych krain, które zawsze zdawały się żądać z powrotem tych, co je opuścili. Matka ostrzegała ją przed tym ze łzami, zanim umarła...

Chwyciła mnie mocno za ramię, a z chwilą gdy się zatrzymałem, cofnęła rękę z pośpiechem. Była śmiała i płochliwa. Nie czuła lęku przed niczym, ale powstrzymywała ją głęboka niepewność i niezmierna obcość; była jak

człowiek odważny, szukający po omacku drogi w ciemnościach. Należałem przecie do nieznanego, które każdej chwili mogło zażądać Jima dla siebie. Byłem niejako dopuszczony do tajników tego nieznanego. Znałem jego zamiary, niby zausznik posiadający groźny sekret i zbrojny w jego siłę! Myślę, iż przypuszczała, że mógłbym jednym słowem wyrwać jej z ramion Jima; jestem przekonany, że podczas moich długich z nim rozmów przechodziła męki niepokoju, prawdziwe, nieludzkie katusze; byłoby to mogło doprowadzić ją do knucia zamachu na moje życie, gdyby miała w sobie dość srogości, aby stawić czoło tej okropnej sytuacji, którą stworzyła jej własna wyobraźnia. Oto jest moje wrażenie i nic więcej powiedzieć wam nie mogę; wszystko to wyjaśniło mi się stopniowo, a w miarę jak zaczynałem rozumieć, przytłaczało mnie coraz bardziej uczucie niedowierzającego zdumienia. Byłem zmuszony jej wierzyć, lecz żadne słowa nie oddadzą wrażenia, które na mnie wywarły jej porywcze, gwałtowne szepty, cichy, namiętny głos, nagłe pau-

zy bez tchu i wymowne ruchy białych ramion wyciągających się szybko. Ramiona te opadły; widmowa postać zachwiała się jak smukłe drzewo na wietrze, blady owal się pochylił; niepodobna było rozróżnić jej rysów, mrok oczu był niezgłębiony; dwa szerokie rękawy wzniosły się w ciemności jak rozpostarte skrzydła i objąwszy głowę rękami, stała tak w milczeniu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Byłem ogromnie przejęty; jej młodość i nieświadomość, jej pełna wdzięku uroda, która miała prosty czar i delikatną żywotność polnego kwiatu, jej wzruszające prośby, jej bezradność przemawiały do mnie z siłą, która prawie dorównywała jej nieuzasadnionemu, lecz naturalnemu strachowi. Tak jak i my wszyscy, bała się nieznanego, a jej niewiedza wyolbrzymiała je w nieskończoność. Byłem dla niej uosobieniem tego całego świata, do którego należą i ja, i wy tu obecni, świata, który ani dbał

o Jima, ani go potrzebował. Byłbym chętnie przed nią ręczył za obojętność całej ziemi tętniącej życiem, ale przyszło mi na myśl, że Jim należy także do tajemniczego nieznanego, którego dziewczyna się lęka, i że cokolwiek bym w jej oczach uosabiał, Jima uosabiać nie mogę. Zawahałem się. Jej szept pełen beznadziejnego bólu rozwiązał mi usta. Zacząłem ją zapewniać, że co do mnie, to na pewno nie przyjechałem po to, ażeby jej zabrać Jima.

Więc dlaczego tu przybyłem? Poruszyła się z lekka i stała znów nieruchomo wśród nocy jak marmurowy posąg. Usiłowałem jej pokrótce wyjaśnić, że sprowadziły mnie interesy, przyjaźń; jeżeli mam jakie życzenie dotyczące Jima, to wolałbym raczej, aby został w Patusa-

nie.

— Oni zawsze nas porzucają — szepnęła.

Od grobu, który wieńczyła pobożnie kwiatami, powiało jakby nikłe westchnienie, pełne smutnej mądrości. Rzekłem, że nic jej z Jimem rozłączyć nie może.

Jestem o tym głęboko przeświadczony teraz — byłem tego pewien i wówczas; wszystkie fakty złożyły się na to niezmiennie przekonanie. Zbyteczne było mi jej zapewnienie, które wypowiedziała szeptem, jak gdyby do samej siebie:

— Przysięgał mi to.

— Czy pani go o to prosiła?

Podeszła o krok bliżej. Nie! Nigdy! Prosiła, aby odjechał. Było to owej nocy na wybrzeżu, kiedy zabił tego człowieka i kiedy ona rzuciła pochodnię do wody, bo na nią tak patrzył. Było za jasno, a niebezpieczeństwo już minęło — na krótki czas... na krótki czas. Powiedział wtedy, że nie zostawi jej z Corneliussem. Ponowiła swe prośby. Żądała znów, by ją opuścił. Powiedział, że tego nie zrobi, że to jest niemożliwe. Drżał, mówiąc to. Czowała, jak drży... Nie potrzeba wiele wyobraźni, aby sobie odtworzyć tę scenę, aby prawie usłyszeć ich szepty. Bała się też i o niego. Zdaje mi się, że w owej chwili widziała w nim tylko ofiarę nieuniknionych niebezpieczeństw, które rozumiała lepiej od nie-

go samego. Choć sama tylko obecność Jima sprawiła, że owaładnął jej sercem, że wypełnił wszystkie jej myśli i opanował wszystkie uczucia, nie doceniała widoków jego powodzenia. Okazuje się, iż nikt wówczas nie umiał ich docenić. Właściwie mówiąc, zdawało się doprawdy, że nie ma przed Jimem żadnych widoków. Wiem, że i Cornelius podzielał to przekonanie. Wyznał mi to, aby usprawiedliwić dwuznaczną rolę, którą odegrał w spisku szeryfa Alego, mającym na celu usunięcie niewiernego. Nawet sam szeryf Ali, co mi się teraz wydaje pewne, miał dla białego tylko pogardę. Chciano zamordować Jima z powodów głównie religijnych, jak mi się zdaje. Miał to być prosty akt pobożności (i właśnie dlatego wysoce chwalebny), ale skądinąd bez wielkiego znaczenia. Cornelius był również tego zdania.

— Czcigodny panie — dowodził, łasząc się przede mną, kiedy zdołał mnie jeden jedyny raz przyłapać sam na sam — czcigodny panie, skąd ja mogłem wiedzieć? Kimże on właściwie był? Czy mógł co zrobić, aby ludzie mu uwierzy-

li? A cóż pan Stein sobie myślał, posyłając takiego młodego chłopca na to, aby starego służbę traktował z góry? Gotów byłem ocalić go za osiemdziesiąt dolarów. Tylko za osiemdziesiąt dolarów. Czemu się ten dureń stąd nie wyniósł? Więc ja miałem się narażać na zasztylowanie z powodu jakiegoś cudzoziemca? — Płaszczył się przede mną, zgiąwszy się wpół, obłudnie, a ręce jego błądziły u mych nóg, jakby był gotów objąć mi kolana. — I cóż to jest osiemdziesiąt dolarów? Taka drobna sumka dla bezbronного starca zrujnowanego na całe życie przez tę zmarłą piekielnicę. — Tu się rozplakał.

Ale uprzedzam wypadki. Natknąłem się owej nocy na Corneliusa dopiero po rozmowie z dziewczyną.

Była daleka od egoizmu, nalegając, aby Jim ją opuścił, a nawet, aby wyjechał z kraju. Miała na myśli przede wszystkim jego bezpieczeństwo, nawet jeśli pragnęła także siebie ocalić, może nieświadomie; ale zważcie na ostrzeżenie, która miała w pamięci, zważcie na to, że brała naukę z każdej chwili życia swej niedaw-

no zmarłej matki, życia, w którym skupiały się wszystkie jej wspomnienia. Padła Jimowi do nóg — tam nad rzeką, w dyskretnym świetle gwiazd, które nie ukazywało nic prócz wielkich, milczących skupień cieniów, prócz nieokreślonych, otwartych przestrzeni i drżało nikielnie na szerokiej rzece, czyniąc ją rozległą jak morze. Jim podniósł dziewczynę. Podniósł ją, a wtedy przestała już walczyć. Oczywiście. Silne ręce, czuły głos, dzielne ramię, na którym tak wygodnie oprzeć biedną, samotną główkę. Potrzeba, niezmierna potrzeba tego wszystkiego dla obolałego serca, dla skołatanej duszy; podszepty młodości, konieczność chwili. Cóż chcecie? Łatwo to pojąć, chyba że się nie jest zdolnym nic w ogóle zrozumieć. Więc też była szczęśliwa, gdy ją podniósł i przytrzymał w ramionach. Przypomniałem sobie słowa Jima, które szepnął mi kiedyś śpiesznie u progu swego domu z troską i niepokojem na twarzy: „Proszę pana, pan rozumie — to jest rzecz poważna, to nie żadne głupstwo!” Nie znam się tak dalece na głupstwach, ale w ich miłości nie

było nic lekkomyślnego; zeszli się w cieniu życiowej klęski, jak rycerz i dziewczica spotykający się dla wymiany przysięg w ruinach nawiedzanych przez duchy. Światło gwiazd wystarczało im zupełnie, światło tak nikłe i dalekie, że nie mogło cieniów przemienić w kształty ani ukazać drugiego brzegu rzeki. Patrzyłem tej nocy na rzekę z miejsca, gdzie wówczas stali; toczyła się niema i czarna jak Styks. Odjechałem nazajutrz, ale nie sądzę, abym kiedy zapomniał, przed czym to dziewczyna pragnęła się uchronić, gdy błagała Jima, aby ją opuścił, póki jeszcze był czas. Powiedziała mi to spokojnie, zbyt głęboko była przejęta, aby mogła czuć się podniecona, powiedziała głosem tak spokojnym wśród mroku jak jej biała, ledwie widzialna postać. Powiedziała mi:

— Nie chciałam umierać, płacząc.

Wydało mi się, że jej nie dosłyszałem.

— Nie chciała pani umierać, płacząc? —
powtórzyłem za nią.

— Tak jak moja matka — dodała natychmiast. Zarysy jej białej postaci ani drgnęły. — Moja matka płakała gorzko przed śmiercią — wyjaśniła.

Wokół nas niepojęty spokój zdawał się wzno-
sić nieznacznie z ziemi i chłonał przejawy na-
szych wzruszeń, jak cicho wzbierający nocny
przyływ pochłania znaki orientacyjne na brze-
gu. Przejął mnie nagły strach, jak gdybym, sto-
jąc w wodzie, uczuł, że tracę grunt pod noga-
mi, strach przed nieznaną głębią. A dziewczyna
opowiadała dalej, że kiedy została sam na
sam z matką w czasie jej chwil ostatnich, mu-
siała odejść od łóża i podeprzeć plecami drzwi,
aby nie wpuścić Corneliusa. Chciał się dostać
do pokoju i walił we drzwi obiema pięściami,
przestawał zaś od czasu do czasu tylko po to,
by krzyknąć chrapliwie: „Wpuść mnie! Wpuść
mnie! Wpuść mnie!” W odległym kącie po-
koju konająca leżała na matach, nie mogąc ani
przemówić, ani podnieść ramienia; obróciła głó-
wę na posłaniu i słabym ruchem ręki zdawa-
ła się rozkazywać: „Nie wpuszczaj! Nie wpusz-

czaj!”, a posłuszna córka patrzyła na nią, podpierając drzwi plecami ze wszystkich sił.

— Łzy pociekły jej z oczu, i umarła — zakończyła dziewczyna niezmiennie monotonnym głosem, który przejął mnie bardziej niż wszystko inne, bardziej niż biała, posągowa nieruchomość jej postaci, bardziej niż wszelkie słowa, przejął mnie do głębi bierną, beznadziejną okropnością tej sceny.

Zgroza wytrąciła mnie z mego pojęcia o życiu, wywlekła z tego schronienia, które każdy z nas sobie tworzy, aby wczłgać się doń w chwili niebezpieczeństwa, jak żółw się chowa pod swoją skorupę. Przez chwilę stanęła mi w oczach rozległa i ponura wizja świata pograżonego jak gdyby w bezładzie, podczas gdy świat jest w istocie, dzięki naszym niezmordowanym wysiłkom, tak pogodnym układem drobnych udogodnień, jak to sobie tylko można wyobrazić. Ale była to tylko chwila: wróciłem wnet do swej skorupy. Człowiek wrócić *musi*, czy rozumiecie? Tylko zdawało mi się, że pogubiłem wszystkie słowa w chaosie mrocz-

nych myśli, które mnie zaprzętały przez parę sekund, gdy się wysunąłem poza słup graniczny. Lecz odnalazłem je szybko. Słowa także przyczyniają się do tworzenia opiekuńczego wyobrażenia o tym, czym są światło i ład, które stanowią naszą ucieczkę. Miałem je już gotowe pod ręką, gdy zaszepotała cicho:

— Przysiągł, że nie opuści mnie nigdy, kiedyśmy tam stali we dwoje! Przysiągł mi to!...

— Czyż to możliwe, żeby pani, pani! mu nie wierzyła? — spytałem ze szczerym wyrzutem, naprawdę zgorszony. Dlaczego mu nie mogła uwierzyć? Skąd ta tęsknota za niepewnością, to czepianie się trwogi, jakby niepewność i trwoga stały na straży jej miłości? To było potworne. Powinna była sobie stworzyć przystań niewzruszonego spokoju z tego uczciwego uczucia. Nie zdawała sobie z tego sprawy — a może nie potrafiła się na to zdobyć.

Noc nadeszła z pośpiechem; zrobiło się zupełnie czarno, tak że dziewczyna, nie ruszając się z miejsca, rozwiała się jak nieuchwytny za-

rys tęsknej i kapryśnej mary. Wtem usłyszałem znowu spokojny jej szept:

— Inni mężczyźni przysięgali tak samo. — Był to jakby komentarz do rozpamiętywań pełnych smutku i zgrozy. Potem dodała, jeśli to było możliwe, jeszcze ciszej: — Mój ojciec także przysięgał.

Zamilkła i jakby odetchnęła bezgłośnie. „Jej ojciec” także... Oto rzeczy, które jej były wiadome! Rzekłem nagle:

— Ale przecież Jim jest inny.

Temu, zdaje się, przeczyć nie zamierzała; lecz po niejakiem czasie dziwny, cichy szept, wędrując sennie przez powietrze, wśliznął się do mego ucha:

— Dlaczego on jest inny? Czy jest lepszy? Czy jest...

— Daję pani słowo honoru — przerwałem — ja wierzę w to, że on jest lepszy.

Zniżyliśmy głosy do tajemniczego szeptu. Wśród chat zamieszkałych przez robotników Jima (byli to przeważnie wyzwoleni niewolnicy z za częstokołu szeryfa Alego) ktoś zaczął śpie-

wać ostrym i przeciągłym głosem. Z drugiej strony rzeki wielkie ognisko (pewnie u Doramina) tworzyło jaśniejącą kulę, zupełnie z nocy wyodrębnioną.

— Czy on jest wierniejszy? — szepnęła.

— Tak — odrzekłem.

— Wierniejszy niż wszyscy inni mężczyźni? — powtórzyła powoli.

— Nikomu tutaj nie przyszłoby do głowy wątpić o jego słowach, nikt by się nie ośmielił prócz pani.

Odniosłem wrażenie, że się na to poruszyła.

— Odważniejszy — ciągnęła innym już tonem.

— Strach nigdy go pani nie wydrze — rzekłem trochę nerwowo.

Śpiew urwał się na ostrej nucie; posłyszeliśmy kilka głosów rozmawiających w oddali. Głos Jima był między nimi. Zadziwiło mnie milczenie dziewczyny.

— Co też on pani powiedział? Czy mówił pani coś o tym? — rzekłem.

Nie było odpowiedzi.

— Co takiego pani mówił? — nalegałem.

— Myśli pan, że mogę panu powtórzyć? Skądże ja mogę wiedzieć? Jak mam to wszystko rozumieć? — krzyknęła w końcu. Coś się poruszyło; zdaje mi się, że załamała rękę. — Jest jakaś rzecz, której on nie może zapomnieć.

— Tym lepiej dla pani — rzekłem posępnie.

— Co to jest? Co to takiego? — W jej błagalnym tonie była niesłychana siła wyrazu. — Mówił mi, że się kiedyś przestraszył. Jakże mam mu uwierzyć? Nie jestem tak szalona, aby temu wierzyć. Wy wszyscy coś pamiętacie! Wy wszyscy wracacie do czegoś. Co to takiego? Niech mi pan powie! Co to za rzecz? Czy to jest żywe, czy to jest martwe? Nienawidzę tego czegoś. Jest okrutne! Czy to... nieszczęście... ma twarz i głos? Czy on to może zobaczyć, czy je usłyszy? Może we śnie... kiedy mnie nie może widzieć, a wówczas wstanie i pójdzie. Ach! Ja nigdy mu nie przebaczę. Moja matka przebaczyła, ale ja — nigdy! Czy to będzie znak, czy wezwanie?

Miałem przed oczami niezwykłą rewelację: nie dowierzała nawet jego snom i zdawała się myśleć, że będę mógł jej wytłumaczyć dlaczego! Było to, jak gdyby biedny śmiertelnik, oczarowany wdziękiem jakiejś wizji, usiłował wydrzeć innemu duchowi potężną tajemnicę praw, które tamten świat sobie rości do odcieleśnionych dusz błędzących wśród namiętności tej ziemi. Miałem wrażenie, że grunt, na którym stoję, topnieje mi pod nogami. A przy tym było to takie proste; lecz jeśliby duchy wywołane przez nasze trwogi i niepokoje były zmuszone ręczyć wzajemnie za swoją wierność nieszczęsnym czarownikom, którymi my jesteśmy — to właśnie ja, ja jeden spośród nas, śmiertelników, zadrżałbym przed beznadziejnym trudem takiego zadania. Znak czy wezwanie! Jakże wymowna była w swej nieświadomości. Tylko tych kilka słów! Gdzie je znalazła, jak to się stało, że potrafiła je wypowiedzieć, tego pojąć nie mogę. Kobiety znajdują natchnienie pod wpływem chwil, które dla nas są tylko straszne, bezsensowne lub błahe. Już samo odkry-

cie, że ta dziewczyna umie w ogóle się wypowiedzieć, wystarczało, aby przejąć serce grozą. Gdyby kopnięty kamień krzyknął z bólu, nie byłoby mi się to wydawało cudem większym i bardziej żalnym. Te dźwięki wędrujące w ciemności rzuciły cień tragizmu na mroczne życie ich obojga. Nie można było jej nic wytłumaczyć. Przeklinałem w duchu swoją bezsilność. A Jim nieborak! Któż by go potrzebował? Któż by go pamiętał? Miał to, czego pragnął. Prawdopodobnie zapomniano już nawet o jego istnieniu. Oboje z dziewczyną byli panami swoich losów. Byli tragiczni.

W jej bezruchu czułem wyraźnie oczekiwanie, mnie zaś przypadło w udziale wstawiać się za bratem z królestwa zapomnianych cieni. Przejąłem się głęboko swą odpowiedzialnością i niedolą dziewczyny. Byłbym oddał wszystko za władzę ukojenia jej wątłej duszy, która dręczyła się w bezradnej niewiedzy niby drobny ptaszek rozbijający się o okrutne druty klatki. Nic łatwiejszego jak powiedzieć: nie bój się! I nic trudniejszego. Ciekaw jestem, jak się za-

bija strach! Jak przestrzelić serce upiora, odrąbać mu upiorną głowę, chwycić go za upiorne gardło? W takie rzeczy wplątujemy się we śnie i jesteśmy szczęśliwi, gdy uchodzimy cało, oblani potem, trzęsąc się na całym ciele. Kula na upiora jeszcze nie ulana, ostrze nie wykute, człowiek zwyciężający widma jeszcze się nie urodził; nawet skrzydlate słowa prawdy opadają do stóp jak bryły ołowiu. Do owej rozpaczliwej walki niezbędna jest czarodziejska, zatruta strzała umaczana w kłamstwie tak subtelnym, że nie znaleźć go na tej ziemi. Zadanie takie można wykonać tylko we śnie, moi panowie!

Zacząłem odprawiać swe egzorcyzmy z ciężkim sercem, pełnym jak gdyby posepnego gniewu. Głos Jima rozległ się nagle z powagą po drugiej stronie podwórza; karcił niedbalstwo jakiegoś niemego grzesznika na brzegu rzeki.

Rzekłem wyraźnym szeptem:

— W tamtym nieznanym świecie, który według wyobrażenia pani chce ją obrabować z jej szczęścia, nie ma nic żywego ani też martwego, nie ma tam ani twarzy, ani głosu, ani

żadnej siły, która by mogła Jima od pani oderwać.

Zaczerpnałem powietrza, a ona szepnęła po cichu:

— Powiedział mi to samo.

— Powiedział pani prawdę — odrzekłem.

— Nie ma tam nic — wyszeptała i nagle natarła na mnie z ledwie dosłyszalnym napięciem w głosie: — Więc dlaczego pan stamtąd do nas przyjechał? On mówi o panu zbyt często. Ja się pana boję. Czy pan, czy pan go potrzebuje?

Coś w rodzaju tajonej gwałtowności wśliznęło się do naszych gorączkowych szeptów.

— Nie wrócę tu już nigdy — rzekłem z gorącością. — Ja go nie potrzebuję. Nikt go tam nie potrzebuje.

— Nikt — rzekła z powątpiewaniem.

— Nikt — potwierdziłem, czując, że owłada mną dziwne podniecenie. — Pani wierzy, że Jim jest silny, mądry, odważny, wielki, dlaczego więc nie uwierzyć, że jest także i wierny? Wyjeżdżam jutro, i na tym koniec. Żaden

głos stamtąd nigdy już spokoju pani nie zama-
ci. Tamten świat, którego pani nie zna, za wiel-
ki jest, aby odczuć brak Jima. Rozumie pani?
Za wielki. Pani trzyma serce Jima w swym rę-
ku. Musi pani to czuć! Musi pani o tym wie-
dzieć.

— Tak, wiem o tym — szepnęła zimno
i spokojnie jak posąg.

Uczułem, że nie udało mi się nic osiągnąć.
A co ja właściwie pragnąłem osiągnąć? Dziś
już tego nie umiem powiedzieć. Przejmował
mnie wówczas niezrozumiały zapał, jak wobec
jakiegoś wielkiego i koniecznego zadania: był
to wpływ owej chwili na mój umysł i serce.
W każdym życiu zdarzają się takie chwile, ta-
kie wpływy, które przychodzą z zewnątrz nie-
odparte i niepojęte — jakby wywołane przez
tajemniczy układ planet. Powiedziałem dziew-
czynie, że posiada jego serce. Posiadała i je-
go serce, i wszystko, byleby tylko mogła w to
uwierzyć. A teraz musiałem jej jeszcze powie-
dzieć, że na całym świecie nie ma ani jedne-
go człowieka, który by mógł potrzebować ser-

ca Jima, jego rąk, jego ducha. Jest to los zwykły, a jednak wydało mi się okropne mówić tak o jakimkolwiek człowieku. Słuchała bez słowa, a milczenie jej było teraz jak protest kamiennej nieufności. Co ją obchodzi świat z tamtej strony lasów? — pytałem. Spośród wielkiej mnogości ludzi zaludniających obszar nieznanego nie przyjdzie do Jima, póki życia, żaden znak, żadne wezwanie. Nigdy. Poniosło mnie. Nigdy! Nigdy! Zdumiewam się, wspominając, z jaką zawziętą wybuchnąłem gwałtownością. Zdawało mi się, że chwyciłem wreszcie upióra za gardło. Doprawdy, cała ta rzeczywista scena zostawiła mi szczegółowy obraz jakby jakiegoś zdumiewającego snu. Pytałem jej, czego się lęka. Przecież wie, że Jim jest silny, szczery, mądry, odważny. Taki jest naprawdę. Bezwzględnie. Jest nawet czymś więcej. Jest wielki, niezwyciężony, lecz świat go nie potrzebuje, zapomni o nim, a nawet nie chce go znać.

Zamilkłem; cisza nad Patusanem była wielka i słaby, suchy odgłos wiosła uderzającego

o bok czołna gdzieś na środku rzeki pogłębiał ją w nieskończoność.

— Dlaczego? — szepnęła.

Poczułem wściekłość podobną do tej, jaka ogarnia człowieka podczas ciężkiej walki. Upiór usiłował wysliznąć się z moich ramion.

— Dlaczego? — zapytała głośniej — proszę mi powiedzieć! — A gdy wciąż milczałem, zmieszany, tupnęła nogą jak rozpieszczone dziecko: — Dlaczego? Niechże pan mówi!

— Chce pani wiedzieć? — zapytałem z furją.

— Tak! — krzyknęła.

— Ponieważ zbyt mało jest wart — rzekłem brutalnie.

Zapadła na chwilę cisza; spostrzegłem, że ognisko na drugim brzegu pojaśniało, rozszerzając krąg swego blasku jak zdumione spojrzenie, po czym skurczyło się nagle do rozmiarów mniejszych niż łypek od szpilki. Przekonałem się, jak blisko stała dziewczyna, dopiero gdy chwyciła mnie palcami za ramię. Nie podno-

sząc wcale głosu, wyraziła nim bezmiar zjadliwej pogardy, goryczy i rozpacz:

— Powiedział mi zupełnie to samo... Pan kłamie!

Ostatnie dwa słowa krzyknęła w narzeczu krajowców.

— Niechże mnie pani wysłucha! — błagałem.

Trzęsa się, dysząc głośno, i odepchnęła moje ramię.

— Wszyscy, my wszyscy za mało jesteście warci — zacząłem z najgłębszą powagą.

Słyszałem jej łkania i strasznie szybki oddech. Zwiesiłem głowę. I po cóż było mówić? Zbliżały się kroki; oddaliłem się po cichu bez słowa...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Marlow wyprostował nogi i wstał prędko, przy czym zachwiał się trochę, jakby go postawiono na ziemi po szybkim locie w przestworzu.

Oparł się plecami o balustradę i stał naprzeciw bezładnego szeregu długich trzciniowych leżaków. Wyciągnięte na nich postacie zdawały się budzić z odrętwienia pod wpływem ruchu Marlowa. Paru słuchaczy usiadło, jakby ich ogarał niepokój; gdzieś zarzyło się jeszcze cygaro; Marlow popatrzył na wszystkich oczami człowieka, który wraca z niezmiernie odległej krainy snu. Ktoś chrząknął; spokojny jakiś głos zachęcił Marlowa niedbale:

— No i co dalej?

— Nic — odrzekł Marlow, drgnąwszy lekko. — Jim po prostu opowiedział jej swoje dzieje, oto wszystko. Nie uwierzyła mu... Nic więcej. Jeśli chodzi o mnie, nie wiem, czy jest sprawiedliwe, słuszne i przyzwoite, abym się cieszył, czy też, abym się martwił. Nie umiem powiedzieć, w co sam wierzyłem, w gruncie rzeczy do dziś dnia tego nie wiem i prawdopodobnie nigdy wiedzieć nie będę. Ale w co on nieborak wierzył? Prawda musi zwyciężyć — przecież wiecie: *magna est veritas et...*²³ Tak,

²³*magna est veritas et...* (łac.) — prawda jest wielka i... [przypis edytorski]

jeśli zdarzy się do tego sposobność. Z pewnością rządzi tu jakieś prawo, tak jak prawo rządzi szczęściem w rzucaniu kości. Wcale nie Sprawiedliwość, służebna ludzi, lecz traf, przypadek. Los, sprzymierzeniec cierpliwego Czasu, dzierży bezstronną i dokładną wagę. Obaj z Jimem powiedzieliśmy zupełnie to samo. Czyśmy obaj mówili prawdę, czy jeden z nas, czy też żaden?

Marlow zamilkł, skrzyżował ramiona na piersi i ciągnął zupełnie innym już głosem:

— Powiedziała, że kłamiemy. Biedactwo. No więc, pozostawmy to Losowi sprzymierzonemu z Czasem, którego naglić nie można, a którego wrogiem jest Śmierć, co nie chce czekać. Wycofałem się z tej rozmowy, muszę to wyznać, trochę zalekniony. Usiłowałem się zmierzyć ze strachem we własnej osobie i oczywiście, zostałem pokonany. Osiągnąłem tylko to, że do udręki dziewczyny przyłączyło się poczucie jakiejś tajemniczej zмовy, mętnego, niepojętego spisku, który dążył do utrzymania jej

wciąż w nieświadomości. A było to tak naturalne i nieuchronne, wynikło po prostu z postępowania ich obojga! Miałem wrażenie, iż odsłonięto przede mną mechanizm nieubłagane-go Losu, którego jesteśmy ofiarą i narzędziem. Strasznie mi było pomyśleć o dziewczynie, którą tam zostawiłem stojącą bez ruchu; kroki Jima rozległy się złowieszczo, gdy przeszedł blisko w swych ciężkich, sznurowanych butach, nie widząc mnie wcale.

— Jak to, lampy niezapalone? — rzekł głośno, zdziwionym tonem. — Co wy tu robicie oboje po ciemku? — W następnej chwili spostrzegł ją widać. — Halo, dziewczynko! — krzyknął wesoło.

— Halo, chłopaku! — odpowiedziała natychmiast ze zdumiewającą żywością.

Tak się witali zazwyczaj, a odrobina zadziwistości, która brzmiała w dość wysokim i słodkim jej głosie, bardzo była zabawna, ładna, dziecinna i budziła zachwyt Jima. Słyszałem wówczas po raz ostatni, jak zamieniali ten poufały okrzyk, i chłód przejął mi serce. Miałem w uszach

wysoki, słodki głos dziewczyny, trochę zadzierysty, czułem piękny wysiłek jej ducha, lecz wydało mi się, że sił jej zabrakło; zartobliwy okrzyk rozległ się niby jęk. To było okropnie bolesne.

– Co zrobiłaś z Marlowem? — spytał Jim, po czym dodał: — Pewno wyszedł, co? To dziwne, że spotkałem... Marlow! Gdzie pan jest?

Nic nie odrzekłem. Nie chciałem wrócić do domu, a w żadnym razie nie teraz. Naprawdę, nie mogłem. Kiedy Jim na mnie wołał, wymykałem się właśnie przez małą furtkę prowadzącą na świeżo wykarczowaną polankę. Nie; nie miałem jeszcze sił z nimi się widzieć. Spuściłem głowę i szedłem śpiesznie po wydeptanej ścieżce. Grunt wznosił się łagodnie; wyrąbano tu kilka wielkich drzew, wycięto podszycie i spalono trawę. Jim chciał założyć na tej polance próbną plantację kawy. Wielkie wzgórze, odcinające się podwójnym czarnym wierzchołkiem na bladożółtej jasności wschodzącego księżyca, zdawało się rzucać cień na teren przygotowany do plantacji. Jim miał tyle róż-

nych planów w zanadrzu; podziwiałem zawsze jego energię, bystrość i przedsiębiorczość. A teraz wydało mi się, że nie ma na świecie nic bardziej nierealnego od jego planów, energii i zapędu. Podniósłszy oczy, zauważyłem część księżyca błyszczącą skroś zarośli na dnie rozpadliny. Przez chwilę doznałem wrażenia, iż gładka tarcza spadła ze swego miejsca na niebie i potoczyła się na dno wąwozu; powrót jej wyglądał jak powolne odbicie się od ziemi; wydostała się z poplątanych gałęzi; nagi, skręcony konar jakiegoś drzewa, rosnącego na pochyłości, tworzył czarną rysę w poprzek tarczy. Księżyc rzucał w dal poziome promienie, wychodzące, rzekłbyś, z jaskini; w tym świetle, ponurym jak podczas zaćmienia, pnie ściętych drzew wyglądały bardzo ciemno, głębokie cienie kładły mi się zewsząd do stóp, zlewając się z moim własnym, sunącym cieniem, a przede mną leżał w poprzek ścieżki cień samotnego grobu uwieńczonego zawsze kwiatami. W pociemniałym świetle miesięcznym uwite kwiaty nabrały kształtów nieznanymi mej pamięci i barw

nieokreślonych, jakby były odrębnymi kwiatami, których człowiek nie zerwał, które wyrosły nie na tym świecie i są przeznaczone wyłącznie na użytek umarłych. Potężny aromat bijący od wieńców tkwił w ciepłym powietrzu, czyniąc je dusznym i ciężkim jak dym kadzidła. Bryły białego koralu jaśniały naokoło ciemnego kopca niby różaniec pobielających czaszek, a wszystko takie było ciche naokół, że kiedy się zatrzymałem, wszelki ruch, wszelkie dźwięki na świecie zdawały się zamierać.

Panował głuchy spokój, jakby ziemia była jednym wielkim grobem; stałem tam pewien czas, myśląc głównie o żyjących, którzy — zagrzebani gdzieś po zatraconych kątach świata poza wiedzą ludzkości — muszą jednak dzielić jej nieszczęścia, tragiczne lub groteskowe. A kto wie, może i jej szlachetne walki? Ludzkie serce jest tak obszerne, że zdoła zawrzeć cały świat. Dość jest dzielne, by dźwigać swe brzemie; czyż znajdzie się człowiek odważny, który by je zrzucił?

Popadłem widać w nastrój sentymentalny; wiem tylko, iż stałem tam bardzo długo i poczucie absolutnej samotności owładnęło mną tak zupełnie, że wszystko, co ostatnio widziałem, słyszałem, nawet sam dźwięk ludzkiej mowy, rzekłbyś, zapadło w nicość, żyjąc jeszcze tylko przez chwilę w mojej pamięci, jakbymostał się sam jeden z całej ludzkości. Było to dziwne i smutne złudzenie, na wpół świadome jak wszystkie nasze złudzenia, które, o ile mi się zdaje, są tylko wizjami odległej, niedosiężnej prawdy niejasno dostrzeganej. Patusan był zaiste jednym z najbardziej zatraconych, zapomnianych, nieznananych miejsc na ziemi; zajrzałem do jego mrocznego wnętrza, a teraz czułem, że gdy jutro wyjadę na zawsze, ten kraj przestanie istnieć i będzie żył tylko w moich wspomnieniach, póki sam nie zapadnę w niepamięć. Czuję to teraz znowu; może właśnie dlatego opowiedziałem wam tę historię, przekazałem ją wam, że tak powiem, jej istotę, jej rzeczywistość, prawdę odkrytą w chwili ułudy.

Cornelius spłoszył tę chwilę. Wypadł jak robak z wysokiej trawy rosnącej na zaklęśniętym gruncie. Zdaje się, że jego butwiejący dom stał gdzieś w pobliżu, choć nigdy tego domu nie widziałem, bo nie zapuściłem się nigdy w tamtą stronę. Metys biegł ku mnie ścieżką; jego nogi, obute w brudne białe trzewiki, migają na tle ciemnej ziemi; stanął przede mną i zaczął płaszczyć się i mazgaić. Na głowie miał wysoki kapelusz przypominający rurę od pieca; wyschnięty, mały jego korpus gubił się i zatracał w czarnym sukiennym ubraniu. Cornelius przywdziewał ten strój na święta i uroczyste okazje; przypomniało mi to, że spędzam w Patusanie już czwartą niedzielę. Przez cały czas mego pobytu zdawałem sobie niejasno sprawę, iż Cornelius pragnie mi się zwierzyć i szuka tylko sposobności, aby mnie przyłapać samego. Wałęsał się w pobliżu z pożądlivym, błagalnym wyrazem na skwaszonej, żółtej, małej twarzy, lecz powstrzymywała go zarówno własna nieśmiałość, jak rozumiała we mnie niechęć do jakichkolwiek stosunków z tak odraża-

jącą kreaturą. Byłby jednak dopiął swego, gdyby nie wrodzona mu skłonność do wymykania się chyłkiem, z chwilą gdy ktoś spojrzał na niego. Cofał się przed surowym spojrzeniem Jima, przed moim wzrokiem, któremu usiłowałem nadać wyraz obojętności, nawet przed niechętnym, wyniosłym spojrzeniem Tamb' Itama. Przemykał się ciągle ukradkiem; kiedykolwiek go się dostrzegało, zawsze oddalał się, klucząc, przekrzywiwszy głowę na ramię; niekiedy z podejrzliwym warknięciem, to znów w pełnym bóleści, niemym zgnębieniu; lecz żadna z jego min nie mogła ukryć wrodzonej, niezatartej nikczemności jego natury, tak jak żaden ubiór nie może zasłonić jakiegoś potwornego zniekształcenia ciała.

Może byłem rozstrojony po bezwzględnej porażce, której doznałem przed niecałą godziną, zmagając się z upiorem strachu, dość, że pozwoliłem się Corneliusowi przychwycić, nie okazując nawet oporu. Sądzone mi było wysłuchać zwierzeń i pytań, na które nie ma odpowiedzi. To było ciężkie; lecz pogarda, odru-

chowa pogarda budząca się na widok Corneliusa, ułatwiła mi sytuację. Ten człowiek nie mógł mieć żadnego znaczenia. Teraz nic już nie miało znaczenia, ponieważ zdecydowałem, że Jim wreszcie swój los opanował, a tylko Jim mnie obchodził. Oświadczył mi, że jest zadowolony... prawie zupełnie. Mało kto mógłby się zdobyć na tak śmiałe powiedzenie. Ja bym nie mógł, choć mam prawo dość dobrze myśleć o sobie. A czyby się który z was na to zdobył?

Marlow zamilkł, jakby oczekując odpowiedzi. Wszyscy milczeli.

— Macie rację — zaczął znów Marlow. — Niech nikt się o tym nie dowie; prawdę może nam wyrwać tylko jakaś okrutna katastrofa, drobna a straszna. Jim jest przecież jednym z nas, a jednak mógł powiedzieć, że jest... prawie zadowolony. Pomyślcie tylko! Można by mu nieledwie zazdrościć jego katastrofy. Był prawie zadowolony. Wobec tego cóż jeszcze mogło mnie obchodzić? Wszystko mi było jedno, kto go podejrzewał, kto mu ufał, kto go

kochał, a kto nienawidził — szczególnie jeśli tym, który go nienawidził, był Cornelius.

A jednak ta nienawiść stanowiła właściwie pewien rodzaj uznania. Sądzi się człowieka po jego wrogach, zarówno jak po przyjaciółach, a ten nieprzyjaciel Jima był taki, że każdy przyzwoity człowiek mógł bez wstydu do niego się przyznać, nie przejmując się jednak zbytnio jego nienawiścią. Takie było zdanie Jima, a także i moje własne; lecz poza tym Jim lekceważył Corneliusa z zasadniczych powodów.

— Wie pan — powiedział mi — czuję, że jeśli będę szedł prostą drogą, nic mi się stać nie może. Naprawdę. Pan był tutaj dość długo i mógł się pan dokładnie rozejrzeć; niech mi pan powie otwarcie, czy pan nie uważa, że jestem tu zupełnie bezpieczny? Wszystko zależy ode mnie i słowo panu daję, mam do siebie pełne zaufanie. Zdaje mi się, że najgorsze, co mógłby mi zrobić, to mnie zabić. Ale uważam to za niemożliwe. Nie byłby w stanie tego zrobić, rozumie pan? nawet gdybym mu sam podał nabitą strzelbę w tym celu, a potem od-

wrócił się od niego plecami. To już jest taka kreatura. A nawet przypuśćmy, że mógłby, że chciałby mnie zabić. No i co z tego? Nie przybyłem tutaj, aby uciec od śmierci, prawda? Przybyłem, żeby oprzeć się plecami o mur, i mam zamiar tu zostać...

— Aż do chwili, kiedy pan będzie *zupełnie* zadowolony — wtrąciłem.

Rozmawialiśmy, siedząc pod płóciennym dachem w łodzi Jima; dwadzieścia wiosła błyskało jednocześnie, po dziesięć u każdej burty, a za naszymi plecami milczący Tamb' Itam zagłębiał pióro steru to z prawej, to z lewej strony i wpatrywał się prosto przed siebie w dół rzeki, bacząc, aby utrzymać długie czółno wśród najsilniejszego prądu. Jim pochylił głowę; ostatnia nasza rozmowa zdawała się na dobre wygasać. Odprowadzał mnie do ujścia rzeki. Mój szkuner wyruszył dzień przedtem, żeglując w dół lub dając się unosić fali odpływu, a ja zostałem jeszcze przez noc w Patusanie. Teraz Jim mnie odprowadzał.

Trochę go to podrażniło, że w ogóle wspomniałem o Corneliusie. W gruncie rzeczy niewiele o nim mówiłem. Ten człowiek znaczył zbyt mało, aby mógł być niebezpieczny, choć nienawiść rozpierała go po prostu. Zaczepiwszy mnie wówczas wieczorem, nazywał mnie co drugie słowo „czcigodnym panem” i skomlał u mego boku, towarzysząc mi od grobu swojej „nieboszczki żony” aż do furtki w ogrodzeniu otaczającym posiadłość Jima. Oświadczył, że jest najniezwyklejszym z ludzi, ofiarą, którą rozdeptano jak robaka; zaklinał mnie, abym spojrzał na niego. Nie chciało mi się głowy odwrócić, lecz widziałem spod oka unizony cień Metysa sunący za moim, a księżyc, zawieszony po prawej stronie, zdawał się rozkoszować tą sceną, przyglądając nam się pogodnie. Cornelius usiłował mi wytłumaczyć, jak wam już mówiłem, swoją rolę w wypadkach owej pamiętnej nocy. Postąpił tak, jak mu nakazywała przezorność. Skądże mógł wiedzieć, czyje będzie na wierzchu?

— Byłbym go wyratował, czcigodny panie! Byłbym go ocalił za osiemdziesiąt dolarów — zapewniał słodziutkim tonem, idąc za mną krok w krok.

— Sam się wyratował — rzekłem — i przebaczył panu.

W odpowiedzi usłyszałem coś w rodzaju chichotu, a gdy się zachnąłem na Corneliusa, był gotów natychmiast wziąć nogi za pas.

— Czegóż pan się śmieje? — zapytałem, przystając.

— Niech pan się nie łudzi, czcigodny panie — skrzeknął, jakby tracąc panowanie nad sobą. — On by się sam wyratował! Ależ on nie ma o niczym pojęcia czcigodny panie, absolutnie o niczym! Kimże on jest? Czego on tutaj chce, ten łotr? Zamydla wszystkim oczy; i panu, czcigodny panie, także oczy zamydlił — ale ze mną to mu się nie uda. Skończony z niego dureń, czcigodny panie.

Zaśmiałem się pogardliwie i ruszyłem dalej, zawróciwszy na pięcie. Biegł za mną i szepotał gwałtownie:

— On jest zupełnie jak małe dziecko, jak małe dziecko, małe dziecko.

Nie zwracałem na to oczywiście żadnej uwagi, a Cornelius, widząc, że czas nagli, gdyż zbliżaliśmy się do bambusowego płotu, który połyskiwał na szerniałym gruncie polanki, wypowiedział wreszcie, o co mu chodziło. Najpierw zaczął się ohydnie mazgać. Wielkie jego nieszczęścia padły mu na mózg. Wyraził nadzieję, że zapomnę łaskawie o słowach, które wyrwały mu się jedynie pod wpływem zgryzoty. Nie miał nic złego na myśli; ale „czcigodny pan” nie wie, co człowiek czuje, kiedy go zrujnują, złamią, podepczą. Po tym wstępie przystąpił do kwestii, która mu leżała na sercu, ale w słowach tak mętnych, tchórzliwych i przerywanych wykrzyknikami, że przez długi czas nie mogłem zrozumieć, do czego zmierza. Chciał, abym się wstawił za nim do Jima. Chodziło, o ile mi się zdawało, o jakieś pieniądze. Od czasu do czasu, powtarzał: „Skromna prowizja, odpowiedni podarek”. Domagał się za coś odszkodowania; posunął się nawet tak

daleko, iż oświadczył gorąco, że człowiek, który został ograbiony ze wszystkiego, nie ma po co żyć. Nie pisałem oczywiście ani słowa, ale uszu nie zatykałem. Rdzeń sprawy, która wyjaśniła mi się stopniowo, polegał na tym, że Cornelius uważał się za uprawnionego do pobrania pewnej sumy w zamian za dziewczynę. Wychował ją przecież. Cudze dziecko. Miał z nią wielkie kłopoty, zmartwienia, teraz jest już starcem, chciałby dostać jakiś odpowiedni podarek. Gdyby czcigodny pan zechciał rzec jedno słowo... Zatrzymałem się, aby spojrzeć z ciekawością na Corneliusa, a on, widać w obawie, abym go nie wziął za zdziercę, pośpieszył zrobić pewne ustępstwo. Jeśli dostanie zaraz „odpowiedni podarek”, weźmie na siebie chętnie utrzymanie dziewczyny, „bez żadnego innego wynagrodzenia”, z chwilą gdy Jim będzie wracał do Anglii. Na małej, żółtej twarzy Corneliusa, zmiętej, jakby ją kto wyżył, malował się niepokój i namiętna chciwość. Głos jego skomlał przymilnie:

— Żadnego kłopotu... naturalny opiekun... niewielka kwota...

Stałem wciąż, nie posiadając się ze zdumienia. Ten rodzaj zajęcia był widać jego powołaniem. Odkryłem nagle w płaszczącej się postaci Metysa coś w rodzaju pewności siebie, jakby przez całe życie miał do czynienia z rzeczami ustalonymi. Myślał widać, że rozpatruję spokojnie jego propozycję, bo stał się słodki jak miód.

— Każdy z panów ofiarowuje jakąś prowizję, kiedy nadejdzie czas jego wyjazdu — zaczął znów chytrze.

Trzasnąłem furtką.

— W danym wypadku — rzekłem — nigdy ten czas nie nadejdzie.

Upłynęło parę sekund, nim to zrozumiał.

— Co takiego? — dosłownie kwiknął.

— Jak to — ciągnąłem po drugiej stronie furtki — czyż panu tego sam nie powiedział? On nigdy do kraju nie wróci.

— Tego to już za wiele! — krzyknął Cornelius. Przestał nazywać mnie „czcigodnym panem”. Stał jakiś czas nieruchomo, a potem, już bez śladu pokory, zaczął mówić cicho:

— Nigdy nie wyjedzie! Ten, ten, ten... zjawia się tutaj, lichy wie skąd, zjawia się tu, lichy wie po co, żeby podeptać mnie na śmierć, och, podeptać (zatupał cicho obiema nogami), o tak mnie podeptać, Bóg wie dlaczego, na śmierć...

— Zabrakło mu głosu. Zakaszłał z lekka, po czym zbliżył się do ogrodzenia i oświadczył, przybrawszy ton poufny i żałośliwy, że nie pozwoli, aby po nim deptano.

— Cierpliwości, cierpliwości — mruknął do siebie, uderzając się w piersi.

Przestałem się już z niego śmiać, gdy ucęstował mnie niespodzianie głośnym wybuchem obłąkanego śmiechu.

— Cha, cha, cha! Zobaczymy! Zobaczymy! Jak to! Mam pozwolić, żeby ten człowiek mnie okradł? Żeby mi ukradł wszystko, wszystko! wszystko! — Głowa opadła mu na ramię; splecione jego ręce zwisały. Można było pomy-

śleć, że ukochał tę dziewczynę niezmierną miłością, że dusza jego jest starta na proch, a serce złamane przez najokrutniejszą z krzywd. Nagle podniósł głowę i rzucił ohydne słowo. — Jak matka, ona jest zupełnie jak ta oszustka, jej matka. Zupełnie. I z twarzy także. I z twarzy. Diablica!

Oparł się czołem o płot i stojąc tak, wyrzucał z siebie groźby i ohydne portugalskie przekleństwa wśród słabych okrzyków, przeplatanych żalonymi skargami i jękami; ramiona wstrząsały mu się spazmatycznie jak przy okropnym ataku nudności. Był to widok nieopisanie ohydny i groteskowy, toteż odszedłem śpiesznie. Usiłował coś za mną krzyknąć. Pewnie jakieś obelgi na Jima, lecz niezbyt głośno, bo znajdowaliśmy się już blisko domu. Usłyszałem wyraźnie tylko słowa: — Zupełnie jak dziecko... jak małe dziecko.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Lecz następnego ranka, gdy pierwszy zakręt rzeki zasłonił domy Patusanu, wszystko to znikło mi sprzed oczu — barwność, charakter, istota tej krainy — niby obraz stworzony na płótnie przez wyobraźnię, obraz, od którego się odwracamy, przyjrzawszy mu się długo po raz ostatni. Pozostaje w pamięci zakrzepły w bezruchu, niezatarty, zalany niezmiennym światłem. Wszystkie ambicje nurtujące ten zakątek, obawy, nienawiści, nadzieje zapadły mi w duszę, tak jak je widziałem — silne i jakby zatrzymane na zawsze w swoim ówczesnym wyrazie. Odwróciłem się od obrazu, aby jechać z powrotem do świata, gdzie toczą się wypadki, ludzie się zmieniają, światło migoce, życie płynie jasnym strumieniem — mniejsza z tym, czy po kamieniach, czy też po błocie. Nie zamierzałem zapuszczać się na dno; dość już miałem roboty z tym, aby głowę utrzymać nad powierzchnią.

Co się zaś tyczy obrazu, który zostawiłem za sobą, żadnej w nim zmiany wystawić so-

bie nie umiem. Olbrzymi, wielkoduszny Doramin i drobna jego żona, podobna do poczciwej czarownicy, spoglądający na kraj z wysoka, pogrążeni w tajnych, ambitnych rodzicielskich marzeniach; Tunku Allang, zawiędły i wielce stroskany; Dain Waris, pełen wiary w Jima, inteligentny, mężny, o stanowczym wzroku i obejściu ironicznymi, a życzliwym; dziewczyna pogrążona w ubóstwieniu pełnym lęków i podejrzeń; Tamb' Itam, opryskliwy i wierny; Cornelius, wspierający czoło o płot w świetle księżyca — widzę ich wyraźnie. Istnieją dla mnie jak wywołani uderzeniem magicznej pałeczki. Lecz postać, naokoło której się gromadzą, ta jedna żyje, i tylko ona jest dla mnie nieuchwytna. Żadna pałeczka magiczna nie może jej unieruchomić przed moim wzrokiem. Ta postać jest jedną z nas.

Jim, jak wam już mówiłem, towarzyszył mi podczas pierwszego etapu powrotnej podróży do świata, którego się wyrzekł. Zdawało się niekiedy, że nasza droga prowadzi przez samo jądro nietkniętej dziczy. Puste przestrzenie rze-

ki iskrzyły się pod wysokim słońcem; między wyniosłymi murami roślinności upał drzemał na wodzie, a łódź, pędzona dzielnie wiosłami, torowała sobie drogę w gorącym, gęstym powietrzu, które osiadło pod konarami wielkich drzew.

Cień bliskiej rozłuki kładł się już między nami niezmierną przestrzenią; mówiliśmy do siebie z wysiłkiem, jakbyśmy się starali sięgnąć cichymi głosami przez wielką i wciąż wzrastającą odległość. Łódź dosłownie pędziła; siedząc ramię w ramię, dusiliśmy się w nieruchomym, rozprężonym powietrzu; woń szlamu i moczarów, pierwotna woń urodzajnej ziemi, zdawała się parzyć nam twarze; aż nagle na jakimś zakręcie, rzekłbyś, wielka dłoń hen daleko podniosła ciężką kotarę, rozwarła olbrzymie podwoje. Nawet światło jak gdyby drgnęło, niebo rozszerzyło się nad głowami, odległy szmer dosięgnął uszu, świeżość nas ogarnęła, napełniła płuca, pobudziła myśli, krew, żale — i wreszcie lasy się zapadły przed nami, odsłaniając ciemnobłękitny grzbiet morza.

Wciągnąłem oddech głęboko, rozkoszując się rozległym, otwartym widnokręgiem, zupełnie odmiennym powietrzem, które jakby drgało od znoju życia, od energii nieskalanego świata. To niebo i to morze stały przede mną otworem. Dziewczyna miała słuszość, był w nich jakiś znak, jakiś zew, coś, co targnęło każdym włóknem mojej istoty. Błądziłem oczami po widnokręgu jak oswobodzony z więzów człowiek, który przeciąga zeszywniałe członki i biegnie, i skacze, upojony czarem wolności.

— To jest wspaniałe! — wykrzyknąłem i spojrzełem na winowajcę u mego boku.

Siedział z głową opuszczoną na piersi.

— Tak — odrzekł, nie podnosząc oczu, jakby się bał zobaczyć wyrzuty swego romantycznego sumienia, wypisane szeroko na rozległym niebie.

Pamiętam najdrobniejsze szczegóły tego popołudnia. Przybiliśmy do skrawka białego brzegu, który wspierał się o niską skałę, zadrzewioną u szczytu, obwieszoną pnącymi roślinami do samej podstawy. Przed nami słała się rów-

nia morza o pogodnym i głębokim błękicie, wznosząc się leciutko ku widnokręgowi, który wyglądał jak nić przeciągnięta na wysokości oczu. Wielkie fale blasku wzdymały się lekko na pomarszczonej, ciemnej powierzchni — chyże jak pióra unoszone powiewem. Łańcuch wysp o masywnych sylwetach ciągnął się na wprost rozległego ujścia na tafli bladej, szklistej wody, odbijającej wiernie zarys wybrzeża. Wysoko w bezbarwnym blasku słońca krążył samotny ptak, cały czarny; opadał i wznosił się wciąż nad tym samym miejscem, kołysząc się na prawie nieruchomych skrzydłach. Czarna grupa lichych, obszarpanych szałasów z mat sterczała — nad swym własnym odwróconym odbiciem — na mnóstwie koślawych pali hebanowego koloru. Spomiędzy nich wysunęło się drobne, ciemne czółenko z dwoma niewielkimi, czarnymi ludźmi, którzy mozolili się niezmiernie, uderzając wiosłami w bladą wodę; czółenko zdawało się sunąć z trudem po zwierciadle. Ta grupka nędznych chat była właśnie rybacką wsią, chełpiącą się szczególną opieką bia-

tego władcy, a w czólnie płynął stary naczelnik wsi ze swym zięciem. Wyszli na brzeg i szli ku nam po białym piasku, chudzi, ciemnobrunatni, jakby uwędzeni w dymie; skóra ich nagich ramion i piersi pokryta była popielatymi plamami. Głowy mieli obwinięte w brudne, lecz starannie zawiązane chustki. Stary zaczął natychmiast wyłuszczać płynnie jakąś skargę, wyciągając chude ramię i wpatrując się ufnie w Jima starczymi, mętnymi oczami. Ludzie radzy nie dają im spokoju: było kilka awantur o żółwie jaja, które rybacy zebrali na tamtych, o wysepkach; tu naczelnik, oparłszy wyprostowane ramię na wiosło, wyciągnął brunatną, kościstą rękę ku morzu. Jim słuchał jakiś czas, nie podnosząc oczu, i wreszcie łagodnie polecił mu czekać. Za chwilę go wysłucha. Rybacy odeszli posłusznie i przysiedli niedaleko na piętach, złożwszy przed sobą wiosła na piasku; ich oczy o srebrzystych błyskach śledziły cierpliwie nasze ruchy; zaś ogrom rozpostartego morza i cisza wybrzeża, ciągnącego się jak okiem sięgnąć na północ i południe, tworzy-

ły jedną olbrzymią Obecność, śledzącą nas — czterech karłów — osamotnionych na skrawku połyskliwego piasku.

— W tym cała trudność — rzekł Jim pochmurnie — że już od pokoleń nędzni rybacy z tej wsi są uważani za osobistych niewolników radży i tamtemu łotrowi nie chce się pomieścić w głowie, że... — zamilkł.

— Że pan zmienił to wszystko — rzekłem.

— Tak. Zmieniłem to wszystko — mruknął posępnym głosem.

— Więc znalazł pan swoją sposobność — ciągnąłem dalej.

— Czy doprawdy? — rzekł. — No tak. Dajmy na to... Tak. Odzyskałem wiarę w samego siebie — dobre imię — a jednak chciałbym czasami... Nie! Będę się trzymał tego, co zdobyłem. Nie mogę się niczego więcej spodziewać. — Wyciągnął szybko ramię ku morzu: — A w każdym razie nie stamtąd. — Tupnął nogą w piasek. — Tu jest moja granica, bo czymś mniejszym już się nie zadowolę.

Chodziliśmy w dalszym ciągu po brzegu.

— Tak, zmieniłem to wszystko — ciągnął Jim, spojrzawszy spod oka na dwóch przykucniętych rybaków czekających cierpliwie — ale niech pan tylko pomyśli, co by się stało, gdybym stąd odszedł. Miły Boże, czy pan może to sobie wystawić? Piekło by się tu rozpętało. Nie ruszę się stąd! A jutro odwiedzę tego starego durnia, Tunku Allanga, zaryzykuję wypicie jego kawy i będę się awanturował o te, psia-krew, żółwie jaja. Nie! Nie mogę sobie powiedzieć: dość tego. Nigdy. Muszę pchać to bez wytchnienia coraz dalej i dalej, dążąc do swego celu, aby być pewnym, że nic mnie dotknąć nie może. Muszę mieć naokoło siebie ludzi, co we mnie wierzą, aby się czuć bezpiecznym, aby... — Szukał jakiegoś słowa, zdawał się go wypatrywać na morzu: — ...aby nie utracić łączności z... — Głos jego zniżył się nagle do szeptu — ...z tymi, których może nigdy już nie zobaczę. Na przykład... na przykład — z panem. Jego słowa upokorzyły mnie głęboko.

— Na miłość boską — rzekłem — nie przeceniaj mnie, mój drogi chłopcze, myśl o tym, czegoś sam dokonał.

Czułem wdzięczność, czułem przywiązanie do tego marudera, którego oczy wypatrzyły mnie wśród szarego tłumu. Jakże niewiele miałem podstaw do chełpienia się w gruncie rzeczy! Odwróciłem twarz, która mnie paliła; pod niskim słońcem, rozżarzonem, ściemniałym i purpurowym jak węgiel wyjęty z ogniska, rozpościerało się morze, gotując się wśród niezmiernej ciszy na przyjęcie ognistego globu. Dwa razy Jim chciał coś powiedzieć, lecz się zatrzymywał; wreszcie rzekł spokojnie, jakby wynalazłszy jakąś formułę:

— Będę wierny. Będę wierny — powtórzył; nie patrzył na mnie, lecz dozwolił swym oczom po raz pierwszy błądzić po wodach, których błękit przemienił się w posępny fiolet pod ogniami zachodu!

Ach, jakież ten Jim był romantyczny, jaki romantyczny! Przypomniałem sobie słowa Steina: „...Zanurzyć się w niszczącym żywio-

le... Iść za marzeniem i znowu iść za marzeniem — i tak — zawsze *usque ad finem...*” Tak, Jim był romantyczny, ale i szczerzy zarazem. Któż mógł wiedzieć, jakie kształty, jakie wizje, jakie twarze, czyje przebaczenie oglądał w zory zachodu!...

Mała łódka opuściła szkuner i wśród miarowego rytmu dwóch wiosel płynęła wolno ku piaszczystemu brzegowi, aby mnie zabrać.

— I przecież mam Klejnot — wyrzekł Jim pośród wielkiej ciszy ziemi, nieba i morza, ciszy, która przeniknęła nawet do moich myśli, tak że drgnąłem na dźwięk jego głosu. — Mam Klejnot.

— Tak — szepnąłem.

— Nie potrzebuję panu mówić, czym ona jest dla mnie — ciągnął dalej. — Pan widział sam. Z czasem ona zrozumie...

— Mam nadzieję — przerwałem.

— Ona także mi wierzy — szepnął w zamyśleniu, a potem dodał zupełnie innym tonem: — Kiedy ja też pana zobaczę?

— Nigdy, chyba że się pan stąd wydostanie — odrzekłem, unikając jego spojrzenia.

Nie wydał się tym zaskoczony; przez chwilę stał bardzo spokojnie.

— Więc żegnam pana — rzekł po krótkiej chwili milczenia. — Może to i lepiej.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Poszedłem ku łódce, która czekała, oparłszy dziób o wybrzeże. Szkuner, z przywiązany żaglem głównym i kliwrem wyciągniętym na stronę nawietrzną, tańczył po fioletowym morzu; żagle zabarwiły się na różowo.

— Czy pan prędko wraca do kraju? — zapytał Jim w chwili, gdy przestępowałem przez burzę.

— Mniej więcej za rok, jeśli będę żył — odrzekłem.

Dziób zgrzytnął o piasek, łódka znalazła się na wodzie, mokre wiosła błysnęły i zagłębiły się po raz pierwszy, drugi. Jim, stojący na skraju wody, podniósł głos:

— Niech pan im powie... — zaczął.

Dałem znak ludziom, aby przestali wiosłować, i czekałem z zaciekawieniem. Powiedzieć — komu? Słoneczna tarcza, zanurzona do połowy, tkwiła w wodzie na wprost Jima; widziałem czerwony blask w jego oczach, gdy patrzył na mnie bez słowa.

— Nie, już nic — wyrzekł i odprawił łódź lekkim ruchem ręki.

Nie oglądałem się więcej na wybrzeże, pókim się nie znalazł na pokładzie szkunera.

Słońce już wówczas zaszło. Zmierzch wisiał nad wschodem, poczerniałe wybrzeże ciągnęło się w nieskończoność jak ciemny mur, który zdawał się być twierdzą nocy; zachodni widnokrąg był jednym wielkim ogniskiem złota i szkarłatu, a na jego tle unosiła się duża, samotna chmura — ciemna i nieruchoma — rzucając sinopielaty cień na wodę. Na wybrzeżu zobaczyłem Jima patrzącego w ślad za szkunerem, który ruszył z miejsca i sunął naprzód coraz prędzej.

Dwaj półnaczy rybacy dźwignęli się z ziemi, w chwili gdy odbiłem od brzegu; zapew-

ne wylewali teraz skargi w uszy białego tuana, opowiadając o swym błahym, nędznym, uciśnionym życiu, a on słuchał i przejmował się ich sprawami do głębi — bo czyż to nie było częścią jego szczęścia — „szczęścia, co się zowie” — szczęścia, którego był godzien, jak mnie o tym zapewniał? Tamtym ludziom — o ile mogę sądzić — szczęście również sprzyjało i byłem pewien, że ich wytrwałość na szczęście to zasługuje. Ciemnoskóre ciała Malajów rozplynęły się na ciemnym tle dobrą chwilę przedtem, zanim straciłem z oczu ich opiekuna. Jim był biały od stóp do głów; widziałem go długo z twierdzą nocy za plecami, morzem u stóp i szczęśliwą sposobnością u boku... wciąż zakwefioną. A wy — czy sądzicie, że zasłona jeszcze ją kryła? Ja nie wiem. Miałem wrażenie, iż biała postać Jima wśród spokoju wybrzeża i morza tkwi w samym środku nierozwiązalnej zagadki. Zmierzch spływał szybko z nieba nad jego głową, skrawek piasku rozplynął mu się już pod stopami, a on sam wydawał się nie większy od dziecka — aż stał się plamką,

drobną białą plamką, która jak gdyby wchłaniała wszystkie blaski pociemniałego świata... I nagle straciłem go z oczu...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Tymi słowy zakończył Marlow opowiadanie i patrzył przed siebie zamyślonym, oderwanym wzrokiem, a słuchacze rozproszyli się natychmiast. Opuszczali werandę bez zwłoki parami lub pojedynczo, nie wypowiadając żadnych uwag, jakby ostatni obraz tej nie dokończzonej historii, jakby właśnie jej niezupełność i nawet sam ton opowiadającego uczyniły dyskusję daremną, a komentarze niemożliwymi. Każdy zdawał się unosić swe własne wrażenie, unosić je niby tajemnicę; ale tylko jeden ze wszystkich słuchaczy miał wysłuchać ostatniego słowa opowieści. Dotarło do niego w Anglii — przeszło dwa lata później — w grubej paczce zaadresowanej pionowym i kanciastym pismem Marlowa.

Uprzywilejowany ten człowiek otworzył paczkę, zajrzał do niej i położywszy ją na stole, podszedł do okna. Mieszkał na najwyższym piętrze wyniosłego gmachu, skąd wzrok mógł sięgać daleko — jakby z morskiej latarni — za przejrzyste tafle szkła. Pochyłe dachy błyszczwały, ciemne, łamane ich grzbiety ciągnęły się jak okiem sięgnąć jeden za drugim, niby mroczne fale bez spienionych czubów, a z dołu, z głębi miasta, wznosił się pomruk mętny i nieustanny. Liczne wieże kościołów, rozsiane na chybił trafił, sterczały jak znaki ostrzegawcze wśród labiryntu mielizn bez wyjścia; deszcz zacinał i zlewał się z wczesnym zmierzchem zimowego wieczoru, a bicie wielkiego zegara na wieży, wydzwaniające godzinę, potoczyło się szeroko wśród surowych wybuchów dźwięku wibrujących w głębi przenikliwą nutą. Uprzywilejowany człowiek zasunął ciężkie portiery.

Światło lampy okrytej abazurem spało na biurku jak zaciszna sadzawka, dywan pochłaniał dźwięk kroków, dni wędrówek owego czło-

wieka już przeminęły. Nie ujrzy widnokręgów bezkresnych jak nadzieja ani półmroku lasów uroczystych niby świątynie — w żarliwym poszukiwaniu Kraju nigdy nieodkrytego, tam za wzgórzem, z drugiej strony rzeki, za morzami. Oto bije godzina! Nigdy już! Nigdy! — Lecz otwarta paczka pod lampą wywołała znów dźwięk, wizje, a nawet sam zapach przeszłości — mnóstwo zatartych twarzy, gwar cichych głosów zamierających na brzegach odległych mórz pod namiętym blaskiem słońca nie przynoszącym ukojenia. Westchnął i zasiadł do czytania.

Zawartość paczki składała się z trzech części; było tam wiele kartek, gęsto zapisanych i spiętych razem, a poza tym luźny, kwadratowy arkusik szarawego papieru, z kilku słowami nakreślonymi nieznanym pismem, oraz wyjaśniający list od Marlowa. Z tego listu wypadł drugi, pożółkły od starości i poprzecierany na kantach. Dawny marynarz wziął go i odłożył na bok, po czym zabrał się do listu Marlowa; przebiegł szybko wzrokiem pierwsze linie, za-

trzymał się i od tej chwili czytał już z rozwagą, jak człowiek, który się zbliża powoli, z wyteżonym czujnie wzrokiem, do nieodkrytego jeszcze kraju.

„...Sądzę, że Pan nie zapomniał o Jimie — brzmiał list. — Pan jeden zainteresował się nim prawdziwie, a to zainteresowanie nie skończyło się z wysłuchaną opowieścią, choć pamiętam dobrze, że Pan nie chciał przyznać, aby Jim swój los opanował. Przepowiadał mu Pan klęskę znużenia i wstrętu do zdobytych zaszczytów, do zadania, które sam sobie narzucił, do miłości wywołanej przez młodość i współczucie. Mówił Pan, że zna Pan dobrze »ten rodzaj historii«, jej złudne zadowolenie, jej zawód nieunikniony. Powiedział Pan także — przypominam to sobie — iż »oddać im życie (wyraz „im” odnosił się do wszystkich ludzi o skórze brunatnej, żółtej lub czarnej) znaczy to samo, co się zaprzedać bydłociu«. Spierał się pan ze mną, twierdząc, iż »rzecz tego rodzaju« tylko wtedy jest znośna i trwała, gdy się opiera na głębokim przeświadczeniu o słuszności idei wła-

ściwych naszej rasie, idei, w imię których powstał ład i etyka moralnego postępu. »Musimy czuć za plecami siłę tej etyki«, powiedział Pan. »Potrzebujemy wiary w jej konieczność i sprawiedliwość, aby uczynić z naszego życia cenną i świadomą ofiarę. Bez takiej pewności ofiara jest tylko zatrata siebie samego, a wypełnienie jej prowadzi do ostatecznej zguby«. Inny- mi słowy, utrzymywał Pan, że musimy walczyć w szeregach, gdyż inaczej życie nasze przepada marnie. Możliwe! Pan musi to wiedzieć — mówię bez złośliwości — Pan, który rzucał się tu i tam samopas i umiał się zręcznie wywinać z oparów, nie osmalając sobie skrzydeł. Ale rzecz w tym, że właściwie Jim musiał się rozprawić nie z ludźmi, tylko z samym sobą, i to jest jeszcze pytanie, czy w końcu nie przyjął wiary potężniejszej niż prawa ładu i postępu.

Ja nie twierdzę nic. Może Pan to rozstrzygnie — po przeczytaniu. W gruncie rzeczy trafne jest znane powiedzenie: »wiedzieć jak przez mgłę«. Niepodobna dojrzeć Jima wyraźnie — szczególnie jeśli patrzymy na niego po raz ostat-

ni cudzymi oczyma. Nie waham się podzielić z Panem wszystkim, co wiem o ostatnich wydarzeniach, które — jak Jim mówił — »spadły na niego«. Pytam siebie, czy to nie była może ta wymarzona sposobność — ostateczna i zadowalająca próba, na którą — jak zawsze podejrzewałem — czekał, aby móc się odezwać do świata bez skazy. Pamięta Pan, kiedym żegnął się z nim po raz ostatni, zapytał, czy się prędko wybiorę do kraju, i nagle zawołał za mną: »Niech pan im powie...« Czekałem — z ciekawością, wyznając, i nadzieją — tylko po to, aby usłyszeć, jak krzyknął: »Nie! Już nic«. To wszystko — i nic więcej nie usłyszę już nigdy; Jim nie przesłał żadnego zlecenia, chyba takie, jakie każdy z nas może wysnuć z wymowy faktów, które są częstokroć bardziej zagadkowe niż najchytrzejszy układ słów. Wprawdzie Jim zrobił jeszcze jeden wysiłek, aby się wypowiedzieć — ale i ten zawiódł go także; przekona się Pan o tym, spojrzawszy na szary arkusz kancelaryjnego papieru, który załączam. Jim usiłował napisać list; niech Pan za-

uważy, jaki miał banalny charakter pisma. Nagłówek brzmi: »Fort, Patusan«. Widać doprowadził do skutku swój zamiar: chciał ufortyfikować swój dom, w którym mieszkał. Plan fortecy był doskonały: głęboki rów, wał ziemny z palisadą na szczycie, a w rogach armaty ustawione na platformach, żeby objąć ostrzałem każdą ze stron czworoboku. Doramin zgodził się dostarczyć armat Jimowi; liczył na to, że każdy człowiek z bugiskiego plemienia będzie wiedział, iż jest bezpieczne miejsce, dokąd wszyscy wierni stronnicy mogą się schronić w razie nagłego niebezpieczeństwa. Wszystko to wskazywało na przewidującą mądrość Jima, na jego wiarę w przyszłość. Z krajowców, których nazywał »swymi ludźmi« — wyzwolonych niewolników szeryfa — zamierzał utworzyć osobną dzielnicę w Patusanie, osadzając ich w chatach na drobnych działkach ziemi pod ścianami fortecy. Wewnątrz fortu Jim miał stanowić sam przez się zastęp niezwyciężony. »Fort, Patusan«. Bez daty, jak Pan widzi. Czymże jest liczba i nazwa wobec dnia nad dniami? Nie-

podobna także powiedzieć, kogo Jim miał na myśli, gdy chwycił za pióro: Steina — mnie — czy cały szeroki świat; a może te słowa były tylko bezcelowym okrzykiem strachu wydanym przez samotnego człowieka, któremu przeznaczenie zastąpiło drogę. »Stała się rzecz straszna«, pisał, zanim rzucił pióro po raz pierwszy; niech Pan spojrzy na kleks pod tymi słowami, podobny do ostrza strzały. Po chwili usiłował znów pisać i nagryzmolił mozolnie drugi wiersz, jakby miał rękę z ołowiu: »Muszę natychmiast...« Pióro prysnęło i tym razem Jim dał już spokój. Wszystko było skończone; ujrzał szeroką przepaść, poza którą ani oczy, ani głos sięgnąć nie mogły. Rozumiem to. Przytłoczyło go niepojęte; przytłoczyła go własna indywidualność — dar tego losu, którym ze wszystkich sił starał się zawładnąć.

Posyłam Panu także stary list — bardzo stary. Leżał złożony starannie w tece Jima. To list pisany przez jego ojca; spojrzawszy na datę, może się Pan przekonać, że Jim musiał go odebrać parę dni przed objęciem swych obo-

wiązków na »Patnie«. Zapewne ostatni to list, który z domu otrzymał. Przechowywał go troskliwie w ciągu tych wszystkich lat. Zaczny stary proboszcz miał słabość do swego syna marynarza. Przejrzałem ten list, czytając gdzieniegdzie jakieś zdanie. Nie ma w nim nic prócz miłości. Proboszcz pisze swemu »drogiemu Jamesowi«, że ostatni długi jego list był bardzo »szczyry i zajmujący«. Proboszcz nie chciałby, aby Jim »sądził ludzi zbyt pośpiesznie lub zbyt ostro«. Są tam całe cztery strony tego banalnego moralizowania i nowin rodzinnych. Tom »przyjął święcenia«. Mąż Carrie »poniósł straty pieniężne«. Staruszek ciągnie wciąż tym samym tonem, ufając Opatrzności i ustalonemu porządkowi wszechświata, choć jest świadom małych jego niebezpieczeństw i małych łask. Widzę niemal starego proboszcza, jak siedzi, siwowłosy i pełen pogody, w swym nieprzystępnym schronieniu — wygodnym, spłowiałym gabinecie o ścianach wyłożonych książkami, gdzie przez czterdzieści lat przeżuwał sumiennie wciąż te same przeciętne myśli o wie-

rze i cnocie, o kierowaniu życiem i o jedynym sposobie, w jaki się powinno umierać; gdzie napisał tyle kazań i gdzie rozmawia teraz ze swym chłopcem, który jest hen, daleko, po drugiej stronie ziemi. Ale cóż znaczy odległość? Cnota jest jedna na całym świecie i jedna jest tylko wiara, jeden należyty sposób kierowania życiem i umierania. Proboszcz wyraża nadzieję, iż jego »drogi James« nie zapomni nigdy, że »kto raz ulegnie pokusie, wystawia się tym samym na możliwość ostatecznego znieprawienia i wiecznego upadku. Toteż postanów sobie raz na zawsze, że nigdy — dla jakiegokolwiek przyczyny — nie popełnisz nic, czego byś nie uważał za słuszne«. Dalej idą wiadomości o ulubionym psie i kucyku, »na którym wszyscyście jeździli«: ośleplł ze starości i trzeba go było zastrzelić. Staruszek zanosí modły do nieba, aby zesłało na syna błogosławieństwo; matka i wszystkie siostry obecne w domu ślą moc serdeczności... Tak, nie ma nic nadzwyczajnego w tym pożółkłym liście o przetartych brzegach, który po tylu latach wysunął się z tro-

skliwej dłoni Jima. Odpowiedź nie została nigdy wysłana, ale któż powie, jakie nieme rozmowy Jim prowadził ze spokojnymi, bezbarwnymi postaciami, które zaludniają ów cichy zakątek, wolny od niebezpieczeństw i walki, jak grobowiec oddychający miarowo powietrzem niezamąconej prawości? Wydaje się zdumiewające, że Jim wyszedł z tego zakątka, Jim, na którego »spadło« tyle rzeczy. Na nich nic nigdy nie »spadło«, nigdy ich nic nie zaskoczyło i nie wezwano ich nigdy do zmierzenia się z losem. Oto są tutaj, wywołani przez miłą gawędę ojca, wszyscy ci bracia i siostry, krew z jego krwi i kość z jego kości; spoglądają wzrokiem jasnym i nieświadomym, a i Jima widzę między nimi; wrócił nareszcie i już nie wygląda jak malutka biała plamka w samym środku niepojętej tajemnicy; widzę go w naturalnych wymiarach, jak stoi niepostrzeżony wśród spokojnych postaci rodzeństwa, poważny i romantyczny, lecz zawsze niemy, zagadkowy — za mgłą.

Historię ostatnich wypadków znajdzie Pan w niewielu załączonych tu kartkach. Przyzna Pan chyba, że jest bardziej romantyczna od najszaleńszych marzeń chłopięcych Jima, a jednak widzę w niej pewnego rodzaju głęboką i przerażającą logikę, jakby jedynie nasza własna wyobraźnia mogła rozpętać i zwrócić przeciw nam potęgę miażdżącego losu. Nierozwaga naszych myśli spada na nasze własne głowy; kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Ta niesłychana przygoda, w której najdziwniejszą rzeczą jest jej autentyczność, przychodzi jak nieunikniony skutek. Coś podobnego stać się musiało. Człowiek powtarza to sobie, zdumiewając się jednocześnie, że taki fakt mógł się zdarzyć w naszych czasach, mniej więcej przed rokiem. Ale zdarzył się — i nie można podawać jego logiki w wątpliwość.

Opisuję Panu to wszystko, jak gdybym był naocznym świadkiem. Moje wiadomości są niekompletne, lecz zestawilem wszystkie urywki, a jest ich dość dużo, aby utworzyć obraz zrozumiały. Pytam siebie, jakby Jim sam to opo-

wiedział? Ufał mi tak bardzo, iż wyobrażam sobie, że lada chwila wejdzie do pokoju i sam mi wszystko opowie głosem niedbałym, a jednak pełnym uczucia, z obojętną miną, trochę zaskoczony, trochę zakłopotany, trochę dotknięty — rzucając czasem światło jednym słowem lub zdaniem na swą wewnętrzną istotę — światło zbyt niepewne, aby można było się zorientować. Trudno mi uwierzyć, że się już nigdy nie zjawi. Nie usłyszę jego głosu, nie zobaczę jego gładkiej twarzy, różowej i opalonej, o czo-
le odcinającym się białością i młodzieńczych oczach, pociemniałych ze wzruszenia aż do mrocznego przepastnego błękitu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Zaczyna się to wszystko od niezwykłego czynu pewnego człowieka nazwiskiem Brown, któremu udało się ukraść hiszpański szkuner z niewielkiej zatoki w pobliżu Zamboanga. Nie miałem wyczerpujących wiadomości o tej sprawie,

póki najniespodziewaniej w świecie nie natknąłem się na owego człowieka, kilka godzin przedtem, zanim wyzionął swego aroganckiego ducha. Na szczęście, mógł ze mną rozmawiać i czynił to chętnie wśród duszących ataków astmy; jego udręczone ciało wiło się ze złośliwej radości na samą myśl o Jimie. Rozkoszował się tym, że »odpłacił się jednak temu nadętemu pyszałkowi«. Nie mógł się nasycić wspomnieniem. Aby się o wszystkim dowiedzieć, musiałem znieść dzikie spojrzenia jego zapadłych oczu, otoczonych kurzymi łapkami zmarszczek — i zniosłem je, rozmyślając, jak blisko niektóre postacie zła są spokrewnione z obłąkaniem, jak często źródłem ich jest skoncentrowany egoizm, jak — rozognione przez opór — rozszarpują duszę na strzępy, użyczając ciału sztucznej siły. Ta historia ujawnia również nieprzewidziane głębie chytryści w nędznym Corneliusie; jego ohydna i potężna nienawiść działała jak przebiegłe natchnienie, wskazując mu niezawodną drogę do zemsty.

— Ledwie rzuciłem na niego wzrokiem, wiedziałem od razu, jakiego to typu dureń — mówił dogorywający Brown, dysząc ciężko. — To miał być mężczyzna? Do diabła! To był nadęty błazen. Czy nie mógł mi po prostu powiedzieć: »Precz z łapami od mego łupu!« To by było po męsku. Diabli nadali tę jego wyższą duszę! Trzymał mnie w rękę, ale za mało w nim było z szatana, żeby zrobić ze mną koniec, gdzieżby zaś! Taki niedojda jak on wypuścił mnie z rąk, jakbym nie był w wart nawet kopnięcia! — Brown zaczął dyszeć, chwytając rozpaczliwie oddech. — Oszust... Wypuścił mnie... Więc też ja z nim zrobiłem koniec... — Znowu chwyciła go duszność. — Ta choroba mnie pewno zabije, ale umrę teraz spokojnie. Panie... słyszy pan? nie wiem nawet, jak się pan nazywa, ale dałbym panu banknot pięciofuntowy, gdybym go miał, za wiadomość... jakem Brown... — wykrzywił się w ohydny uśmiechu — jakem dzentelmen Brown.

Mówiąc to wszystko, chwycił głęboko oddech i wlepił we mnie żółte oczy tkwiące w długiej, zniszczonej, brunatnej twarzy; poruszył niepokojnie lewym ramieniem; szpakowata, poplątana broda zwisała mu prawie do pasa; brudna, podarta kołdra okrywała jego nogi. Wyznałem Browna w Bangkoku przy pomocy tego wścibskiego hotelarza Schomberga, który wskazał mi poufnie, gdzie szukać. Okazało się, że pewien biały włóczęga — wałkoń zamroczony od pijaństwa, żyjący wśród krajowców ze syjamską kobietą — uznał za wielki zaszczyt ofiarowanie przytułku słynnemu Dzentelmenowi Brownowi na ostatek jego dni. Podczas gdy Brown mówił ze mną o tej nędznej dziurze i rzekłbyś, walczył ze śmiercią o każdą minutę, w ciemnym kącie siedziała syjamska kobieta o wielkich, gołych nogach i głupiej prościej twarzy, żując tępą betel. Od czasu do czasu podnosiła się, aby odpędzić kurczę ode drzwi. Cała chata trzęsła się od jej kroków. Brzydkie, nagie dziecko o żółtej skórze i wydętym brzuszku, niby mały bóg pogański, stało w no-

gach posłania z palcem w ustach, zatopione w głębokiej i spokojnej kontemplacji umierającego.

Brown mówił gorączkowo; lecz niekiedy — często w środku wyrazu — niewidzialna ręka brała go za gardło; spoglądał wówczas na mnie niemo z wyrazem zwątpienia i udręki. Obawiał się widocznie, że się zmęczone czekaniem i odejdę, a on nie zdąży dokończyć swojej opowieści, wyrazić mi swej radości. Zdaje się, że umarł w nocy, ale wówczas już wiedziałem wszystko.

Tyle na razie o Brownie.

Mniej więcej osiem miesięcy przedtem znalazłem się w Semarangu i poszedłem jak zwykle odwiedzić Steina. Na werandzie od strony ogrodu jakiś Malaj powitał mnie nieśmiało; przypomniałem sobie, że go widział w Patusanie, w domu Jima, wśród innych Bugisów, którzy przychodzili wieczorem, aby gawędzić bez końca o wojennych wspomnieniach i roztrząsać sprawy państwowe. Jim pokazał mi go kiedyś, nadmieniając, że to jest drobny kupiec, właściciel małego statku morskiego; swe-

go czasu okazał się »jednym z najdzielniejszych przy zdobywaniu ostrokołu«. Widok tego krajowca nie bardzo mnie zdziwił, ponieważ każdy kupiec patusański, który się zapuszczał tak daleko, aż do Semarangu, trafiał oczywiście do domu Steina. Odwzajemniłem powitanie Bugisa i szedłem dalej. U drzwi prowadzących do gabinetu natknąłem się na innego Malaja, w którym poznałem Tamb' Itama.

Zapytałem go od razu, co tu robi; przyszło mi do głowy, że może Jim przyjechał do Steina w odwiedziny. Wyznaję, iż ta myśl uradowała mnie i ożywiła. Tamb' Itam wyglądał, jakby zapomniał języka w gębie.

— Czy tuan Jim jest także tutaj? — spytałem niecierpliwie.

— Nie — mruknął Tamb' Itam i zwiesił głowę, a potem rzekł nagle z naciskiem. — Nie chciał walczyć. Nie chciał walczyć — powtórzył.

Zdawało się, że nic innego wydobyć z siebie nie może; odsunąłem go na bok i wszedłem.

Stein, wysoki i pochylony, stał samotnie w środku pokoju między rzędami skrzynek pełnych motyli.

— Ach! to pan, kochany przyjacielu! — rzekł smutno, patrząc na mnie przez okulary. Był ubrany w luźny, brunatny kitel alpakowy, rozpięty i sięgający kolan. Na głowie miał panamę; blade jego policzki były poorane głęboko bruzdami.

— Cóż to znaczy? — spytałem nerwowo. — Tamb' Itam jest tutaj...

— Niech pan idzie się zobaczyć z dziewczyną. Niech pan idzie się z nią zobaczyć! Ona tu jest — rzekł Stein, usiłując mówić z energią. Chciałem go zatrzymać, lecz z łagodnym uporem nie zwracał żadnej uwagi na moje natarczywe pytania. — Ona tu jest, ona tu jest — powtarzał w wielkim wzburzeniu. — Przyjechali przed dwoma dniami. Taki stary człowiek jak ja, a przy tym cudzoziemiec, *sehen Sie*²⁴, niewiele może zrobić... O, tędy, proszę pana... Młode serca nie przebaczą... — Widziałem,

²⁴*sehen Sie* (niem.) — widzi pan. [przypis edytorski]

że Stein jest w ostatecznej rozterce. — Jest w nich taka pełnia życia... taka okrutna pełnia życia... — mamrotał, prowadząc mnie naokoło domu; szedłem za nim, zatopiony w ponurych i gniewnych domysłach. U drzwi salonu zastąpił mi drogę. — On bardzo ją kochał — rzekł pytającym tonem, a ja tylko skinąłem głową, przygnieciony tak gorzkim rozczarowaniem, że bałem się zaryzykować odpowiedź. — To straszne — szepnął. — Ona nie może mnie zrozumieć. Jestem dla niej tylko obcym starcem. Może pana zrozumie... przecież pana zna. Niech pan z nią pomówi. Nie możemy tego tak zostawić. Niech pan jej powie, żeby mu przebaczyła. To takie straszne.

— Zapewne — rzekłem, rozdrażniony swoją nieświadomością — ale czy *pan* mu przebaczył?

Spojrzał na mnie dziwnie.

— Dowie się pan o wszystkim — rzekł i otworzywszy drzwi, dosłownie wepchnął mnie do środka.

Pan zna wielki dom Steina i te dwa olbrzymie salony, niezamieszkałe i zupełnie na mieszkanie nieodpowiednie — czyste, ziejące samotnością, pełne świecących sprzętów, które wyglądają, jakby oko ludzkie nigdy na nich nie spoczęło. Chłodne są nawet w najgorętsze dni, a wchodzi się tam jak do podziemnej groty. Minąłem jeden salon i zobaczyłem w drugim dziewczynę; siedziała u końca wielkiego mahoniowego stołu, opierając o jego brzeg głowę ukrytą w ramionach. Woskowana posadzka odbijała niewyraźnie jej postać, jak tafla zamrożonej wody. Zasłony z rotanu były spuszczone; przez dziwny, zielonawy mrok, padający od listowia drzew rosnących naokoło domu, ciągnęły od czasu do czasu powiewy silnego wiatru, kołysząc długimi portierami u drzwi i okien. Biała postać dziewczyny wyglądała jak ulepiona ze śniegu; kryształowe wisiory wielkiego świecznika dźwięczały nad jej głową, niby iskrzące się sople lodu. Podniosła oczy i patrzyła na mnie, gdy się zbliżałem. Ogarnął mnie

chłód, jakby te obszerne salony były zimnym przybytkiem rozpacz.

Poznała mnie od razu i gdy się zatrzymałem, patrząc na nią, rzekła spokojnie:

— Opuścił mnie. Wy zawsze nas opuszczacie dla waszych własnych celów. — Twarz jej była zakrzepła. Zdawało się, że wszystko żywotne ciepło jej ciała cofnęło się w jakieś niedostępne miejsce w głębi piersi. — Byłoby mi tak łatwo umrzeć z nim razem — ciągnęła i machnęła lekko ręką ze znużeniem, jakby przechodząc do porządku nad czymś niezrozumiałym. — Ale nie chciał! Był jak ślepy, a przecież to ja do niego mówiłam; to ja stałam przed jego oczami; to na mnie przez cały czas patrzył! Ach! jesteście bez serca, zdraдлиwi, nieszczerzy, bezlitośni. Dlaczego jesteście tacy źli? A może jesteście wszyscy obłąkani?

Ująłem ją za rękę, która nie odpowiedziała na moje dotknięcie; kiedy ją puściłem, zwiła bezwładnie, Obojętność tej dziewczyny, okropniejsza od łez, krzyków i wymówek, wydawała się niedostępna dla czasu i ukojenia. Czuło się,

iż żadne słowa nie dotrą do siedliska jej stęzającego, drętowego bólu.

Stein powiedział mi: »Dowie się pan«. I rzeczywiście dowiedziałem się o wszystkim. Słuchałem — zdumiony i przejęty grozą jej słów, wypowiedzianych z kamiennym znużeniem. Nie mogła przeniknąć istotnej treści tego, co mi mówiła; jej żal do Jima przejął mnie litością dla niej — i dla niego. Zamilkła wreszcie; stałem jak przykuty do miejsca. Oparta na łokciu, patrzyła przed siebie twardym wzrokiem, a wiatr przewiewał niekiedy, dźwięcząc kryształami w zielonawym mroku. Szeptala cicho do siebie:

— A przecież patrzył na mnie! Widział moją twarz, słyszał mój głos, czuł mój ból! Kiedy siadywałam dawniej u jego nóg, opierając policzek o jego kolano i czując jego rękę na głowie, klątwa okrucieństwa i obłąkania już w nim była, czekając na swój dzień. Nadszedł ten dzień... Nim słońce się skryło, przestał mnie widzieć, był ślepy i głuchy, i bezlitosny, jak wy wszyscy. Nie będzie miał moich łez. Nigdy, nigdy.

Ani jednej. Ja płakać nie chcę! Porzucił mnie, jakbym była gorsza od śmierci. Uciekł, gnany przez jakieś przekłete widmo, które usłyszał czy zobaczył we śnie...

Nieruchome oczy dziewczyny zdawały się wyteżać w pościgu za męską postacią, wydartą z jej ramion przez moc sennego widziadła. Nie odpowiedziała wcale na mój milczący ukłon. Odetchnąłem z ulgą, wychodząc.

Raz jeszcze ją zobaczyłem tego samego popołudnia. Wyszedłszy od niej, udałem się na poszukiwanie Steina, którego nie było w willi; ścigany rozpaczliwymi myślami, zacząłem błądzić po ogrodach — po sławnych ogrodach Steina — gdzie można znaleźć każdą roślinę i każde drzewo podzwrotnikowych nizin. Szedłem jakiś czas wraz z biegiem uregulowanego strumienia, po czym siedziałem długo na ocienionej ławce obok sztucznej sadzawki, gdzie trochę wodnego ptactwa o podciętych skrzydłach nurkowało i pluskało się hałaśliwie. Gałęzie ka-

zuarzynowych²⁵ drzew rosnących za mną kołysały się lekko bez przerwy, przypominając mi szum jodeł w kraju.

Ten żałobny, nieukojonny dźwięk stanowił odpowiednie tło dla moich rozmyślań. Dziewczyna powiedziała, że senne widziadło wyrwało jej Jima — i żadnej na to nie było odpowiedzi; zdawało się, że nie ma przebaczenia dla takiej winy. A jednak — czyż sny o wielkości i potędze nie prą na oślep całej ludzkości w mroczne koleje zbędnego okrucieństwa i zbędnych poświęceń? I czymże jest właściwie pogoń za prawdą?

Kiedy wstałem, chcąc wrócić do siebie, dostrzegłem brunatny kitel Steina przez szparę w liściach i wkrótce na zakręcie ścieżki spotkałem go idącego razem z dziewczyną. Mała jej rączka spoczywała na jego ramieniu; siwy i ojcowski, pochylał ku niej głowę w płaskiej panamie o szerokich skrzydłach, a cała jego postać wyrażała współczucie pełne rycerskiego

²⁵*kazuaryna* a. *rzewnia* — rodzaj drzew i krzewów z suchych terenów płd. Azji i Australii; ich silnie zredukowane, twarde liście przypominają pióra strusi lub igły sosny. [przypis edytorski]

szacunku. Usunąłem się na bok, ale oni przystanęli naprzeciw mnie. Stein patrzył w ziemię; dziewczyna, wyprostowana i drobna u jego boku, utkwiała w przestrzeni poseępnie czarne, przejrzyste, nieruchome oczy.

— *Schrecklich!*²⁶ — szepnął Stein. — Okropne! okropne! Co tu począć?

Zdawał się zwracać do mnie; młodość dziewczyny, długie życie, które ją czekało, wzruszały mnie głęboko, i nagle, w chwili gdy pojąłem jasno, że nie można powiedzieć nic, co by przyniosło jej ulgę, zacząłem się wstawiać za Jimem.

— Pani musi mu przebaczyć — zakończyłem, a własny głos wydał mi się stłumiony, jakby się zagubił w obojętnym, głuchym ogromie. — Wszyscy potrzebujemy przebaczenia — dodałem po chwili.

— A cóż ja takiego zrobiłam? — zapytała po cichu.

— Pani nigdy mu nie wierzyła — odrzekłem.

²⁶*schrecklich* (niem.) — straszne, okropne. [przypis edytorski]

— Był taki jak wszyscy inni — wymówiła z wolna.

— Nie, nie był taki jak inni — zapewniałem, lecz ona ciągnęła dalej równym, obojętnym głosem:

— Był obłudny.

Stein wtrącił się nagle do naszej rozmowy:

— Nie, nie! Moje biedne dziecko!... — Pogłaskał jej rękę leżącą biernie na jego rękawie. — Nie, nie! Nie był obłudny! Był szczerzy, szczerzy! Szczerzy! — Usiłował zajrzeć w kamienną jej twarz. — Pani tego nie rozumie. Ach! Dlaczego pani nie rozumie?... To okropne! — zwrócił się do mnie. — Przyjdzie dzień, kiedy będzie *musiała* zrozumieć.

— Czy *pan* jej to wytłumaczy? — spytałem, patrząc mu bacznie w oczy.

Ruszyli z miejsca.

Patrzyłem za nimi. Suknia jej wlokła się po ziemi, rozpuszczone włosy spadały na ramiona. Prosta jak struna, szła lekko u boku wysokiego mężczyzny; długi jego, luźny kitel zwisał prostopadłymi fałdami z pochylonych pleców,

a nogi poruszały się z wolna. Znikli za tą kępą zarośli, gdzie (jak Pan może sobie przypomina) rośnie szesnaście różnych gatunków bambusu, które oko uczonego potrafi doskonale rozróżnić. Przykuwał mnie subtelny wdzięk i piękno smukłego gaiku uwieńczonego spiczastymi liśćmi i pierzastymi kitami, jego lekkość, siła żywotna i czar tak wyraźny, jakby był głosem tego spokojnego, a bujnego życia. Pamiętam, że stałem i patrzyłem przez długą chwilę, jakbym się ociągał z odejściem, zasluchany w jakiś kojący szept. Niebo miało ton perłowoszary. Był to jeden z tych pochmurnych dni, tak rzadkich pod zwrotnikami, kiedy się cisną wspomnienia innych brzegów, innych twarzy.

Wróciłem do miasta tego samego popołudnia, zabierając z sobą Tamb' Itama i drugiego Malaja, na którego statku uciekli wśród osłupienia, trwogi i grozy wywołanych nieszczęściem. Zdawało się, że wstrząs, jaki ci ludzie przeżyli, zmienił ich natury. Pałająca namiętnością dziewczyna obróciła się w kamień, a posępny, milczący Tamb' Itam stał się prawie ga-

datliwy. Jego zgryźliwość przemieniła się w pokorę pełną zdziwienia, jak gdyby ujrzał niemoc potężnego czaru w wyrocznej chwili. Bugiski kupiec, człowiek lękliwy i niezdecydowany, wyrażał się bardzo jasno, choć niewiele miał do powiedzenia. Obaj byli najwidoczniej przerażeni i przejęci wielkim, niewymownym zdumieniem. Otarli się o niezbadaną tajemnicę”.

Tu podpis Marlowa oznaczał kres właściwego listu. Uprzywilejowany człowiek podkreślił lampę i zabrał się do czytania kartek opowieści, samotny wśród falistych dachów miasta jak latarnik nad oceanem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Zaczyna się to wszystko, jak już mówiłem, z pojawieniem się człowieka nazwiskiem Brown — brzmiało pierwsze zdanie piśmiennej relacji Marlowa. — Pan się włóczył po zachodnim Pacyfiku, więc musiał Pan o nim słyszeć. Był to typowy zbój z australijskiego wybrzeża. Nieczęsto się tam pokazywał, ale zawsze można się by-

ło na niego natknąć w opowiadaniach o życiu poza prawem, którymi się częstuje przybyszów z kraju. Najmniej jaskrawa z historii krążących o Brownie od przylądka York do zatoki Eden zaprowadziłaby go na szubienicę, gdyby się doniosło o tym, gdzie należy. Nie omieszkano również nigdy powiadomić nowo przybyłych, że Brown był podobno synem baroneta. Tak czy owak, pewne jest, że zdezerterował z angielskiego statku na samym początku okresu, kiedy to zaczęto dobywać złoto, i w parę lat później mówiono już o nim jako o postrachu tej lub innej grupy wysp polinezyjskich. Porывał krajowców, obdzierał do koszuli samotnych białych kupców, a obrabowawszy takiego nieboraka, proponował mu często pojedynek na strzelby. Wyglądałoby to na względnie lojalne postępowanie, gdyby napadnięty nie był już na wpół żywy ze strachu. Brown należał do rzędu korsarzy nowożytnych; charakter miał tak niegodziwy jak jego sławniejsi poprzednicy, ale co go wyróżniało spośród współczesnych mu koleżków-zabijaków — jak na przykład Bul-

ly Hayes czy miodopłynny Pease, czy też wyperfumowany łotr, dandys z wielkimi faworytami, znany jako Brudny Dick — to arogancja, jaką się odznaczał, i zażarta pogarda dla ludzi w ogóle, a dla swych ofiar w szczególności. Tamci korsarze byli po prostu pospolitymi, chciwymi bestiami, lecz Brownem zdawały się powodować jakieś zawikłane motywy. Obdzierał ludzi, rzekłbyś, jedynie po to, aby im okazać swą pogardę, a zabijał lub kaleczył jakiegoś spokojnego, Bogu ducha winnego człowieka, którego pierwszy raz w życiu widział, z dziką i mściwą zawziętością, co mogło przerazić i najzuchwalszego z awanturników. W dniach swej największej chwały posiadał uzbrojony bark o załodze złożonej z kanaków²⁷ i zbiegłych wielorybników; chełpił się — Bóg raczy wiedzieć dlaczego — że finansuje go po kryjomu pewna bardzo przyzwoita firma handlująca kopra²⁸. Potem znów uciekł — jak opowiadano — z żoną misjonarza, bardzo młodą kobietą z Cla-

²⁷kanak (hist.) — popr.: *kanaka*, człowiek pochodzący z wysp Pacyfiku, zwł. tubylczy pracownik w koloniach bryt. i na statkach. [przypis edytorski]

²⁸kopra — wysuszony miąższ orzechów palmy kokosowej. [przypis edytorski]

pham, która w chwili egzaltacji wyszła za łagodnego pastora o płaskich stopach i — przeniesiona nagle do Melanezji — straciła głowę. Była to jakaś mętna historia. Żona misjonarza była chora w chwili, kiedy ją Brown uprowadził, i umarła na jego statku. Opowiadają — i w tym wszystkim to jest najdziwniejsze — że Brown nad jej ciałem uniósł się gwałtowną i ponurą rozpaczą. Wkrótce potem szczęście go opuściło. Stracił swój bark na skałach w pobliżu Malaity i znikł na pewien czas z widowni, jakby poszedł na dno razem ze statkiem. Wyłynął znów w Nuka-hiwa, gdzie kupił stary, wysłużony rządowy szkuner francuski. Czy mógł mieć zyskowny interes na widoku, dokonując tego kupna, nie umiem powiedzieć, ale jeśli wziąć pod uwagę wysokich komisarzy, konsulów, statki wojenne i kontrolę międzynarodową — jasne jest, że morza południowe stawały się za ciasne dla osobników jego pokroju. Musiał widać przesunąć teren swej działalności dalej na zachód, bo w rok później odegrał rolę niewiarygodnie śmiałą — choć mate-

rialnie niezbyt korzystną — w tragikomicznym przedsięwzięciu handlowym na terenie Zatoki Manilskiej, w którym głównymi osobami byli pewien gubernator-defraudant i zbiegły skarbnik; potem włóczył się jakoby naokoło Filipin na swym zbutwiałym szkunerze i walczył z nieprzyjaznym losem, aż wreszcie, dążąc po wyznaczonym sobie szlaku, wplątał się w historię Jima — ślepy wspólnik Ciemnych Potęg.

Opowiadał mi, że patrolujący hiszpański kuter uwięził go w chwili, gdy usiłował przemyścić trochę strzelb dla powstańców. Jeśli tak było naprawdę, trudno zrozumieć, dlaczego Brown się znajdował u południowych wybrzeży Mindanao. Ale według mego przekonania, wymuszał haracz na krajowcach z wsi nadbrzeżnych. Cała rzecz w tym, że dowódca kutra, zostawivszy straż na pokładzie barku, kazał mu płynąć za sobą do Zamboanga. Po drodze oba statki musiały z jakiegoś powodu zawinąć do jednej z tych nowych osad hiszpańskich, które nie przyniosły nigdy żadnego pożytku; był tam nie tylko cywilny urzędnik opiekujący się wybrze-

żem, ale i porządny, okazały szkuner nadbrzeżny zakotwiczony w małej zatoczce; otóż Brown postanowił ukraść ten szkuner, lepszy pod każdym względem od jego statku.

Mówił mi sam, że szczęście mu wówczas nie dopisywało. Ze świata, któremu dokuczał, napastując go przez dwadzieścia lat z dziką pogardą, nie wycisnął żadnych materialnych korzyści prócz niewielkiego worka srebrnych dolarów, ukrytych w jego kajucie, „tak że sam czort nie potrafiłby ich wywąchać”. I to było dosłownie wszystko. Czuł się znużony życiem i śmierci się nie lękał. Lecz ten człowiek, który narażał życie dla kaprysu z gorzkim i szyderczym zuchwalstwem, bał się śmiertelnie więzienia. Na samą myśl o nim instynktowna zgroza targła jego nerwami, oblewał go zimny pot, szpik zastygał mu w kościach; było to podobne do strachu, którego by przesądny człowiek mógł doznać na myśl o uścisku upiora. Toteż cywilny urzędnik, który przybył na pokład dla przedwstępного śledztwa w sprawie pojmanego statku, prowadził przez cały dzień znojne

badania i udał się na brzeg dopiero o zmroku, zawinięty po uszy w płaszcz, uważając pilnie, aby nic nie zabrzączało w worku, w którym zabierał cały niewielki majątek Browna. Po czym, będąc człowiekiem słownym, postarał się wysłać (zaraz następnego wieczoru, o ile mi się zdaje) kuter rządowy w jakiejś szczególnie pilnej sprawie. Ponieważ kapitan kutra nie mógł obsadzić brygu swoimi ludźmi, zadowolił się tym, że zabrał przed odjazdem wszystkie żagle ze szkunera Browna aż do ostatniego strzępka; nie omieszkał też odholować swoich dwóch łodzi do brzegu, o parę mil dalej.

Ale wśród załogi Browna znajdował się krajo-
wicz z Wysp Salomona, uprowadzony jeszcze w młodości i oddany Brownowi bez granic; był to najlepszy człowiek z całej bandy. Krajo-
wicz ów puścił się wplaw do rządowego szkunera — z jakie pięćset jardów — trzymając koniec liny holowniczej, zrobionej ze wszystkich tkanin na statku, które podarto w tym celu. Morze ani drgnęło, a w zatoczce było ciemno, „jak w brzuchu krowy”, według opisu Brow-

na. Krajowiec z Wysp Salomona wdrapał się na nadburcie, trzymając koniec liny w zębach. Załoga szkunera, złożona wyłącznie z Tagalów²⁹, znajdowała się na wybrzeżu, gdzie brała udział w zabawie we wsi tubylczej. Dwaj wartownicy zostawieni na statku obudzili się nagle i ujrzeli diabła. Miał gorejące oczy i skakał po pokładzie z szybkością błyskawicy. Padli na kolana, obezwładnieni trwogą, żegnając się i szepcząc modlitwy. Wyspiarz porwał z kambuza³⁰ długi nóż i pchnął naprzód jednego wartownika, a potem drugiego, nie przerywając im modlitw; tym samym nożem zaczął piłować cierpliwie grubą cumę z włókien kokosowych, póki nie osunęła się z pluskiem spod noża. Wówczas rzucił w ciszę zatoki ostrożny okrzyk, a banda Browna — która przez cały ten czas wyteżrzała wśród mroku wzrok i słuch przejęta nadzieją, zaczęła ciągnąć ostrożnie drugi koniec liny. W niespełna pięć minut oba szkunery zetknęły się z lekkim wstrząsem i skrzypem masztów.

²⁹*Tagalowie* — lud żyjący na Filipinach. [przypis edytorski]

³⁰*kambuz* — pomieszczenie kuchenne na statku. [przypis edytorski]

Ludzie Browna przenieśli się bezzwłocznie na szkuner hiszpański, zabierając broń i duży zapas amunicji. Było ich wszystkich razem szesnastu: dwóch uciekinierów z marynarki angielskiej, chudy, wysoki dezenter z wojennego okrętu Stanów Zjednoczonych, paru jasnowłosych, prostodusznych Skandynawów, jakiś tam Mulat, ugrzeczniony Chińczyk zajmujący się kuchnią, reszta zaś — nędzne szumowiny mórz południowych. Żaden z nich nie dbał o nic; Brown powodował nimi według swej woli, a teraz obojętny na szubienicę, uciekał przed widmem hiszpańskiego więzienia. Nie zostawił im czasu na przeniesienie dostatecznego zapasu żywności; noc była spokojna, powietrze przesiąknięte rosą, a gdy oddali cumy i ustawili żagle na słaby wiatr lądowy, nie zatrzepotało ani jedno mokre płótno; stary ich szkuner zdawał się cofać powoli od ukradzionego statku i sunąć po cichu w noc razem z czarną masą wybrzeża.

Uciekli bez śladu. Brown opowiedział mi szczegółowo tę podróż przez cieśninę Makasar.

To dręcząca i rozpaczliwa historia. Nie mieli pożywienia ani wody, napadli na kilka statków tubylczych, zabierając każdemu trochę żywności. Brown nie odważył się oczywiście zawinąć do żadnego portu z ukradzionym okrętem. Nie miał pieniędzy, aby kupić cośkolwiek; nie miał żadnych papierów do pokazania władzom portowym i nie potrafił wymyślić jakiegoś prawdopodobnego kłamstwa, aby móc się wy dostać z powrotem. Raz w nocy napadli na arabski bark pod banderą holenderską, zakotwiczony u wybrzeży Poulo Laut, i zabrali mu trochę brudnego ryżu, pęk bananów, beczkę wody; w ciągu trzech dni burzliwych i mglistych północno-wschodni wiatr zapędził ich na Morze Jawajskie. Żółte, błotniste fale zalewały to zbiorowisko głodnych awanturników. Widzieli pocztowe kutry dążące po wyznaczonych szlakach; mijali dobrze zaopatrzone statki angielskie o zardzewiałych żelaznych bokach, czekające wśród płytkiego morza na zmianę pogody lub odwrócenie się prądu; biała i schludna kanonierka angielska o dwóch smukłych masz-

tach przecięła im raz drogę w oddali; innym znów razem holenderska korweta, czarna o ciężkim omasztowaniu, zamajaczyła z boku za rufą, sunąc bardzo wolno wśród mgły. Przemykali się, nie dostrzeżeni lub mijani obojętnie — banda wynędzniałych, wybladłych straceńców, rozwścieczonych głodem, ściganych przez strach. Brown zamierzał dostać się na Madagaskar, gdzie się spodziewał — z pewnym prawdopodobieństwem — sprzedać szkuner w Tamatawe, nie narażając się na pytania, lub też zdobyć jakieś sfalszowane papiery. Ale przed puszczeniem się w długą podróż przez Ocean Indyjski potrzebował żywności — a także i wody.

Może słyszał kiedyś o Patusanie — a może po prostu zdarzyło mu się zobaczyć jego nazwę wypisaną malutkimi literkami na mapie, nazwę — jak sądził — sporej wsi położonej nad rzeką w państwie tubylczym, zupełnie bezbronny, dalekim od uczęszczanych morskich szlaków i kabli podwodnych. Zapuszczał się już i dawniej w takie miejsca dla interesu; a te-

raz była to bezwzględna konieczność, kwestia życia i śmierci — a raczej wolności. Wolności! Był pewien, że znajdzie tam zapasy, bawoły, ryż, jadalne korzenie. Wynędzniała banda oblizywała się już na to zawczasu. Może się uda wymusić ładunek żywności, a kto wie? może się tam znajdzie trochę prawdziwej brzęczącej monety! Z niektórych naczelników i wodzów można dość dużo wycisnąć. Brown mówił mi, że był zdecydowany przypiekać im pięty, byle tylko dopiąć swego. Wierzę. Jego ludzie wierzyli mu także. Nie wykrzykiwali z zapałem, bo to była banda milcząca, ale ostrzyli sobie zęby w cichości.

Pogoda im sprzyjała. Kilka dni ciszy byłyby ściągnęły na szkuner nieopisane okropności, ale z pomocą wiatrów lądowych i morskich w niecały tydzień po opuszczeniu Cieśniny Sundzkiej Brown zapuścił kotwicy u ujścia Batu Kring, o strzał z rewolweru od wsi rybackiej.

Czternastu ludzi z załogi wpakowało się do szalupy szkunera (obszernej, służącej do prze-

wożenia ładunku) i wyruszyło w górę rzeki; szkuner zostawiono pod opieką dwóch majtków, którzy mieli zapas żywności dostateczny dla uchronienia ich od głodowej śmierci przez dziesięć dni. Prąd i wiatr sprzyjały wyprawie i pewnego dnia, zaraz po południu, wielka biała łódź o poszarpanym żaglu wdarła się pod morską bryzą do państwa Patusanu wraz z czternastu dobranymi obszarpańcami, którzy wpatrywali się żarłocznie przed siebie, trzymając palce na kurkach tanich strzelb. Brown liczył na przerażenie wywołane niespodzianym jego przybyciem. Dopłynęli na ostatniej fali przypływu. Ostrokół radzy nie dawał znaku życia; najbliższe chaty po obu brzegach robiły wrażenie opustoszałych. W górze rzeki widać było kilka czółen umykających szybko. Brown dziwił się wielkości osady. Panowała tam głęboka cisza. Wiatr ustał między domami; dwóch ludzi wzięło się do wiosł, aby utrzymać kurs łodzi w górę rzeki, ponieważ Brown miał zamiar wylądować w środku osady, zanim mieszkańcy zdążą pomyśleć o obronie.

Lecz zdaje się, że naczelnik rybackiej wsi przy ujściu Batu Kring zdołał wysłać na czas ostrzeżenie. Gdy łódź znalazła się na wprost meczetu (wzniesionego przez Doramina, o szczycie ozdobionym rzeźbami z białego koralu), plac przed nim był pełen ludzi. Rozległ się głośny okrzyk, po czym dźwięk gongów rozbrzmiał wzdłuż rzeki. Z wyniosłości ponad osadą strzeliły dwie sześćofuntowe mosiężne armatki; pocisk leciał, podskakując po pustej rzece, a wytryski wody iskrzyły się w słońcu. Przed meczetem gromada krzyczących ludzi otworzyła ogień salwami, które smagały na ukos nurt rzeki; po obu brzegach grzmiała nieregularna strzelanina skierowana ku łodzi. Ludzie Browna odpowiedzieli gwałtownym ogniem; wiosła wyciągnięto z powrotem.

Zmiana prądu przy najwyższym przyptywie następuje bardzo prędko na tej rzece, i łódź w środku łożyska, ukryta prawie zupełnie w dymie, zaczęła się cofać sterem naprzód. Wzdłuż obu brzegów dym zgęstniał również, ciągnąc się poniżej dachów poziomymi smugami, po-

dobnie jak długi obłok przecina stok góry. Wrzawa okrzyków wojennych, drgający dźwięk gongów, głęboki warkot bębnow, wrzaski wściekłości, grzmot strzałów czyniły okropny hałas, pośród którego Brown siedział u steru zбитy z tropu, lecz spokojny; ogarniała go coraz większa wściekłość i nienawiść do tych krajowców, którzy śmieli się bronić. Dwóch jego ludzi było rannych; widział przy tym, że ma odwrót odcięty przez łódki, które odbiły od częstokołu Tunku Allanga. Było ich sześć, pełnych ludzi. Osaczony Brown spostrzegł ujście małej zatoczki (tej samej, którą Jim przeskończył przy odpływie). Była teraz pełna po brzegi. Brown skierował łódź w tę stronę; wylądowali i — streszczam długi epizod — umieścili się na małym kopcu, mniej więcej o dziewięćset jardów od ostrokołu, który z tej pozycji widzieli jak na dłoni. Stoki kopca były nagie, lecz na szczycie rosło trochę drzew. Zabrali się do ścięcia tych drzew na zasieki i przed zmierzchem byli już wcale dobrze obwarowani; przez cały ten czas łódki radży pozostawały na rzece, ob-

serwując ich z dziwną neutralnością. Gdy słońce zaszło, blask licznych ognisk z chrustu — rozpalonych i na wybrzeżu, i między podwójnym szeregiem domów — uwydatnił czarne sylwety dachów, grupy smukłych palm, gęste kępy drzew owocowych. Brown rozkazał spalić trawę naokoło swej pozycji; niski pierścień wątych płomieni, pod dymem wznoszącym się z wolna, potoczył się szybko w dół po pochyłości kopca; gdzieś zapalał się suchy krzew z głośnym, zajadłym hukiem. Pożar oczyścił naokoło teren dla strzałów małej bandy, po czym wygasł, tłąc się na skraju lasu i wzdłuż błotnistego wybrzeża zatoki. Pas dzungli, krzewiącej się bujnie w wilgotnym zagłębieniu między kopcem a ostrokołem radży, zatrzymał ogień z tej strony wśród głośnego trzasku i huku pękających pni bambusowych. Niebo było ciemne, aksamitne i roilo się od gwiazd. Poczerniała ziemia dymiła spokojnie pełznącymi nisko kosmykami, aż wreszcie powiał lekki wiatr i zdmuchnął wszystko.

Brown spodziewał się ataku, z chwilą gdy się przyplływ wzmoże i umożliwi wejście do zatoczki łodziom wojennym, które odcięły mu odwrót. W każdym razie był pewien, że spróbują zabrać jego wielką łódź, która leżała pod kopcem, rysując się ciemną, wysoką bryłą na nikłym połysku mokrego trzęsawiska. Ale łódki na rzece nie poruszały się wcale. Za ostrokołem i zabudowaniami radży Brown widział ich światła na wodzie. Zdawało mu się, że są zakotwiczone w poprzek łożyska. Inne światła poruszały się na rzece, przecinając ją od brzegu do brzegu. W długich ścianach domostw błyszczały także nieruchome światełka w górze rzeki aż do zakrętu i dalej jeszcze liczniejsze; w głębi lądu migotały inne, samotnie. Gdzie tylko sięgnął wzrok Browna, łuna wielkich ognisk oświetlała budynki, dachy, czarne pale. Była to olbrzymia osada. Czternastu zdecydowanych na wszystko napastników leżało na płask za ściętymi drzewami, zadzierając brody, aby spoglądać na ruch w tej osadzie, która, rzekłbyś, ciągnęła się w górę rzeki całymi milami i roiała

się od tysięcy gniewnych ludzi. Nikt z bandy nie odzywał się ani słowem. Od czasu do czasu słyszeli głośny krzyk lub też pojedynczy strzał gdzieś bardzo daleko. Lecz naokoło ich pozycji panował spokój, mrok, cisza. Zdawało się, że o nich zapomniano, jakby podniecenie, trzymające całą ludność na nogach, nie miało z nimi nic wspólnego, jakby już byli nieżywi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Wszystkie wypadki tej nocy mają wielką wagę, ponieważ wytworzyły sytuację, która się nie zmieniła aż do powrotu Jima. Jim bawił w głębi lądu przeszło tydzień i pierwsze zarządzenia obronne zostały wydane przez Daina Warisa. Ten odważny i inteligentny młodzieniec („który umiał walczyć tak jak biali”) chciał zlikwidować natychmiast najście rabusiów, ale trudno mu było dać sobie radę ze swymi rodakami. Nie miał rasowej wyższości Jima; nie słyszał z niezwyciężonej, nadnaturalnej siły. Nie

był widzialnym, dotykającym wcieleniem niezawodnej prawości i niezawodnego zwycięstwa. Choć go kochano i podziwiano, choć mu wszyscy ufali, był jednak jednym z *nich*, podczas gdy Jim był jednym z *nas*. Co więcej, biały — stanowiący już sam przez się potężną siłę — nie podlegał zranieniu, gdy tymczasem Daina Warisa można było zabić. Te ukryte myśli powodowały dostojnikami, którzy postanowili zebrać się w forcie Jima dla zastanowienia się nad sytuacją, jakby się spodziewali znaleźć mądrość i odwagę w domu białego człowieka, choćby nieobecnego. Strzały napastników były na tyle pomyślne czy szczęśliwe, że dosięgły tylko sześciu ludzi spośród obrońców. Ranni leżeli na werandzie, dogładani przez swoje niewiasty; kobiety i dzieci z niższej części osady zostały wysłane do fortu za pierwszym alarmem. „Klejnot” — dziewczyna rządziła tam, bardzo dzielna i odważna; słuchali jej ślepo „właśni ludzie” Jima, którzy opuścili swą małą wioseczkę pod ostrokołem i przenieśli się do fortu, aby stanowić jego załogę. Uciekinierzy tłoczyli się

naokoło dziewczyny, która przez cały ten czas, aż do końcowej katastrofy, wykazała niezwykle zapał wojenny. Dain Waris zwrócił się do niej od razu, przy pierwszej wieści o niebezpieczeństwie, gdyż trzeba wiedzieć, że Jim był w Patusanie jedynym człowiekiem posiadającym zapas prochu. Stein, z którym utrzymywał zażyłe listowne stosunki, wyjednał u holenderskiego rządu specjalne pozwolenie na wywóz pięciuset baryłek prochu do Patusanu. Prochownia znajdowała się w niewielkiej chatce z nieobrobionych kłód, pokrytej całkowicie ziemią, a klucz od niej w razie nieobecności Jima był zawsze u dziewczyny.

Podczas obrad, ciągnących się do jedenastej wieczór w jadalni Jima, dziewczyna oparła Daina, który chciał rozpocząć natychmiast energiczną akcję. Opowiadano mi, że oparła się o puste krzesło Jima, stojące na pierwszym miejscu przy długim stole, i wygłosiła namiętną mowę wojenną, co wywołało pochlebny szmer wśród zgromadzonej starszyny. Doramina — który przeszło rok nie ukazywał się poza bra-

mą swego ostrokołu — przyniesiono z wielkim trudem. Był oczywiście pierwszym mężem w tym zgromadzeniu. Nastrój obrad odznaczał się wojowniczą zaciekłością i słowo wypowiedziane przez starego wodza byłoby rozstrzygające; w moim przekonaniu, Doramin nie śmiał wymówić tego słowa, zdając sobie dokładnie sprawę z niepohamowanej odwagi swego syna. Przeważyło zdanie, aby trwać w postawie wyczekującej. Niejaki Hadzi Saman dowodził w bardzo długiej przemowie, że „tych dzikich tyranów czeka niechybna śmierć w każdym razie. Albo będą się trzymali kopca i umrą z głodu, albo spróbują dotrzeć do swej łódki i zostaną zabici z zasadzek po drugiej stronie zatoczki — a jeśli się przedrą i uciekną do lasu, wyginą tam pojedynczo”. Hadzi Saman dowodził dalej, że przez użycie odpowiednich wojennych podstępów będzie można wytępić tych złych cudzoziemców bez narażania się na bitwę, a słowa jego zyskały wielki posłuch, szczególnie u mieszkańców samej osady, których zabiła

z tropu bierność łódek Tunku Allanga w chwili decydującej.

W czasie obrad przedstawicielem rady był Kassim, biegły w dyplomacji. Mówił bardzo mało, słuchał z uśmiechem, bardzo uprzejmy i nieprzenikniony. Podczas posiedzenia prawie co kilka minut przybywali gońcy z raportem o poczynaniach najeźdźców. Krążyły bezsensowne i przesadzone pogłoski: przy ujściu rzeki znajdował się jakoby ogromny okręt z wielkimi armatami i liczną załogą składającą się z białych, a także i czarnoskórych o bardzo krwiozerczym wyglądzie. Opowiadano, że płyną już rzeką na licznych łodziach, aby wytępić wszystko, co żyje. Poczucie bliskiego, tajemniczego niebezpieczeństwa przejmowało pospólstwo. W pewnej chwili powstała panika wśród kobiet na dziedzińcu; obradujący usłyszeli krzyki, bieganie, płacz dzieci; Hadzi Saman wyszedł, aby zaprowadzić spokój. Innym znów razem placówka wartująca przy forcie strzeliła do czegoś, co płynęło rzeką, i omal nie zabiła wieśniaka, który wioził w czółnie swoje kobiety, najlepsze z do-

mowych sprzętów i dwanaście sztuk drobiu. To zajęcie powiększyło jeszcze zamęt. Tymczasem narady ciągnęły się w domu Jima, a dziewczyna im się przysłuchiwała. Ocieężały Doramin o dzikim obliczu siedział, spoglądając kolejno na mówców i dysząc powoli jak byk. Zabrał głos dopiero na ostatku, gdy Kassim oświadczył, że łódki radży zostaną odwołane, gdyż potrzebni mu są ludzie, aby bronić ostrokołu władcy. Dain Waris nie chciał wyjawić swego zdania w obecności ojca, choć dziewczyna zaklinała go na imię Jima, żeby się wypowiedział. Pragnęła tak bardzo, aby wyparto od razu intruzów, iż chciała dać Dainowi ludzi Jima. Ale Dain potrząsnął tylko głową, spojrzawszy parę razy na Doramina.

Narady dobiegły wreszcie końca; postanowiono obsadzić silnie domy położone najbliższej zatoki dla strzeżenia nieprzyjacielskiej łodzi, ale ruszać jej nie zamierzano, aby mogła służyć do ucieczki rozbójnikom, a wtedy otworzy się na nich ogień i bez wątpienia większość polegnie. Chcąc odciąć niedobitkom ucieczkę i nie

dopuścić do Patusanu rabusiów pozostałych na morzu, Doramin rozkazał Dainowi Warisowi udać się ze zbrojnym oddziałem Bugisów w dół rzeki — do miejsca położonego dziesięć mil od Patusanu — rozłożyć się tam zbrojnym obozem na wybrzeżu i zablokować rzekę czółnami. Jestem zupełnie pewien, że Doramin nie obawiał się wcale przybycia nowych sił napastniczych. Jestem pewien, że jego postępowanie miało jeden jedyny cel: osłonić syna przed niebezpieczeństwem.

Aby uniemożliwić napad na osadę, miano rozpocząć o świcie budowę ostrokołu na lewym brzegu, u końca ulicy. Stary *nakhoda* oświadczył, że zamierza objąć tam osobiście dowództwo. Rozdzielono natychmiast między ludzi proch, kule i zapalniki według wskazówek „Klejnotu”. Zapadło postanowienie, że się wyśle po Jima kilku gońców w różnych kierunkach, bo nie wiedziano dokładnie, gdzie go szukać. Ludzie ci wyruszyli o świcie, lecz Kassim zdołał już przedtem nawiązać kontakt z obleżonym Brownem.

Ów znakomity dyplomata i zausznik radzy, opuszczając fort, aby się udać do swego pana, zabrał do łódki Corneliusa, którego napotkał snującego się chyłkiem, milczkiem wśród ludzi na dziedzińcu. Kassim miał swój własny plan i potrzebował Corneliusa na tłumacza. I oto stało się, że Brown, rozpamiętujący nad ranem swe rozpaczliwe położenie, usłyszał głos od strony gąszczu w bagnistej dolince; ten głos, przyjazny, drżący, wyteżony, krzyczał — po angielsku — domagając się dostępu na kopiec z bardzo ważnym zleceniem, pod słowem, że nic złego gońca nie spotka. Brown był uszczęśliwiony. Jeśli się do niego zwracano, przestawał być dzikim zwierzem, na którego się poluje. Te przyjazne słowa zdjęły od razu brzemie straszliwie napiętej czujności z ludzi Browna, którzy byli w położeniu ślepców, nie wiedzących, skąd śmiertelny cios ich dosięgnie. Brown udał, iż się odnosi bardzo niechętnie do propozycji. Głos oznajmił, że to „mówi biały, biedny, zrujnowany starzec, który tu mieszka od

lat”. Mgła mokra i chłodna leżała na stokach wzgórza. Zamienili z sobą jeszcze kilka zdań, krzyżąc donośnie, po czym Brown zawołał:

— Więc niech pan przyjdzie, ale tylko sam jeden, słyszy pan! — W gruncie rzeczy — opowiadał mi, skręcając się z wściekłości na wspomnienie swej niemocy — to nie miało żadnego znaczenia. Można było coś dostrzec tylko na odległość paru jardów i żadna zdrada nie pogorszyłaby ich położenia. Wkrótce ukazał im się we mgle Cornelius, bosy, odziany w swój codzienny strój: podartą białą koszulę, spodnie i korkowy kask o połamanym rondzie; sunął bokiem w górę ku zasiekom, przy czym wahał się i zatrzymywał, aby nasłuchiwać w czujnej postawie.

— Niech pan się zbliży! Nic się panu nie stanie — wrzasnął Brown, a jego ludzie gapili się na Corneliusa.

Wszystkie ich nadzieje ześrodkowały się nagle na tym obszarpanym, nędznym przybyszu, który w głębokim milczeniu przelazł niezgrabnie przez ścięte drzewo i spoglądał, trzęsąc się,

z miną markotną i podejrzliwą na grupkę brodatych, zgryzionych, niewyspanych zabijaków.

Pół godziny poufnej rozmowy z Corneliussem otworzyło oczy Brownowi na wewnętrzne stosunki w Patusanie. Ciekawość jego została natychmiast pobudzona. Były tu możliwości, olbrzymie możliwości; ale zażądał, aby przed rozpoczęciem rozmów na temat poruszony przez Corneliusa przysłano mu trochę żywności w dowód zaufania. Metys odszedł, pełnąc niemrawo po stoku zwróconym do rezydencji radży, a po pewnym czasie kilku ludzi Tunku Allanga zjawilo się na górze ze skąpym zapasem ryżu, przypraw korzennych i suszonych ryb. Ale o wiele lepiej było dostać mało niż nic. Potem Cornelius powrócił w towarzystwie Kassima, który stąpał z miną pełną pogodnej ufności, obuty w sandały i zawinięty od stóp do głów w granatową tkaninę. Podał rękę Brownowi dyskretnym ruchem i wszyscy trzej odeszli na bok, aby się naradzić. Ludzie Browna odzyskiwali pewność siebie, grzmocili się nawzajem po plecach i rzucali porozumie-

wawcze spojrzenia na swego kapitana, zabierając się do gotowania posiłku.

Kassim nie cierpiał Doramina i jego Bugisów, ale jeszcze bardziej nienawidził nowego porządku rzeczy. Przyszło mu na myśl, że ci biali, razem z poplecznikami radży, mogliby napaść i rozgromić Bugisów przed powrotem Jima. Potem — rozumował — nastąpiłoby odstępstwo wszystkich prawie mieszkańców osady i skończyłyby się rządy białego, który brał biednych ludzi w opiekę. Z kolei można by było się zabrać do nowych sprzymierzeńców. Nie zdobędą sobie przyjaciół. Kassim umiał doskonale poznać się na różnicy charakterów i widywał ongi dość wielu białych ludzi, więc też zdawał sobie sprawę, że ci nowo przybyli są wyrzutkami społeczeństwa, ludźmi bez ojczyzny. Brown wciąż zachowywał postawę surową i nieprzeniknioną. Kiedy usłyszał po raz pierwszy głos Corneliusa domagający się przyjęcia, błysnęła mu po prostu nadzieja, że otworzy się jakaś szpara, przez którą będzie mógł się przecisnąć i uciec. W niespełna godzinę później wrza-

ło mu w głowie od innych już myśli. Nagłony koniecznością, przybył tu, aby ukraść zapas żywności, kilka ton kauczuku albo gumy, może garść dolarów — i uwikłał się w śmiertelne niebezpieczeństwa. A teraz, na skutek propozycji Kassima, zaczął myśleć o ukradzeniu całego kraju. Jakiś, psiakrew, drab dokonał już widać czegoś podobnego — i to samopas w dodatku. Na pewno nie zdołał dokładnie tego przeprowadzić. Może dałoby się z nim razem pracować, wycisnąć wszystko, co będzie można, a potem wynieść się po cichu. Podczas układów z Kassimem Brown zdał sobie sprawę, iż krajowcy są przekonani, że on, Brown, zostawił przy ujściu rzeki wielki statek pełen ludzi. Kassim prosił go usilnie, aby sprowadził bezzwłocznie ten wielki okręt z wielu armatami i liczną załogą — i oddał go na usługi radży. Brown oświadczył, że zrobi to chętnie, i na tej podstawie układy ciągnęły się ze wzajemną podejrzliwością. Trzy razy w ciągu ranka ugrzeczniony i ruchliwy Kassim schodził do ostrokołu, po czym wracał zaaferowany,

stawiając wielkie kroki. Podczas tych targów Brown czuł posępną radość na myśl o swym nędznym szkunerze, który uchodził za uzbrojony okręt, a miał tylko kupę śmieci za cały ładunek, na pokładzie zaś — zamiast licznej załogi — Chińczyka i kuternogę, nadbrzeżnego łazika z Lewuki. Po południu Brown uzyskał nową porcję żywności, obietnicę pieniędzy i zapas mat na szalasy. Ludzie jego położyli się i chrapali, zasłonięci przed palącym żarem, a on sam siedział w pełnym słońcu na jednym ze ściętych drzew, pasąc oczy widokiem osady i rzeki. Dużo tam było łupu. Cornelius, który czuł się już w obozie Browna jak u siebie, rozprawiał u jego boku, wskazywał mu poszczególne części osady, udzielał rad i opisywał po swojemu Jima oraz wypadki ostatnich trzech lat. Brown patrzył w dal z pozorną obojętnością, lecz słuchał uważnie każdego słowa, nie mogąc zdać sobie sprawy, jakiego rodzaju człowiekiem jest ten Jim.

— Jak on się nazywa? Jim! Jim! To nie jest żadne nazwisko.

— Nazywają go tutaj — rzekł Cornelius z pogardą — tuanem Jimem. To jakby się mówiło: lord Jim.

— Czym on jest? Skąd on pochodzi? — wypytywał Brown. — Co to za rodzaj człowieka? Czy to Anglik?

— Tak, tak, to Anglik. Ja jestem także Anglikiem. Z Malakki. To dureń. Pozostaje panu tylko go zabić, a wtedy będzie pan królem. Wszystko tu do niego należy — wyjaśniał Cornelius.

— Coś mi się zdaje, że będzie musiał wkrótce z kimś się podzielić — rzekł Brown półgłosem.

— Nie, nie. Jedyna rada to zabić go przy pierwszej sposobności, a wtedy zrobi pan, co się panu spodoba — nalegał gorliwie Cornelius. — Mieszkam tu od wielu lat i radzę panu jak przyjaciel.

Ludzie Browna wypoczywali, a on sam spędził większą część popołudnia na gawędzie i rozkoszował się widokiem Patusanu, który — jak postanowił — miał się stać jego zdobyczą. Te-

goż dnia flota Daina Warisa, złożona z czólen, przekradła się pojedynczo wzdłuż brzegu jak najdalej od zatoczki i wyruszyła w dół rzeki, aby odciąć Brownowi odwrót. Brown nic o tym nie wiedział, a Kassim, który wspiał się na kopiec dwie godziny przed zachodem, ani myślał go o tym powiadomić. Chciał, aby statek białego ruszył w górę rzeki, i obawiał się, że ta wiadomość będzie zniechęcająca. Naglił Browna o wysłanie „rozkazu”, proponując mu jednocześnie zaufanego gońca, który (dla utrzymania całej sprawy w tajemnicy, jak wyjaśnił) uda się lądem do ujścia rzeki i zanieśnie „rozkaz” na statek. Zastanowiwszy się nieco, Brown uznał za wskazane wydrzeć kartkę z notesu i napisać na niej po prostu: „Idzie nam dobrze. Gruby interes. Zatrzymajcie tego człowieka”. Tępy młodzian, wybrany przez Kassima na posłańca, wykonał wiernie zlecenie, a w nagrodę został wrzucony głową na dół do pustego wnętrza statku przez byłego włóczęgę i Chińczyka, którzy następnie pospieszyli zamknąć luki. Brown nie opowiedział mi, co się z nim później stało.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Chcąc zyskać na czasie, Brown udawał, że bierze poważnie dyplomatyczne zabiegi Kassima. Nie mógł się powstrzymać od myśli, iż aby istotnie czegoś dopiąć, należy związać się z białym. Nie wyobrażał sobie, żeby ten człowiek, który w gruncie rzeczy musi być piekielnie sprytny, jeśli zdołał tak krajowców ujeździć, żeby taki człowiek odrzucił pomoc, która by położyła koniec przewlekłym, ostrożnym, ryzykownym matactwom, narzucającym się jako jedyne sposoby postępowania człowiekowi idącemu samopas. On, Brown, wsparłby go skutecznie. Nie odrzuca się takiej propozycji. Wszystko polegało na dojściu do porozumienia. Będą się naturalnie dzielili. Podniecała Browna myśl o forcie, o prawdziwym forcie z artylerią (wiedział o nim od Corneliusa), który był tam gotów, pod ręką. Byle tylko do niego się dostać, a wówczas... Postawi skromne warunki. Jednak nie zanadto niskie. Zdaje się, że ten człowiek głupi nie jest. Będą pracowali jak bracia, póki... pó-

ki nie przyjdzie czas na kłótnię i strzał, który załatwi wszystkie porachunki. Ogarnięty dziką żądzą grabieży, Brown nie mógł się doczekać rozmowy z tym człowiekiem. Zdawało mu się, że kraj jest już w jego władzy, że może go rozszarpać, wycisnąć i odrzucić precz. Tymczasem trzeba tumanić Kassima nie tylko ze względu na żywność, ale i po to, żeby sobie zostawić jeszcze jedno wyjście. Lecz główną rzeczą było uzyskanie żywności z dnia na dzień. Poza tym Brown nie odrzucał wcale myśli o walce na rzecz radży, o udzieleniu nauczki tym ludziom, którzy przyjęli go strzałami. Owładnęła nim dzika żądza walki.

Żałuję, że nie umiem panu zacytować słów, jakimi Brown mi to wszystko opisywał, bo naturalnie dowiedziałem się o tym głównie od Browna. W urywanych, gwałtownych zdaniach tego człowieka, który odsłaniał mi swe myśli, w chwili gdy ręka śmierci zaciskała mu się na gardle, było otwarte, bezwzględne dążenie do celu, dziwna, mściwa postawa w stosunku do własnej przeszłości i ślepa wiara w słuszność

swoich zamierzeń, zwracających się przeciwko wszystkim ludziom; coś w rodzaju uczucia, które skłoniło wodza hordy wędrownych zbójów do mianowania siebie z pychą Biczem Bożym³¹. Nie ulega wątpliwości, że wrodzona, bezmyślna dzikość, która jest podłożem takich charakterów, była w tym wypadku rozjątrzona przez szereg niepowodzeń, a ostatecznie głód, niewygody i rozpaczliwą sytuację, w jakiej się Brown znalazł; ale co najciekawsze, Brown, który obmyślał zdradliwe przymierza, przesądzał już w myśli los białego i wchodził w konszachty z Kassimem, traktując go wyniośle i niedbale; jednocześnie pragnął przede wszystkim (zdradzał się z tym mimo woli), prawie wbrew samemu sobie, splądrować to osiedle wśród dżungli, które mu rzuciło wyzwanie, i ujrzeć je w płomieniach, zasłane trupami. Słuchając bezlitosnego, dyszącego głosu Browna, wyobrażałem sobie, jak spoglądał z kopca na osadę, zapelnia-

³¹*Bicz Boży* — przydomek, jaki Rzymianie nadali wodzowi Hunów Attyli (zm. 453), twórcy imperium, najgroźniejszemu z przeciwników cesarstwa rzymskiego swojej epoki. [przypis edytorski]

jąc ją obrazami mordów i łupiestw. Część położona najbliżej zatoczki wyglądała na opustoszałą, choć w gruncie rzeczy każdy dom ukrywał kilku zbrojnych ludzi, trzymających się w pogotowiu. Nagle za przestrzenią nieuprawnych gruntów, usianych niewielkimi plamami niskiego, zwartego gąszczu, rowami i stosami śmieci, wśród których snuły się wydeptane ścieżki, samotny człowiek, bardzo drobny z tej odległości, wyszedł powoli na opustoszały wylot ulicy, między zamknięte, ciemne, zamarłe budynki. Był to może ktoś tutejszy, kto przedostał się na drugi brzeg rzeki, a teraz wrócił po jakiś domowy sprzęt. Uważał się widać za zupełnie bezpiecznego w tej odległości od kopca, po drugiej stronie zatoczki. Tuż przy zakręcie ulicy, za lekkim ostrokołem zbudowanym naprędce, pełno było jego przyjaciół. Szedł z wolna naprzód. Brown go zobaczył i wezwał natychmiast Jankesa dezertera, który odgrywał rolę jak gdyby adiutanta. Chudy, wysoki drab o elastycznych ruchach i twarzy bez wyrazu zbliżył się, ciągnąc za sobą leniwie strzelbę. Kiedy

usłyszał, o co chodzi, pokazał zęby w krwiozerczym, zarozumiałym uśmiechu, który wyłobił dwie głębokie, podłużne bruzdy w bladych, jakby skórzanych policzkach. Pysznił się zawsze celnością swych strzałów. Przyklęknął na jedno kolano, oparł strzelbę na ściętym pniu, wycelował do tego człowieka poprzez gałęzie, strzelił i wstał natychmiast, aby zobaczyć, co się stało. Krajowiec w oddali obejrzał się na odgłos wystrzału, uczynił krok naprzód jakby z wahaniem i zwałił się nagle na ręce i kolana. W ciszy, która zapadła po ostrym huku strzelby, niezawodny strzelec, utkwivszy oczy w swej zdobyczy, uświadomił sobie, że „zdrowie tego tchórza nie sprawi już nigdy niepokoju jego przyjaciółom”. Widać było, jak ręce i nogi rannego poruszają się szybko, co robiło wrażenie, że usiłuje biec na czworakach. W pustej przestrzeni rozległ się zbiorowy okrzyk zdumienia i grozy. Ranny człowiek opadł twarzą do ziemi i znieruchomiał.

— Pokazało im to, do czego jesteśmy zdolni — rzekł do mnie Brown. — Padł na nich

strach przed niespodziewaną śmiercią. Tegośmy właśnie chcieli. Było ich dwustu na jednego z nas; dałem im temat do rozmyślań w ciągu nocy. Żaden z nich nie miał dotąd pojęcia, że strzał może sięgnąć tak daleko. Tamten łajdak od radzy podyrdał na dół, a oczy wyłaziły mu z głowy. — Mówiąc to, Brown usiłował otrzeć trzęsącą się ręką odrobinę piany z posiniałych ust. — Dwustu na jednego... napędziłem im strachu... strachu... i jakiego jeszcze, mówię panu... — I jemu także oczy wyszły na wierzch. Opadł w tył, jakby drapiąc powietrze kościstymi palcami, dźwignął się z powrotem, zgięty i włochaty, i wpatrzył się we mnie z ukosa niby wilkołak z podań ludowych, dysząc z otwartymi ustami w okropnej męce, zanim odzyskał mowę po tym ataku. Są widoki, których się nigdy nie zapomina.

Potem aby przyciągnąć nieprzyjacielski ogień i przekonać się, gdzie są rozmieszczone oddziały, kryjące się prawdopodobnie w zaroślach wzdłuż zatoczki, Brown rozkazał dzikiemu z Wysp Salomona, aby zeszedł w dół do łodzi i przyniósł

wiosło — tak jak się każe skakać wyżłowi po kij do wody. Podstęp się nie udał; wyspiarz wrócił, nie strzelono do niego ani razu.

— Nie ma tam nikogo — twierdzili niektórzy z ludzi Browna.

— To nie jest naturalne — zauważył Jan-kes.

Kassima już wówczas nie było; odszedł, wstrząśnięty zabójstwem, a jednocześnie zadowolony i trochę niespokojny. Trzymając się w dalszym ciągu krętej polityki, wysłał gońca do Daina Warisa, przestrzegając go, aby wypatrywał okrętu białych, który to okręt — według odebranej wiadomości — miał ruszyć w górę rzeki. Pomniejszał wielkość statku i wzywał Daina, aby zapobiegł jego przejazdowi. Ta dwulicowość sprzyjała zamiarom Kassima, który chciał utrzymać rozdział sił bugiskich i osłabić je przez walkę. Z drugiej zaś strony, wysłał w ciągu dnia parę słów do starszyny bugiskiej zebranej w mieście, zapewniając, że usiłuje nakłonić napastników do odwrotu; jego gońcy zaś, słani do fortu, domagali się usilnie prochu dla ludzi ra-

dży. Już od niepamiętnych czasów Tunku Allang nie miał naboju do dwudziestu mniej więcej starych muszkietów, które rdzewiały w stojaku na sali przyjęć. Jawne stosunki, nawiązane między wzgórzem a pałacem, wytrąciły wszystkich z równowagi. Zaczęto mówić, że przyszedł już czas, aby zająć jakieś stanowisko. Wkrótce krew się poleje obficie i wielkie troski wynikną stąd dla wielu ludzi. Zdawało się owego wieczoru, że to życie społeczne, uregulowane i spokojne, w którym każdy człowiek był pewien swego jutra — że ten gmach wzniesiony rękami Jima gotów rozpaść się każdej chwili w ociekające krwią gruzy. Biedniejsza ludność zaczynała już się wymykać do lasu lub uciekać w górę rzeki. Wielu dostojników uznało za potrzebne udać się do radzy i złożyć mu swą czołobitność. Młodszy spośród dworzan potrącali ich brutalnie. Stary Tunku Allang, prawie oszalały ze strachu i niezdecydowania, zachowywał zgryźliwe milczenie albo besztął gwałtownie dostojników za to, że ośmielają się pokazywać z pustymi rękami; odchodzili w wiel-

kiej trwodze. Tylko stary Doramin skupiał koło siebie rodaków i trzymał się nieugięcie swej metody postępowania. Siedząc majestatycznie na wielkim krześle za wzniesionym naprędcie ostrokołem, wydawał rozkazy dudniącym, nieco ochryplym basem, niewzruszony wśród obiegujących pogłosek jak człowiek głuchy.

Zapadał zmierzch; skrył najpierw zwłoki zabitego, które leżały z rozpostartymi ramionami, jakby przygwożdżone do ziemi; potem obracające się sklepienie nocy przetoczyło się gładko nad Patusan i znieruchomiało, sypiąc na ziemię migot niezliczonych światów. W zagrożonej części miasta wielkie ogniska rozbłysły znowu wzdłuż jedynej ulicy; w ich blasku rysowały się gdzieś spadziste, proste linie dachów, niewyraźne fragmenty plecionych ścian, niekiedy cała chata wzniesiona na czarnych, pionowych pręgach wysokich pali; a cały ten szereg budynków, oświetlony miejscami przez chwiejne płomienie, zdawał się sunąć kręto wśród pełgającego blasku w górę rzeki, zanurzać się w mrok, w samo serce lądu. Wiel-

ka cisza, wśród której łuny szeregu ognisk igrały bezgłośnie, rozpościerała się w mroku aż do stóp pagórka; lecz drugi brzeg, cały ciemny poza samotnym ogniskiem palącym się na wprost fortu nad rzeką, słał w powietrze potężniejące wciąż drganie, które brzmiało jak kroki stępującego tłumu, gwar licznych głosów lub niezmiernie daleki szum wodospadu.

Brown wyznał mi, że właśnie w owej chwili, gdy siedział zwrócony tyłem do swej bandy, patrząc na to wszystko, że właśnie wówczas — wbrew swej pogardzie dla ludzi i bezwzględnej wierze w samego siebie — doznał uczucia, iż w końcu uderzył głową o mur z kamienia. Gdyby jego łódź leżała wówczas na wodzie, byłby się pewno starał wymknąć cichaczem, ryzykując długi pościg po rzece i śmierć głodową na morzu. Bardzo jest wątpliwe, czyby mu się udało uciec. Jednak nie zdecydował się na to. Potem błysnęła mu myśl, aby zdobyć szturmem miasto, ale rozumiał bardzo dobrze, że jego oddział znalazłby się w końcu na oświetlonej ulicy, gdzie by ich wybito

jak psy co do nogi, strzelając z domostw. Tych krajowców było przecież dwustu na jednego, rozmyślał; a tymczasem jego ludzie, stłoczeni naokoło dwóch stosów tłącego się żaru, jedli resztę bananów i piekli trochę jadalnych korzeni, które zawdzięczali dyplomacji Kassima. Cornelius siedział wśród u nich, podrzemując markotnie.

Jeden z białych przypomniał sobie nagle, że zostawili w łodzi trochę tytoniu; zachęcony bezkarnością wyspiarza, oświadczył, iż zejdzie po ten tytoń. Na to wszyscy otrząsnęli się z przygnębienia. Zapytano o pozwolenie Browna, który rzekł pogardliwie.

— Idź na złamanie karku.

Nie sądził, aby zejście do zatoki po ciemku było niebezpieczne. Marynarz przerzucił nogę przez pień i zniknął. Po chwili usłyszeli, że się wdrapuje do łodzi i że z niej wyłazi.

— Mam go! — krzyknął. Wtem u stóp kopca błysnął i huknął strzał. — Jestem ranny! — wrzasnął marynarz. — Słyszycie, słyszycie, jestem ranny!

W mig wypaliły wszystkie strzelby. Wzgórze tryskało ogniem i hukiem jak mały wulkan, a gdy Brown z Jankesem wstrzymali paniczną strzelaninę za pomocą przekleństw i szturchańców, od zatoki przy płynął głęboki, zbolący jęk, a potem skarga, której rozdzierający smutek był jak trucizna mroząca krew w żyłach. Nagle gdzieś z drugiej strony zatoki rozległ się silny głos, który wyrzekł kilka słów wyraźnych i niezrozumiałych.

— Nie strzelać! — krzyknął Brown. — Co to znaczy?

— Czy słyszycie, wy tam na wzgórzu? Czy słyszycie? Czy słyszycie? — powtórzył głos po trzykroć.

Cornelius przetłumaczył to i naglił do odpowiedzi.

— Mów — krzyknął Brown — słuchamy.

Wówczas głos, przemawiając dźwięcznym, donośnym tonem herolda i krążąc wciąż po skraju mającego ugoru, oświadczył, że między mężami bugiskiego ludu zamieszkującego Patusan a białymi ludźmi na wzgórzu i ich sprzy-

mierzeńcami nie ma zaufania ani współczucia, ani porozumienia, ani pokoju. Zaszleścił krzak; rozległa się salwa na chybił trafił.

— Brednie, psiakrew — mruknął ze złością Jankes, opuszczając kolbę na ziemię. Cornelius tłumaczył.

— Zabierzcie mnie! Zabierzcie mnie! — krzyknął ranny pod wzgórkim, skarżąc się i jęcząc. Póki schodził po szerniałej ziemi kopca, a potem przykucnął w łodzi, był mniej więcej bezpieczny. Prawdopodobnie stracił głowę z radości, znalazłszy tytoń, i wyskoczył z drugiej strony łodzi. Zarysował się wówczas wyraźnie na tle białej burty sterczącej wysoko; zatoczka miała w tym miejscu najwyżej siedem jardów szerokości i zdarzyło się, że po drugiej stronie ukrywał się w gąszczu człowiek.

Był to Bugis z Tondano przybyły niedawno do Patusanu, krewny człowieka zastrzelonego po południu. Sławetny długi strzał Jankesa istotnie wszystkich przeraził. Człowiek został ugodzony wśród zupełnego bezpieczeństwa, w oczach swych przyjaciół, i padł z żartem na ustach. Je-

go ziomkowie uznali to za czyn okrutny; ogar-
nęła ich gorycz i wściekłość. Krewny zabite-
go, Si-Lapa, znajdował się wówczas wewnątrz
ostrokołu przy Doraminie, oddalony od miej-
sca wypadku zaledwie o kilka stóp. Zgodzi się
pan ze mną, znając tych ludzi, że Si-Lapa oka-
zał wyjątkową odwagę, ofiarowując się na po-
sła, gdyż musiał wykonać zlecenie sam, wśród
ciemności. Pełznąąc po otwartej przestrzeni, zbo-
czył na lewo i znalazł się naprzeciw łódki. Za-
skoczyły go krzyki bandy Brownowskiej. Usiadł,
przyłożył strzelbę do ramienia, a gdy biały wy-
skoczył z łodzi, wystawiając się na strzał, Si-
-Lapa pociągnął za kurek; ulokował trzy pona-
cinane loftki³² w żołądku nieprzyjaciela i padł
natychmiast na twarz, jak przystało na trupa.
Drobny grad ołowiu zaszeleścił, siekąc krza-
ki na prawo tuż koło niego. Zaraz potem Si-
-Lapa wygłosił donośnie swą przemowę, zgięty
wpół, klucząc wśród gąszczu. Z ostatnim sło-
wem uskoczył w bok, leżał nieruchomo przez
chwilę i wreszcie dotarł zdrów i cały do czę-

³²*loftka* — gruby śrut do broni gładkolufowej. [przypis edytorski]

stokołu, zdobywszy owej nocy sławę, która nie przebrzmi, ponieważ dzieci jego nie pozwolą, aby przebrzmiała.

A tymczasem nieszczęsna banda na kopcu siedziała ze zwieszonymi głowami naokoło dwóch małych kup żaru, którym pozwoliła wygasnąć. Wszyscy zacisnęli usta w zgnębieniu, spuścili oczy i przysłuchiwali się towarzyszowi tam w dole. Był to silny chłop i borykał się ciężko ze śmiercią; jego jęki rozlegały się głośno lub przechodziły w dziwny, pofufny szept bólu. Krzyczał od czasu do czasu, to znów po dłuższej chwili milczenia mamrotał nieprzytomnie długą i niezrozumiałą skargę. Nie było temu końca.

— I po co? — rzekł Brown niewzruszenie, gdy Jankes, klnąc po cichu, gotował się do zejścia.

— Racja — przyznał dezertor, odstępując niechętnie od swego zamiaru. — Pocieszanie rannych jest tu nie na miejscu. Tylko że, panie kapitanie, jego krzyki mogą sprawić, że wszy-

scy inni będą za dużo myśleli o tym, co może nastąpić.

— Wody! — krzyknął ranny niezwykle wyraźnym, silnym głosem i jęcząc cicho, stracił przytomność.

— Aha, wody. Woda to mu da radę — mruknął pod nosem Jankes z rezygnacją. — Wkrótce będzie jej miał do syta. Przyptyw się zbliża.

Wreszcie przyptyw uciszył skargi i krzyki bólu, a świt był już za pasem, gdy Brown, siedząc z brodą opartą na dłoni na wprost Patusanu, jak przed niedostępnym zboczem góry, usłyszał krótki, dźwięczny szczęk mosiężnej sześćciofuntowej armatki gdzieś daleko w osadzie.

— Co to takiego? — zapytał Corneliusa, który się snuł w pobliżu.

Cornelius nasłuchiwał. Zgłuszony, lecz potężny okrzyk potoczył się rzeką na miasto; wielki bęben zaczął dudnić, inne mu odpowiedziały monotonną wibracją. Drobne, rozproszone światełka jęły migotać w mrocznej połowie osadzie.

dy, a część oświetlona przez łuny ognisk brzęczała głębokim, przeciągłym rozgwarem.

— Wrócił — rzekł Cornelius.

— Co? Już? Czy pan jest pewien? — spytał Brown.

— Tak, tak! Jestem pewien. Niech pan posłucha, jaki tam rwetes.

— Dlaczego oni tak się drą? — ciągnął Brown.

— Z radości — zgrzytnął Cornelius — on jest bardzo wielkim człowiekiem, ale mimo to nie ma więcej oleju w głowie niż dziecko; wyprawiają wielki harmider, żeby mu się przypodobać, bo ich nie stać na nic innego.

— Słuchaj no pan — rzekł Brown — jak się dostać do niego?

— Przyjdzie się z panem rozmówić — oświadczył Cornelius.

— Co też pan mówi? Przyjdzie tu, niby tak, spacerkiem?

Cornelius skinął energicznie głową w ciemności.

— Tak. Przyjdzie wprost tutaj i będzie z panem mówił. On jest zupełnie jak niespełna rozumu Pan się przekona, co z niego za dureń.

Brown nie chciał temu wierzyć.

— Przekona się pan — powtórzył Cornelius. — On się nie boi niczego, niczego. Przyjdzie tu i rozkaże, żeby pan zostawił jego lud w spokoju. Wszyscy muszą zostawić jego lud w spokoju. On jest jak małe dziecko. Przyjdzie tu wprost do pana.

Niestety! ten nędzny tchórz, jak go Brown nazywał, znał dobrze Jima.

— Tak, przyjdzie z całą pewnością — ciągnął zapalczywie Cornelius — a wtedy, kapitanie, każe pan temu wysokiemu mężczyźnie z fuzją, żeby go zastrzelił. Po prostu każe go pan zabić, a wówczas tak się wszyscy przerażą, że będzie pan mógł zrobić z nimi, co się panu żywnie spodoba, dostać, co pan zapragnie, odejść, kiedy pan zechce. Cha, cha, cha! To będzie wspaniałe!... — Nieomal tańczył z niecierpliwości i zapału, a Brown, spoglądając na niego przez ramię, widział w bezlitosnym świetle

swych ludzi przemokłych od rosy, siedzących wśród zimnych popiołów i śmieci, wynędzniałych, przelękłych, okrytych łachmanami.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Ogniska na zachodnim brzegu gorzały płomieniem aż do ostatniej chwili, kiedy jasny dzień zjawił się jednym skokiem; a wówczas Brown ujrzał w grupie barwnych postaci, stojących nieruchomo wśród najbliższych domów, człowieka w białym europejskim ubraniu i korkowym hełmie.

— To on! Widzi pan, widzi pan? — zawołał podniecony Cornelius.

Wszyscy ludzie Browna zerwali się i stłoczyli za jego plecami, patrząc tępych wzrokiem. Grupa barwnych postaci o ciemnych obliczach, z białym odzianym człowiekiem pośrodku, obserwowała kopiec. Brown widział, jak się nagie ramiona podnosiły, ocieniając oczy, jak inne brunatne ramiona coś wskazywały. Co miał

począć? Rozejrzał się; lasy otaczające go ze wszystkich stron okręzały murem arenę nierównej wal-ki. Spojrzał znów na swych ludzi. Pogarda, wy-czerpanie, żądza życia, pragnienie, aby zmierzyć się jeszcze raz z losem, położyć się w innym grobie, kotłowały się w jego piersi... Brown miał wrażenie, patrząc na zarys białej posta-ci, że ten człowiek, poparty przez wszystkie si-ły kraju, ogląda jego pozycję przez lornetkę. Brown wskoczył na kłodę, wyrzucając w gó-rę ramiona dłońmi na zewnątrz. Barwna grupa zamknęła się naokoło białego i cofnęła przed nim dwa razy, nim się znowu pokazał i ru-szył naprzód samotnie. Brown stał ciągle na kłodzie, póki Jim, ukazując się i niknąc mię-dzy plamami ciernistych zarośli, nie dotarł pra-wie do samej zatoki; wówczas Brown zeskoczył i zeszedł powoli ze wzgórza, aby się z nim spo-tkać, stojąc na drugim brzegu.

Spotkali się, jak sędzę, niezbyt daleko od miejsca — może na tym samym miejscu, skąd Jim wziął rozpęd do drugiego rozpaczliwego skoku w swym życiu, skoku, dzięki któremu

znalazł się w sercu Patusanu, otoczony wiarą, miłością, zaufaniem tego ludu. Patrzyli na siebie obaj poprzez zatokę i spokojnym wzrokiem usiłowali jeden drugiego przeniknąć, zanim otworzą usta. Antagonizm ich przejawiał się zapewne w spojrzeniach; wiem, że Brown znienawidził Jima od pierwszej chwili. Wszelkie nadzieje, które mógł żywić, rozwiały się natychmiast. To nie był człowiek, jakiego spodziewał się ujrzeć. Nienawidził go za to; i stojąc przed nim w krzaskiej flanelowej koszuli o rękawach obciętych u łokcia, siwobrody, z zapadłą, poczerniałą od słońca twarzą — przeklinał w duchu młodość i pewność siebie tamtego, jego jasne spojrzenie i spokój. Ten biały dawno się tu już zagnieżdżył! Nie wyglądał na człowieka, który by był skłonny rzec się czegoś w zamian za poparcie. Miał w ręku wszystkie atuty: władzę, bezpieczeństwo, potęgę; stał po stronie przygniatającej siły! Nie był głodny ani zrozpaczony i nie wyglądał ani trochę na zalęknionego. A przy tym w samej schludności jego ubioru — od białego hełmu do płóciennych getrów i bia-

łych trzewików — tkwiło coś, co w posepnych, gniewnych oczach Browna zdawało się uosabiać wszystko, czym już w zaraniu życia pogardzał i z czego szydził.

— Kim pan jest? — spytał wreszcie Jim zwykłym swym tonem.

— Nazywam się Brown — odrzekł tamten głośno — kapitan Brown. A jak pan się nazywa?

Po chwili milczenia Jim mówił dalej spokojnie, jakby nie słyszał tego pytania:

— Co pana tutaj przywiodło?

— Pan to chce wiedzieć? — rzekł gorzko Brown. — Łatwo mi dać odpowiedź. Głód. A pana?

— Drgnął na to — rzekł Brown, opowiadając mi początek tej dziwnej rozmowy między dwoma ludźmi; przedzielało ich tylko błotniste łożysko zatoczki, choć stali na przeciwnych biegunach, jeśli chodzi o stosunek do życia i ludzkości. — Drgnął na to — ciągnął

Brown — i oblał się krwią. Znajdował³³ pewno, że jest zbyt wielki, aby odpowiadać na pytania. Oświadczyłem, że jeśli uważa mnie za martwego człowieka, z którym można sobie na wszystko pozwalać, to on sam nie jest wcale w lepszym położeniu. Jeden z moich ludzi trzyma go ciągle na celu i tylko czeka na mój znak. Nie ma co się tym gorszyć, wszak przyszedł tu z własnej woli. „Zgódźmy się na to — rzekłem — żeśmy obaj martwi ludzie i na tej podstawie rozmawiajmy jak równy z równym. Jesteśmy wszyscy równi wobec śmierci”. Przyznałem, że się znalazłem jak szczur w pułapce, ale zapędzono mnie siłą na ten kopiec i — nawet schwytany szczur może ugryźć. Odciął mi się natychmiast: „Toteż nie trzeba się zbliżać do pułapki, póki szczur jest żywy”. Odparłem, że tego rodzaju igraszki byłyby godne jego przyjaciół krajowców; sądzę jednak, iż on, człowiek biały, nie postąpiłby tak nawet ze szczurem. Przyznaję, że chciałem z nim mówić. Ale nie

³³znajdować (daw.) — przekonywać się o czymś, dochodzić do wniosku.
[przypis edytorski]

po to, aby zebrać o życie. Co się tyczy moich ludzi, są to... jacy są, tacy są, ale w każdym razie są to ludzie jak i on sam. Żądamy tylko jednego: zacząć walkę i już raz skończyć z tym wszystkim: „Do diabła ciężkiego — rzekłem, podczas gdy stał tam bez ruchu jak wryty — chyba pan nie zamierza co dzień tu z lornetką przychodzić i liczyć, ilu z nas trzyma się jeszcze na nogach. Więc dalej! Albo niech pan naprowadzi na nas swoją, psiakrew, bandę, albo niech pan nas wypuści i pozwoli nam zemrzeć z głodu na pełnym morzu. Na Boga! Pan przecież był niegdyś białym człowiekiem, mimo swej napuszonej gadaniny, że to jest pański lud i że pan z nim stanowi jedno. Czyżby tak było naprawdę? Co pan, u czorta, dostał tu za to, co pan tu znalazł tak wściekle cennego? No? A może pan nie chce, abyśmy zeszli tam do was? Jest was dwustu na jednego. A jednak pan sobie nie życzy, żebyśmy wyszli na otwarte pole. Oho! obiecuję panu, że damy wam szkołę, nim się z nami załatwicie. Pan mi zawraca głowę, że jak tchórze napadliśmy na niewin-

nych ludzi. Co mnie to obchodzi, czy są niewinni, czy nie są, kiedy ja dla głupstwa ginę z głodu? Ale tchórzem nie jestem. Niech i pan tchórzem nie będzie. Dawaj tu pan swoich ludzi, bo inaczej, klnę się na piekło, potrafimy jeszcze posłać z dymem do nieba pół tego niewinnego miasta razem z nami!”

Był straszny, opowiadając to wszystko; ten storturowany ludzki szkielet, skurczony na nędznym barłogu w marnej szopie, był straszny. Dźwignął głowę opartą o kolana, aby spojrzeć na mnie ze złośliwym tryumfem.

— Tak mu powiedziałem, wiedziałem dobrze, co mu mam powiedzieć — zaczął znów, bardzo cicho z początku, lecz podniecił się niewiarygodnie szybko i opowiadał dalej z namiętą pogardą: „Nie myślimy uciekać do lasu, żeby się włóczyć jak banda żywych szkieletów i padać jeden za drugim na żer dla mrówek, nim ostatni dech z nas wyjdzie. Ani nam się śni!” — „Nie zasługujecie na nic lepszego” — rzekł na to. „A na co *pan* zasługuje! — krzyknąłem — pan, który siedzi tu przyuczajony i gar-

dłuje o swoich, psiamać, obowiązkach i odpowiedzialności za niewinnych ludzi? A czy pan wie o mnie coś więcej niż ja o panu? Przybyłem tutaj po żywność. Słyszysz pan? Po żywność, żeby napęłnić nasze brzuchy. A co *pana* tu sprowadziło? Czego pan szukał, przybywając tutaj? Żądamy tylko jednego: niech pan da nam sposobność do walki albo niech pan nas puści z powrotem tam, skądśmy przyszli”. — „Chętnie bym się bił z wami zaraz” — powiada, szarpiąc swój mały wąsik. „A ja bym z przyjemnością pozwolił się panu zastrzelić — mówię. — Mogę równie dobrze zdechnąć tu jak gdzie indziej. Mam już swego psiego szczęścia po uszy. Ale to by było zbyt łatwe. Moi ludzie są tu razem ze mną i na Boga, nie taki ze mnie człowiek, żeby wziąć nogi za pas i zostawić ich w piekielnych opałach”. Stał, rozmyślając, i po chwili zapytał mnie, co ja takiego zrobiłem „tam”, wskazał głową w dół rzeki, że mnie tak prześladowają? „Czyśmy się tu po to spotkali, aby rozpowiadać jeden drugiemu historię swego życia? — zapytałem. — A może

by tak pan zaczął? Co? zapewniam pana, że nie mam najmniejszej ochoty słuchać. Może pan zatrzymać swoją opowieść dla siebie. Wiem, że nie jest lepsza od mojej. Żyłem i pan żył także, choć pan gada, jakby pan był jednym z tych ludzi, którzy powinni być zaopatrzeni w skrzydła, aby krążyć, nie dotykając brudnej ziemi. Tak, ziemia jest brudna. A ja skrzydeł nie mam. Jestem tutaj, ponieważ się przestraszyłem raz w życiu. Chce pan wiedzieć czego? Więzienia. Oto co mnie przeraża i może sobie pan o tym wiedzieć, jeśli się to panu może na coś przydać. Nie będę pytał, jaki to strach pana zagnał do tej parszywej dziury, gdzie jak się zdaje, znalazł pan wcale niezłe łupy. To było pańskie szczęście; a moim jest prawo błagania o łaskę, aby pan mnie prędko zastrzelił albo wyrzucił na zbity łeb na swobodę, gdzie od nikogo nie zależąc, będzie mi wolno umrzeć z głodu”.

Wycieńczone ciało Browna trzęsło się w tak gwałtownym paroksyzmie pychy i złości, iż — rzekłbyś — wypędziło to śmierć czekającą na

niego w tej chacie. Upiór jego obłąkanej miłości własnej dźwignął się z łachmanów i nędzy jak z mrocznej ohydy grobu. Niepodobna orzec, do jakiego stopnia kłamał wówczas przed Jimem, do jakiego stopnia kłamał teraz przede mną i zawsze — przed samym sobą. Pycha płata dziwaczne figle naszej pamięci; a prawda każdej namiętności szuka fałszywych pozorów, aby się wypowiedzieć. Stojąc u wrót tamtego świata w stroju żebraka, Brown spoliczkował oblicze naszego świata, plunął nań, rzucił w nie nieskończoną pogardą i buntem, które tkwiły na dnie jego złych czynów. Zwyciężył wszystkich — mężczyzn, kobiety, dzikich, misjonarzy, kupców, zbójów — i Jima, „tego błazna o czerwonej twarzy”. Nie zazdrościłem mu tryumfu *in articulo mortis*³⁴, tej prawie pośmiertnej iluzji, że podeptał cały świat. Gdy się tak chełpił przede mną podczas swej plugawej, odrażającej agonii, przypomniało mi się mimo woli, jak go brano na języki w dniach największej jego świetności. Wówczas to przez

³⁴*in articulo mortis* (łac.) — w obliczu śmierci. [przypis edytorski]

rok lub więcej widywało się dzień w dzień statek Dzentelmena Browna krążący koło wysepki udrapowanej w zieleń na tle lazuru, z ciemną plamką misyjnego domu wśród białej plaży; na wybrzeżu zaś Dzentelmen Brown roztaczał swe czary przed młodą, romantyczną pastorkową — którą Melanezja wytrąciła z równowagi — i łudził pastora nadzieją, że się nawróci. Słyszano kiedyś, jak biedny misjonarz opowiadał, iż chciałby sprowadzić „kapitana Browna na drogę lepszego życia”. „Porwać Dzentelmena Browna do nieba — wyraził się raz pewien chytrooki łazęga z wybrzeża — aby im tam w górze pokazać, jak wygląda kapitan marynarki handlowej z zachodniego Pacyfiku”. A więc to był ten sam człowiek, który uprowadził dogorywającą kobietę, a potem wylewał łzy nad jej ciałem! „Zachowywał się po prostu jak smaracz — opowiadał na prawo i lewo jego ówczesny pierwszy oficer — a niech mnie zarżeni kanacy na śmierć zatłuką, jeśli wiem, co mu przyszło z tego porwania. Moi panowie, kiedy ją przywiózł na statek, było z nią już tak kiep-

sko, że go nie poznawała; leżała tylko na wznak w jego koi i patrzyła w sufit strasznie błyszczącymi oczami, a potem umarła. Jakaś paskudna febra...”

Przypomniałem sobie te wszystkie historie, podczas gdy Brown przesuwiał siną rękę po skołtunionej brodzie, leżąc na cuchnącym tapczanie, i opowiadał mi, jak objechał, jak nabrał, jak wykończył tego, psiakrew, niepokalanego kpa³⁵, co nos do góry zadzierał. Przyznawał sam, że zastraszyć się Jima nie dało, lecz, mówił, „znalazłem drogę szeroką, jak szosa, po której dobrałem się do niego, i na Boga! szarpałem, targałem jego marną duszą na wszystkie strony”.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Sądzę, że Brown co najwyżej mógł tylko rzucić okiem na tę prostą, szeroką drogę — i to, co ujrzał, wydało mu się snadź zagadkowe, bo nie raz i nie dwa przerywał opowiadanie, aby

³⁵*kiep* (daw.) — dureń, głupiec. [przypis edytorski]

wykrzyknąć: „O mało wówczas z rąk mi się nie wyśliznął. Nie mogłem go przeniknąć. Kim on był?” I spojrzawszy na mnie błędnymi oczami, ciągnął dalej, wykrzykując tryumfalnie i szydząc z Jima. A mnie wydaje się teraz, że rozmowa tych dwóch ludzi poprzez zatokę była najbardziej śmiertelnym z pojedynków, na które Los kiedykolwiek spoglądał zimnym wzrokiem — wiedząc, jaki koniec nastąpi. Nie, Brown nie zdołał zatargać duszą Jima, lecz — i chyba się nie mylę — potrafił zmusić tego człowieka, będącego zupełnie poza jego władzą, aby wysączył aż do dna gorycz tej walki. Tacy oto wysłańcy świata — którego Jim się wyrzekł — ścigali go, docierając aż do jego kryjówki; byli to biali ludzie „stamtąd”, gdzie on żyć nie chciał, ponieważ uważał, że jest tego niegodzien. Groźba, wstrząs, niebezpieczeństwo dla jego dzieła — oto wszystko, co dotarło do Jima. Zdaje mi się, że właśnie smutna świadomość tego — na wpół żal, a na wpół rezygnacja — przebijająca z niewielu słów wypowiedzianych przez Jima, utrudniała tak bardzo Brow-

nowi przeniknięcie jego charakteru. Niejeden z wielkich ludzi zawdzięcza swą wielkość głównie temu, że umie odkryć w jednostkach, których chce użyć za narzędzie, taką właśnie siłę, jaka jest potrzebna dla wyznaczonego im zadania; a Brown, jak gdyby naprawdę był wielki, miał szatański dar wyczucia najbardziej dodatnich i najslabszych stron w swych ofiarach. Przyznał mi, że Jim nie należał do ludzi dających się ujeździć pochlebstwem, a więc postarał mu się przedstawić jako człowiek, który nieustraszenie stawia czoło niepowodzeniom, opinii i klęsce. Dowodził, że przemycenie kilku strzelb nie było wielką zbrodnią. A jeśli chodzi o zjawienie się w Patusanie — to kto ma prawo orzec, że nie przybył tu, aby prosić o żywność? Te diabły wcielone przyjęły ich od razu ogniem z obu brzegów, nie myśląc nawet o nic pytać. Brown wysunął ten argument z najwyższą czelnością, bo w gruncie rzeczy sprężysta akcja Daina zapobiegła wielkim klęskom; Brown mówił mi wyraźnie, że spostrzegłszy, jak wielka jest osada, postanowił od razu podpalić ją z obu

końców natychmiast po wylądowaniu i strzelać do każdego, kto się tylko nawinie, aby ludność przerazić i sterroryzować. Dowodził, wstrząsany atakiem kaszlu, że wobec tak wielkiej nierówności sił była to jedyna droga, która dawała jaką taką możliwość dobrnięcia do celu. Ale Jimowi tego nie powiedział. Co się tyczy głodu i niewygód, przez które przeszli, wszystko to było prawdziwe; wystarczyło spojrzeć na bandę Browna. Na ostry świst gwizdawki ukazali się jego ludzie, stanąwszy rzędem na kłodach, tak że Jim mógł ich zobaczyć. Jeśli zaś chodzi o zabicie tamtego człowieka — no tak, zabili go, to jest prawda, ale czyż nie prowadzą wojny, krwawej wojny, czyż nie przyparto ich do muru? A przy tym ów człowiek został zabity jak się patrzy — dostał strzał w piersi — nie jak ten nieborak leżący teraz w zatoce. Przez sześć godzin musieli słuchać, jak umierał z wnętrzościami poszarpanymi przez loftki. W każdym razie było to tylko życie za życie... Brown mówił do Jima ze znużeniem i niedbałością niby człowiek, którego zły los ścigał bez wytchnie-

nia, aż wreszcie wszystko stało mu się obojętne. Gdy zapytał z pewnego rodzaju szorstką, rozpaczliwą otwartością, czy on, Jim — znajdujący się teraz na prostej drodze — nie rozumie, że „jak przyjdzie ratować chyłkiem życie w ciemności, to człowiekowi staje się wszystko jedno, ilu się na tamten świat przespaceruje — trzech, trzydziestu czy trzystu” — gdy o to pytał, zdawało się, że to sam demon szepcze mu rady do ucha.

— Wzdrygnął się na to — chwalił się Brown przede mną — i bardzo prędko przestał odgrywać rolę sprawiedliwego. Stał tam, zapomniawszy języka w gębie, patrzył, ponury jak noc, nie na mnie, tylko w ziemię. — Brown wypytywał dalej, czyżby Jim nic nie miał na sumieniu, że taki okropnie jest twardy dla człowieka usiłującego się wydostać ze śmiertelnej pułapki w pierwszy lepszy dostępny mu sposób, i tak dalej, i tak dalej. A przez wszystkie te szorstkie słowa przewijała się nić subtelnych aluzji do ich wspólnej krwi i domniemanych jednakowych przeżyć, wstrętne napomknienia

o wspólnej winie, o jakichś tajnych wspomnieniach, które miały jednoczyć ich serca i umysły.

W końcu Brown rzucił się na ziemię jak długi i śledził Jima spod oka. A Jim stał i rozmyślał po swojej stronie zatoki, uderzając prętem o nogę. Domy jak okiem sięgnąć były ciche, rzekłbyś, pomór wymiół wszelkie tchnienie życia; lecz z wnętrza ich wiele niewidzialnych oczu patrzyło na dwóch ludzi przedzielonych zatoką, na łódź osiadłą u brzegu i ciało trzeciego człowieka na wpół zanurzone w błocie. Po rzece krążyły znów czółna, gdyż Patusan odzyskiwał wiarę w stałość ziemskich instytucji od powrotu swego białego pana. Prawy brzeg, tarasy domów, tratwy przycumowane wzdłuż brzegu, nawet dachy szop kąpielowych były pokryte ludźmi, którzy — znajdując się poza zasięgiem słuchu i prawie że wzroku — wyteżali oczy ku pagórkowi za ostrokołem radzy. Cisza panowała wewnątrz rozległego, nieforemnego pierścienia lasów, przeciętego w dwóch miejscach blaskiem rzeki.

— Czy pan mi przyrzeknie, że stąd wyjedzie? — zapytał Jim.

Brown podniósł i opuścił rękę, jakby rezygnował ze wszystkiego i zgadzał się na nieuniknione.

— I że wyda broń? — ciągnął dalej Jim.

Na to Brown usiadł i wlepił w niego oczy poprzez zatokę.

— Wydać broń? Chyba że przyjdziecie ją wyjąć z naszych zeszywniałych rąk. Myśli pan, że dostałem bzika ze strachu? O nie! Broń i łachmany, które mam na sobie, to cały mój majątek, poza paru strzelbami na statku; zamierzam sprzedać to wszystko na Madagaskarze, jeśli będę mógł dotrzeć tak daleko, zebrząc po drodze od statku do statku.

Jim nic na to nie odpowiedział. Wreszcie, odrzucając pręt, który trzymał w ręku, rzekł jakby do siebie:

— Nie wiem, czy to jest w mojej mocy.

— Pan nie wie! A przed chwilą żądał pan, abym wydał broń! To wcale niezłe! — krzyknął Brown. — A co będzie, jeśli powiedzą panu, że

tak i tak, a postąpią ze mną zupełnie inaczej? — Opanował się z wysiłkiem. — Ośmielam się twierdzić, że pan ma władzę, bo inaczej, na co ta cała rozmowa? Po cóż pan tu przyszedł? Dla zabicia czasu?

— Dobrze — rzekł Jim, podnosząc nagle głowę po długim milczeniu. — Będzie pan miał albo wolną drogę, albo otwartą walkę. — Zawrócił na pięcie i odszedł.

Brown wstał natychmiast, ale nie wdrapał się na kopiec, póki nie zobaczył Jima znikającego między najbliższymi domami. Nigdy go już więcej nie widział. W drodze powrotnej spotkał Corneliusa gramolącego się na dół z głową wsuniętą w ramiona. Metys zatrzymał się przed Brownem.

— Dlaczego pan go nie zabił? — spytał cierpko, z niechęcią.

— Bo lepiej sobie z nim poradziłem — rzekł Brown, uśmiechając się wesoło.

— Nie wierzę! — zapewnił energicznie Cornelius. — To niemożliwe. Mieszkam tu od tylu lat.

Brown popatrzył na niego z ciekawością. Życie tego kraju, uzbrojonego przeciw niemu, było skomplikowane; czuł, że wielu rzeczy nigdy zapewne nie przeniknie. Zgnębiony Cornelius przesunął się chyłkiem koło Browna, dążąc w stronę rzeki. Opuszczał swych nowych przyjaciół; zniósł jeszcze jeden zawód ze zgryźliwym uporem, od którego jego starcza, żółta twarzyczką jakby się jeszcze bardziej skurczyła. Schodząc, rzucał tu i tam ukośne spojrzenia, nie wyrzekając się bynajmniej myśli, którą był opętany.

Odtąd wypadki toczą się szybko bez przerwy, wypływając z głębi ludzkich serc jak strumień z mrocznego źródła; widzimy na ich fali Jima — głównie oczami Tamb' Itama. Oczy dziewczyny śledziły go także, lecz życie jej było zbyt ściśle splecione z jego życiem; trzeba tu wziąć pod uwagę jej namiętność, zdumienie, gniew, a przede wszystkim strach i miłość nieznającą przebaczenia. Co zaś do Tamb' Itama, który tak jak i wszyscy nie rozumiał nic z tego, co zaszło, to wchodzi tu w grę jedynie jego

wierność; wierność i wiara w swego pana tak silna, że nawet zdumienie Tamb' Itama przechodzi w pełne smutku poddanie się tajemniczej klęsce. Tamb' Itam ma oczy zwrócone tylko na jedną postać i wśród swego oszołomienia pełen jest troski, czujności i posłuszeństwa.

Jego pan wracał po rozmowie z białym, idąc z wolna ulicą ku ostrokołowi. Wszyscy się radowali, że go znów widzą między sobą, bo w czasie jego nieobecności każdy się lękał nie tylko o jego życie; obawiano się również i tego, co by nastąpiło, gdyby Jim został zabity. Wszedł do jednego z domów, gdzie przebywał stary Doramin; biały tuan pozostał tam długi czas sam na sam z głową bugiskich osadników. Nie ma wątpliwości, że rozprawiali o tym, jak pokierować biegiem wypadków, lecz żaden mąż nie był obecny przy tej rozmowie. Tylko Tamb' Itam, trzymając się tak blisko drzwi, jak tylko się dało, usłyszał, że jego pan mówił: „Dobrze. Powiadomię wszystkich, iż takie jest moje życzenie; lecz zanim się stawię przed tamtymi, chciałem mówić sam na sam z tobą, Do-

raminie — albowiem znasz moje serce równie dobrze, jak ja znam twoje, i wiem, czego pragniesz najbardziej. A przy tym zdajesz sobie sprawę, że nie mam nic innego na myśli prócz dobra ludu”. Pan Tamb’ Itama ukazał się we drzwiach, podniósłszy zasłonę; wierny sługa ujrzał przelotnie starego Doramina, który siedział na krześle z rękami na kolanach i patrzył w ziemię u swych stóp. Potem Tamb’ Itam poszedł za tuanem do fortu, dokąd cała starszyzna bugiska i mieszkańcy Patusanu zostali wezwani na naradę. Tamb’ Itam pragnął bitwy. „Przecież byłoby to tylko zdobycie drugiego wzgórza!” — zawołał do mnie z żalem. Jednak w mieście wielu ludzi miało nadzieję, że widok tylu odważnych mężów gotujących się do boju spowoduje odwrót chciwych cudzoziemców. Byłoby to bardzo pomyślne. Odkąd przybycie Jima zostało oznajmione o brzasku przez wystrzał armatni z fortu i bicie w wielki bęben, strach wiszący nad Patusanem załamał się i ustąpił niby fala, która odpływa od skały, zostawiając kipiącą pianę podniecenia,

ciekawości i przewidywań bez końca. Połowa mieszkańców została wysiedlona z domów dla celów obronnych i obozowała na ulicy z lewej strony rzeki, skupiona naokoło fortu, spodziewając się, że lada chwila opuszczone siedziby na zagrożonym brzegu buchną płomieniem. Wszyscy pragnęli gorąco jak najprędzszego rozstrzygnięcia sprawy. Za staraniem dziewczęcia-Klejnotu rozdano żywność między uciekinierów. Nikt nie wiedział, co biały tuan zrobi. Niektórzy utrzymywali, że położenie jest niebezpieczniejsze niż za czasów wojny z szeryfem Alim. Wówczas wielu ludzi nie dbało o nic, a teraz każdy miał coś do stracenia. Śledzono z ciekawością ruchy czółen krążących między obiema częściami osady. Parę bugiskich łodzi wojennych stało na kotwicy w środku łożyska, strzegąc rzeki; nić dymu unosiła się nad ich dziołkami; załogi gotowały ryż na południowy posiłek, gdy Jim, po rozmowach z Brownem i Doraminem, przeprawił się przez rzekę i wszedł do fortu wrotami od strony rzeki. Ludzie wewnątrz ostrokołu otoczyli go tłumnie, tak że

z trudnością torował sobie drogę ku domowi. Nie widziano go od jego powrotu, bo w ciągu nocy zamienił tylko kilka słów z dziewczyną, która zeszła do rzeki zaraz po jego wylądowaniu, i natychmiast udał się do starszyny oraz zbrojnych mężów na drugim brzegu.

Lud witał go okrzykami. Jakaś stara kobieta wzbudziła ogólny śmiech; przedarła się przez tłum jak szalona i gniewnym głosem wezwała Jima do pilnowania jej dwóch synów (byli obaj przy Doraminie), aby im zbóje nic złego nie wyrządzili. Kilku spomiędzy obecnych starało się ją odciągnąć, ale wyrywała się im, krzycząc:

— Puśćcie mnie! Cóż to ma znaczyć? Wasz śmiech jest nieprzystojny. Przecież to okrutni, krwiożerczy zbóje łaknący morderstw!

— Puśćcie ją — rzekł Jim, a gdy nagle zapadła cisza, rzekł z wolna: — Nikomu nic się nie stanie. — Wszedł do domu, zanim ucichło wielkie westchnienie ulgi i przebrzmiały głośnie pomruki radości.

Było jasne, że Jim postanowił dać Brownowi wolną drogę do morza. Los Jima się zbun-

tował i prowadził go za rękę. Biały tuan musiał po raz pierwszy przeciwstawić swą wolę jawnej opozycji.

— Mówiono dużo podczas obrad, a mój pan milczał z początku — rzekł Tamb' Itam. — Nastał mrok i wówczas zapaliłem świece na długim stole. Wodzowie siedzieli po obu stronach, a pani stała po prawej ręce tuana.

Gdy Jim zaczął mówić, przewyciężanie oporu, do którego nie był przyzwyczajony, zdawało się umacniać go jeszcze niezłomniej w raz powziętej decyzji. Oświadczył, że biali oczekują odpowiedzi tam na wzgórzu. Ich wódz mówił do Jima w języku swego ludu i wyjaśnił wiele rzeczy trudnych do przetłumaczenia na inną mowę. Ci ludzie zbłądzili; cierpienie uczyniło ich ślepych na różnicę między dobrem a złem. To prawda, że jest już kilka ofiar, lecz po co narażać się na dalsze straty? Jim oświadczył swym słuchaczom, zgromadzonej starszyźnie, że ich dobro jest jego dobrem, ich straty jego stratami, ich żałoba jego żałobą. Rozejrzał się wkoło po zasłuchanych, poważnych twarzach i przy-

pomniał, że nie od dziś walczą i pracują ramię w ramię. Odwaga Jima jest im znana... Przerwał mu pogwar obecnych... I wiedzą, że nie oszukał ich nigdy. Mieszkają z nim przez długie lata. Jim kocha ten kraj i jego lud bardzo wielką miłością. Gotów jest odpowiadać własnym życiem za każdą krzywdę, która by mogła ich spotkać, gdyby pozwolili się wycofać brodatym białym ludziom. Są to złoczyńcy, ale i los był dla nich okrutny. Czy Jim udzielił kiedy Bugisom złej rady? Czy jego słowa kiedykolwiek sprowadziły na lud cierpienie? — zapytał. Uważa, że będzie najlepiej, jeśli pozwolą odjechać białym rabusiom i ich sługom, jeśli im pozwolą ujść z życiem. Niewielki to będzie dar.

— Ja, któregoście wypróbowali, który dotrzymywałem wam zawsze wierności, proszę was, aby ich puścić wolno — zwrócił się do Daramina. Stary *nakhoda* ani drgnął. — Zatem — rzekł Jim — wezwij Daina Warisa, twego syna a mojego przyjaciela, bo ja w tym boju dowodzić nie będę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Tamb' Itamowi, stojącemu za krzesłem Jima, wydało się, że piorun w niego uderzył. Słowa Jima wywarły olbrzymie wrażenie.

— Puśćcie ich, tak będzie najlepiej według mojego zdania, które jeszcze nigdy was nie zawiodło — nalegał Jim.

Wszyscy zamilkli. Wśród mroku dziedzińca słychać było stłumiony gwar i dreptanie tłumu. Doramin podniósł ciężką głowę i wyrzekł, że wprawdzie czytać w sercach jest równie trudno jak dotknąć ręką nieba, ale... zgadza się. Inni wypowiadali kolejno swe zdanie. „To najlepszy sposób” — „Puścić ich wolno” — i tak dalej. Ale większość obecnych rzekła po prostu, że „ufają tuanowi Jimowi”.

Ten prosty sposób poddawania się jego woli określał całą istotę wzajemnego ich stosunku, który był oparty na ich wierze i na jego prawości; a składanie im żywych dowodów swej lojalności stawiało go we własnych oczach na

poziomie nieskazitelnych ludzi, co nigdy nie opuścili szeregu. Słowa Steina: „To romantyk! romantyk!”, zdają się dźwięczeć nad tym odległym krajem, który Jima już nigdy nie wróci światu — obojętnemu na jego upadki i cnoty. I nie wróci go owej namiętnej, niewyczerpanej miłości, która mu odmówiła ofiary z łez, ogłuszona wielkim bólem i wiecznym rozstaniem. Od chwili gdy kryształowa prawość Jima — w ciągu ostatnich trzech lat jego życia — pokonała zwycięsko ludzką ciemnotę, bojaźń i gniew, Jim już mi się nie ukazuje tak, jak go widziałem po raz ostatni — na kształt białej plamki chłonącej całe światło pozostałe na mrocznym brzegu i pociemniałym morzu; wydaje mi się większy i bardziej żałosny w osamotnieniu swego ducha, który nawet dla tej, co go kochała najgłębiej, pozostał okrutną i niezgłębioną tajemnicą.

Jim ufał widać Brownowi; nie miał powodu nie wierzyć jego opowieści, której prawdę zdawała się stwierdzać szorstka otwartość, pewien rodzaj męskiej szczerości, z jaką Brown

brał na siebie odpowiedzialność za swe postępy i ich skutki. Ale Jim nie znał niepojętego wprost egotyzmu Browna; nie wiedział, że tego człowieka ogarniało po prostu szaleństwo, gdy napotykał na opór przeciwstawiający się jego woli; Brown szalał wówczas z oburzenia i mściwej wściekłości jak zawiedziony autokrata. Lecz chociaż Jim brał słowa Browna za dobrą monetę, bał się widać, aby nie zaszło jakieś nieporozumienie mogące zagrażać starciem i rozlewem krwi. Dlatego też natychmiast po odejściu malajskiej starszyny poprosił, żeby dziewczyna dała mu coś do zjedzenia, bo ma zamiar opuścić fort i objąć dowództwo w mieście. Gdy się opierała temu ze względu na jego zmęczenie, odrzekł, że mogłoby się coś wydarzyć, czego by potem nigdy sobie nie darował.

— Jestem odpowiedzialny za życie każdego człowieka w tym kraju — rzekł.

Z początku był posępny; dziewczyna usługiwała mu, biorąc od Tamb' Itama talerze i półmiski (z serwisu ofiarowanego przez Steina). Po jakimś czasie twarz Jima rozjaśniła się; po-

wiedział dziewczynie, że pozostawi jej dowództwo fortu jeszcze na jedną noc.

— Nie ma dla nas snu, kochanie — rzekł — póki nasz lud jest w niebezpieczeństwie. — Później dodał żartobliwie, że ona jest najmężniejsza ze wszystkich. — Gdybyście oboje z Dainem Warisem przeprowadzili to, coście chcieli przeprowadzić — ani jeden z tych nieboraków nie pozostałby dziś przy życiu.

— Czy oni są bardzo źli? — zapytała, opierając się o jego krzesło.

— Ludzie czasem źle postępują, choć nie są wiele gorsi od innych — rzekł po chwili wahania.

Tamb' Itam szedł ze swoim panem aż do przystani u fortu. Noc była jasna, ale bezksiężycowa; środek rzeki zalegały ciemności, lecz woda u obu brzegów odbijała blask licznych ognisk, „jakby w noc ramadanu³⁶”, wyraził się Tamb' Itam. Łodzie wojenne sunęły cicho mrocznym szlakiem lub stały na kotwicy wśród gło-

³⁶*ramadan* — dziewiąty, święty miesiąc kalendarza muzułmańskiego; podczas ramadanu wiernych obowiązuje ścisły post od świtu do zmierzchu, posiłki spożywane są po zachodzie słońca. [przypis edytorski]

śnego plusku. Tej nocy Tamb' Itam miał dużo do roboty, wiosłując lub chodząc za swym panem tam i z powrotem po ulicy wśród palących się ognisk, a także i dalej na skraju miasta, gdzie niewielkie oddziały stały w polu na warcie. Tuan Jim wydawał rozkazy, które wykonywano natychmiast. Na ostatku udali się do ostrokołu radży, obsadzonego tej nocy przez ludzi Jima. Stary radża uciekł wczesnym rankiem, z większą częścią swych kobiet, do małego domku niedaleko wsi położonej wśród dżungli nad jednym z dopływów rzeki. Kassim, który został w Patusanie, był obecny na obradach i z miną pełną gorliwości wyjaśniał swe zabiegi dyplomatyczne z dnia poprzedniego. Traktowano go bardzo ozięble, ale to go nie pozbawiło uśmiechniętego, spokojnego ożywienia; oświadczył, że jest zachwycony, gdy Jim powiedział mu ostro, iż zamierza tej nocy obsadzić ostrokół radży własnymi ludźmi. Po zakończeniu obrad widziano Kassima, jak przed domem zaczepiał to tego, to owego z rozcho- dzącej się starszozny i rozpowiadał głośno za-

dowolonym tonem, że mienie radży będzie zabezpieczone w czasie jego nieobecności.

Około dziesiątej ludzie Jima weszli do ostrokołu, który górował nad ujściem zatoki. Jim zamierzał tam pozostać, póki Brown nie przejedzie. Rozpalono niewielkie ognisko na płaskim, porośniętym trawą przylądku przed ścianą z bali, gdzie Tamb' Itam ustawił małe składane krzeselko dla swego pana. Jim przykazał Malajowi, aby spróbował się przespać. Tamb' Itam przyniósł matę i położył się niedaleko, ale spać nie mógł, choć wiedział, że musi się udać w drogę z ważną misją, nim noc upłynie. Jego pan chodził tam i na powrót ze spuszczoną głową i rękami splecionymi na plecach. Twarz jego była smutna. Gdy pan się zbliżał do Tamb' Itama, ten udawał, że śpi, nie chcąc, aby pan wiedział, iż wierny sługa go obserwuje. Wreszcie pan zatrzymał się przy nim, popatrzył na niego i rzekł po cichu: „Już czas”.

Tamb' Itam wstał natychmiast i zaczął się zbierać. Miał wyruszyć ze zleceniem w dół rzeki, wyprzedzając łódź Browna o godzinę lub

więcej, aby zawiadomić urzędowo Daina Warisa, iż pozwolono ostatecznie białym przejechać swobodnie i że ich zaczepiać nie trzeba. Jim nie chciał nikomu innemu powierzyć tego zlecenia. Przed wyruszeniem Tamb' Itam poprosił o dowód raczej ze względów formalnych, gdyż dzięki swemu stanowisku przy Jimie był ogólnie znany.

— Zlecenie jest ważne, o tuanie, przecież mam zanieść twe własne słowa.

Pan włożył rękę naprzód do jednej kieszeni, potem do drugiej i wreszcie zdjął ze wskazującego palca srebrny pierścień Steina, który zwykle nosił, i dał go Tamb' Itamowi. Gdy Tamb' Itam wyruszył ze swą misją, obóz Browna na kopcu był ciemny, tylko przez gałęzie jednego z drzew, ściętych przez białych ludzi, jaśniał niewielki krąg żaru.

Poprzedniego dnia nad wieczorem Brown dostał od Jima złożoną kartkę papieru ze słowami: „Droga jest wolna. Proszę wyruszyć z ranym przyływem, w chwili gdy wasza łódź znajdzie się na wodzie. Niech pańscy ludzie bę-

dą ostrożni. Zarośla po obu stronach zatoki i ostrokół u przesmyka pełne są zbrojnych ludzi. Nie udałby się Panu żaden wybryk, ale nie myślę, aby Pan pragnął rozlewu krwi”. Brown przeczytał kartkę, podarł ją na drobne kawałki i zwracając się do Corneliusa, który ją przyniósł, rzekł szyderczo: „Żegnaj, drogi przyjacielu”. Cornelius był po południu w forcie i snuł się ukradkiem naokoło domu. Jim wybrał go na posłańca, ponieważ Metys umiał po angielsku i znany był Brownowi; nie groziło więc niebezpieczeństwo, aby który z ludzi Browna zastrzelił go przez pomyłkę w zdenerwowaniu, jak to się mogło zdarzyć, gdyby jakiś Malaj zbliżył się o zmierzchu.

Cornelius nie odchodził po oddaniu kartki. Brown siedział przy małym ognisku; wszyscy inni leżeli.

— Mógłbym panu powiedzieć coś, czego by pan się chętnie dowiedział — burknął Cornelius.

Brown nie zwrócił na to uwagi.

— Nie zabił go pan — ciągnął Metys — i co pan ma za to? Mógł pan dostać od rady pieniędzy, nie mówiąc już o rabunku wszystkich domów bugiskich, a teraz pójdzie pan z kwitkiem.

— Lepiej pan się stąd zabieraj — warknął Brown, nie spojrzawszy nawet na Corneliusa.

Lecz ten opadł na kłodę obok Browna i jął szeptać bardzo prędko, dotykając jego łokcia od czasu do czasu. Przy pierwszych słowach Metysa Brown zachnął się i rzucił przekleństwo. Cornelius powiedział mu po prostu o zbrojnym oddziale Daina Warisa w dole rzeki. Z początku Brown myślał, że jest zaprzędany i zgubiony, lecz po chwili zastanowienia uznał, iż nie mogło tu chodzić o podstęp. Nie odpowiedział nic, a Cornelius zauważył po chwili tonem zupełnie obojętnym, że jest jeszcze inny przejazd rzeką, dobrze mu znany.

— Dobrze jest o tym wiedzieć — rzekł Brown, nastawiając uszu; Cornelius zaś zaczął rozpowiadać, co się dzieje w mieście, i powtórzył wszystko, o czym mówiono podczas ob-

rad, plotkując jednostajnie przyciszonym głosem prosto do ucha Browna, jak się mówi wśród śpiących ludzi, których się nie chce obudzić.

— On myśli, że mnie unieszkodliwił, co?
— mruknął Brown bardzo cicho.

— Tak. To dureń. Niewiniątko! Zjawił się tu i obdarł mnie — ciągnął monotonicznie Cornelius — i wkradł się w zaufanie wszystkich ludzi. Ale gdyby zaszło coś takiego, żeby przestali mu wierzyć, co by się wówczas z nim stało? A ów Bugis, Dain, który czeka w dole rzeki na pana, panie kapitanie, to ten sam, który zapędził was na kopiec, kiedyście się pokazali.

Brown zauważył niedbale, że byłoby lepiej uniknąć z nim spotkania, na co Cornelius oświadczył równie obojętnym tonem, jakby w zamyśleniu, że zna pewien przesmyk, dość szeroki, aby łódź Browna mogła objechać od tyłu obóz Warisa.

— Tylko musicie przywarować cicho — dodał — bo w jednym miejscu przejeżdża się tuż za obozem. Bardzo blisko. Rozłożyli się nad rzeką, a łodzie wyciągnęli na brzeg.

— Oho, już my potrafimy przycząić się jak mysz pod miotłą — niech się pan nie boi — rzekł Brown.

Cornelius wymówił sobie, że jeśli się podejmie służyć za pilota, jego czółno będzie holowane przez łódź Browna.

— Muszę prędko wrócić — wyjaśnił.

Dwie godziny przed świtem najdalej wysunięte placówki dały znać do ostrokołu, iż biali zbójcy schodzą do swej łodzi. W bardzo krótkim czasie wszyscy zbrojni ludzie Patusanu byli w pogotowiu, lecz wybrzeża rzeki pozostały takie spokojne, że gdyby nie ogniska wybuchające zamglonymi płomieniami, można by było myśleć, iż miasto śpi jak w czasie pokoju. Gęsta mgła leżała bardzo nisko na wodzie, tworząc coś w rodzaju złudnego popielatego światła, które nic nie rozjaśniało. Gdy wielka łódź Browna wysunęła się z zatoki na rzekę, Jim stał na przyładku przed ostrokołem radzy — w tym samym miejscu, gdzie po raz pierwszy postawił nogę na gruncie Patusanu. Zamajaczył przed nim cień poruszający się wśród sza-

rości, samotny, bardzo wielki, a jednak prawie nieuchwytny dla oka. Dochodził stamtąd szmer cichej rozmowy. Brown, siedzący u steru, usłyszał, że Jim mówi spokojnie:

— Droga wolna. Puśćcie się lepiej z prądem, póki jest mgła, która się już niedługo podniesie.

— Tak, wkrótce będzie wszystko widać — odparł Brown.

Pod ostrokołem trzydziestu czy czterdziestu ludzi wstrzymało oddech, stojąc z muszkietami gotowymi do strzału. Właściciel statku, Bugis, którego widziałem na werandzie Steina, był właśnie wśród nich i opowiadał mi, że łódź, okrążająca wówczas bardzo blisko przylądek, rzekłbyś, stała się na chwilę ogromna i spiętrzyła się u brzegu na kształt góry.

— Jeśli się panu opłaci poczekać dzień u ujścia rzeki — zawołał Jim — postaram się panu posłać trochę żywności — bawołu, jadalne korzenie, co będę mógł.

Cień łodzi sunął dalej.

— Dobrze. Niech pan przyśle — rzekł we mgle bezbarwny, głuchy głos.

Nikt z licznych, uważnych słuchaczy nie rozumiał znaczenia tych słów; Brown i jego ludzie odpłynęli w swej łodzi, niknąc jak widma bez najlżejszego szmeru.

I tak oto Brown — niewidzialny we mgle — opuścił Patusan ramię w ramię z Corneliussem siedzącym na rufie.

— Może pan i dostanie małego bawołu — rzekł Cornelius. — O tak. Bawołu. I trochę jadalnych korzeni. Dostanie pan, jeśli *on* tak powiedział. On zawsze mówi prawdę. Ukradł mi wszystko, co posiadałem. Pan pewno woli małego bawołu od zdobyczy wielu złupionych domów.

— Radziłbym panu trzymać język za zębami, bo mógłby tu ktoś wyrzucić pana za burzę w tę przeklętą mgłę — rzekł Brown.

Łódź zdawała się stać w miejscu; nic nie było widać, nawet rzeki tuż przy burcie, tylko pył wodny unosił się i ściekał skroplony po brodach i twarzach. Brown mówił mi, że to by-

ło niesamowite. Każdemu z nich zdawało się, iż dryfuje w czólnie sam jeden, prześladowany obecnością prawie niedostrzegalnych widm, które pomrukiwały i wzdychały.

— Więc pan by mnie wyrzucił za burzę, co? — burknął Cornelius. — Ja bym i tak wiedział, gdzie jestem. Mieszkam tu od wielu lat.

— Ale jeszcze za krótko, żeby móc coś dojrzeć wśród takiej mgły — rzekł Brown, wyciągnąwszy się wygodnie; ręka jego, kołysząc się tam i sam, zwisała ze zbędnej sterownicy.

— Wcale nie za krótko — warknął Cornelius.

— To nam się przyda — oświadczył Brown — a więc pan mówi, że tak na ślepo mógłby znaleźć tę odnogę rzeki, o której pan wspominał?

Cornelius coś na to odmruknął.

— Czy jesteście zanadto zmęczeni, aby wiosłować? — spytał po chwili milczenia.

— Na Boga! nie! — krzyknął Brown nagle. — Wy tam, do wiosł!

Rozległ się we mgle głośny stukot, który po chwili przemienił się w miarowy zgrzyt niewidzialnych wiosel o niewidzialne dulki. Zresztą wciąż nic nie można było dostrzec i gdyby nie lekkie pluskanie zanurzanych w wodzie piór, można było pomyśleć, że wiosłują w balonie między chmurami, jak mi to Brown opowiadał. Potem już Cornelius nie otworzył ust, raz tylko zażądał opryskliwie, aby wylać wodę z czółna, które holowano za łodzią. Mgła stopniowo bieląca i zaczęła się przecierać na przodzie. Z lewej strony Brown ujrzał mrok, niaby grzbiet oddalającej się nocy. Nagle wielki konar okryty liśćmi ukazał się nad jego głową; końce cienkich, krętych gałązek, ociekające wodą i nieruchome, zwisały tuż obok burty. Cornelius, milcząc, wziął rękojeść steru z rąk Browna.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWAR- TY

Zdaje mi się, że odtąd nie zamienili już ani słowa.

Łódź wjechała w wąski boczny przesmyk, gdzie popychano ją, wpierając wiosła w kruszące się brzegi; mrok był tak wielki, jakby olbrzymie czarne skrzydła rozpostarły się nad mgłą, która zapełniała przesmyk aż do wierzchołków drzew. Z gałęzi sypały się wielkie krople poprzez mroczne opary. Na szepnięcie Corneliusa Brown rozkazał swym ludziom nabić broń.

— Daję wam sposobność porachowania się z nimi, zanim się to skończy, wy nędzne pokraki — rzekł do swej bandy. — Tylko mi nie zmarnować okazji, hołoto.

Cichy pomruk rozległ się po tej przemowie. Cornelius robił zamieszanie, kłopotząc się o bezpieczeństwo swego czółna.

Tymczasem Tamb' Itam dotarł do celu podróży. Wskutek mgły spóźnił się trochę, lecz wciąż wiosłował spokojnie, trzymając się bli-

sko południowego brzegu. Niebawem pojawiło się słońce niby żar w matowej, szklanej kuli. Brzegi po obu stronach rzeki podobne były do ciemnych smug; rozróżniało się w nich jakby zarysy kolumn — a wysoko w górze cienie poskręcanych gałęzi. Na wodzie leżała wciąż gęsta mgła, ale straż pilnowała czujnie przejazdu, bo gdy Tamb' Itam zbliżył się do obozu, postacie dwóch ludzi wyłoniły się z białych oparów i zagadnęły go donośne głosy. Gdy odpowiedział, ukazało się zaraz czołno i Tamb' Itam udzielił nowin wiosłarzom. Wszystko dobrze. Troski minęły. Wysłuchawszy tego, ludzie w czołnie puścili burtę jego łódki i znikli natychmiast. Płynął dalej, póki go nie doszły głosy niosące się spokojnie po wodzie, i wreszcie ujrzał pod mgłą, która zaczęła się podnosić, wirując, blask wielu małych ognisk, rozpalonych na piaszczystym wybrzeżu, na tle wyniosłych, cienkich drzew i krzaków. Stała tu również straż na warcie i okrzyknęła Tamb' Itama. Rzucił w odpowiedzi swe imię i paru ostatnimi uderzeniami wiosła wpędził łódkę na brzeg.

Obóz był wielki. Nad ludźmi przykucniętymi w licznych grupkach unosił się stłumiony gwar wczesnych rozmów porannych. Cienkie nitki dymu wiły się z wolna wśród białej mgły. Dla wodzów pobudowano niewielkie szałaszy wzniesione nad ziemią. Gdzieś tam stały małe piramidy z muszkietów, a długie włócznie tkwiły pojedynczo, wbite w piasek przy ogniskach.

Tamb' Itam z wejrzeniem pełnym powagi kazał się zaprowadzić do Daina Warisa. Przyjaciel białego tuana spoczywał na wysokim legowisku zrobionym naprędce z bambusów, pod dachem z tyczek okrytych matami. Dain Waris nie spał; jasny ogień palił się przed jego łóżem, przypominającym prymitywny ołtarz. Jedyne dziecko *nakhody* Doramina odpowiedział łaskawie na powitanie. Tamb' Itam przede wszystkim wręczył mu pierścień, który świadczył o prawdziwości słów posłańca. Dain Waris, wsparty na łokciu, rozkazał mu mówić i zdać sprawę ze wszystkiego, co zaszło. Tamb' Itam zaczął od słów uświęconych zwyczajem: „Wieści są pomyślne”, po czym powtórzył słowa Jima. Białym

ludziom, odjeżdżającym za zgodą całej starszyny, dozwala się przejechać w dół rzeką. W odpowiedzi na parę pytań Daina Tamb' Itam opisał przebieg ostatnich obrad. Dain Waris słuchał uważnie, bawiąc się pierścieniem, który wsunął wreszcie na wskazujący palec prawej ręki. Dowiedziawszy się o wszystkich nowinach, Dain odprawił Tamb' Itama, rozkazując mu, aby się posilił i wypoczął. Polecono natychmiast gotować się do popołudniowego powrotu. Potem Dain Waris wyciągnął się znów na łożu z otwartymi oczami, a jego świta przygotowywała mu posiłek u ogniska; siedział tam również Tamb' Itam, rozmawiając z ludźmi, którzy zbliżali się powoli, aby się dowiedzieć o ostatnich nowinach z miasta. Słońce pożerało mgłę. Ustawiono czujne strażę wzdłuż głównego łożyska rzeki, gdzie każdej chwili spodziewano się ujrzeć łódź białych.

Wówczas to Brown zemścił się na tym świecie, któremu dokuczał wzgardliwie i zuchwale przez lat dwadzieścia i który w końcu odmówił mu daniny: powodzenia w zwykłym ra-

bunku. Zemsta Browna była aktem zimnego okrucieństwa, które cieszyło go jeszcze na łożu śmierci jak wspomnienie zuchwałego wyzwania. Kazał wysiąść po cichu swym ludziom na brzeg wyspy przeciwległy obozowi Bugisów i powiódł ich w tamtą stronę. Cornelius usiłował się wymknąć w chwili, gdy lądowali, lecz uległ po krótkiej chwili milczącego szamotania się i poprowadził bandę przez najmniej zwarte zarośla. Brown trzymał w jednej wielkiej pięści kościste ręce Corneliusa wygięte do tyłu i od czasu do czasu przynaglał go wściekłym szturchańcem. Metys milczał jak ryba, upadły na duchu, lecz wierny swemu celowi, którego osiągnięcie zaczynało przed nim mętnie majaczyć. Na skraju lasu ludzie Browna rozstawili się w ukryciu i czekali. Widzieli cały obóz jak na dłoni; nikt nie patrzył w ich stronę. Bugisom nie przeszło nawet przez głowę, aby biali mogli wiedzieć o wąskim przesmyku z drugiej strony wyspy. Wreszcie Brown uznał, że chwila odpowiednia nadeszła, i krzyknął: „Da-

lej w nich!” Czternaście strzałów zagrzmiało jak jeden.

Tamb’ Itam mówił mi, że cały obóz osłupiał; padło wielu zabitych i rannych, lecz z tych, co ocaleli, nikt się nie poruszył czas dłuższy po pierwszej salwie. Wreszcie któryś z nich krzyknął, a po tym krzyku wielki wrzask zdumienia i trwogi wydarł się ze wszystkich ust. Ślepy, paniczny strach pędził rozkołysaną ludzką gromadę po brzegu tam i z powrotem, niby stado bydła lękające się wody. Niektórzy skoczyli od razu do rzeki, większość zaś dopiero po ostatniej salwie. Trzy razy ludzie Browna strzelali w tłum, a Brown, który sam jeden ukazał się na skraju lasu, klął i wrzeszczał: „Celuj nisko! Celuj nisko!”

Opowiadał mi Tamb’ Itam, że jeśli chodzi o niego, zrozumiał od razu po pierwszej salwie, co się stało. Choć kule go nie dosięgły, padł na ziemię i leżał jak martwy, tylko oczy miał otwarte. Na dźwięk pierwszych strzałów Dain Waris, wyciągnięty na posłaniu, zerwał

się i wybiegł na brzeg, w sam czas, aby dostać kulą w czoło przy drugiej salwie. Tamb' Itam widział, jak Dain rozkrzyżował nagle ramiona, zanim upadł. Dopiero wówczas wielki strach ogarnął Tamb' Itama. Biali ludzie odeszli, tak jak przyszli.

W taki to sposób Brown wyrównał swe porachunki ze złym losem. Niech pan weźmie pod uwagę, że nawet w tym okropnym zamachu człowiek ten narzucił swoją wyższość, jak gdyby powodowało nim poczucie jakiegoś prawa, utajone w jego pospolitych namiętnościach. To nie była rzeź zwykła i zdradziecka: ale surowa nauka, odwet, przejaw jakiejś ciemnej i utajonej cechy ludzkiej natury, który niestety nie leży w nas tak głęboko pod powierzchnią, jak byśmy radzi to sobie wyobrażać.

A potem biali, niewidzialni dla Tamb' Itama, wycofują się i zdają się zniknąć zupełnie sprzed ludzkich oczu; szkuner znikł także, jak to się zwykle zdarza rzeczom skradzionym. Ale krąży opowieść o dużej białej łodzi, którą parowiec handlowy napotkał w miesiąc później na oce-

anie. Znajdowały się w niej dwa wyschnięte, żółte, mówiące szeptem szkielety o szklistych oczach; zwierzchnikiem ich był trzeci szkielet, który oświadczył, że się nazywa Brown. Opowiedział, iż jego szkuner, dążący na południe z ładunkiem jawajskiego cukru, został ciężko uszkodzony i zatonął. Tylko właściciel statku i jego dwaj towarzysze uratowali się z załogi liczącej sześć osób. Obaj majtkowie umarli na parowcu, który ich wziął na pokład. Brown pozostał przy życiu, abym ja mógł się z nim spotkać, i stwierdzam, że wypełnił do końca to, co mu było przeznaczone.

Jak się zdaje, banda Browna zapomniała przy odjeździe odczepić czółno Corneliusa. Na samym początku strzelaniny Brown puścił wolno Metysa, kopnąwszy go na pożegnanie. Gdy Tamb' Itam dźwignął się spośród martwych, ujrzał „Nazarejczyka”, który biegał tam i z powrotem po brzegu wśród trupów i gasnących ognisk, wydając słabe okrzyki. Nagle rzucił się ku rzece i wśród zapamiętałych wysiłków starał się zepchnąć na wodę jedną z bugiskich łodzi.

— Potem — ciągnął dalej Tamb' Itam — stał, patrząc na ciężkie czółno, i drapał się w głowę, póki mnie nie zobaczył.

— Co się z nim stało? — zapytałem.

Tamb' Itam spojrział mi prosto w oczy i uczynił wyrazisty ruch prawą ręką.

— Dostał dwa razy, tuanie — rzekł. — Kiedy zobaczył, że się zbliżam, rzucił się gwałtownie na ziemię i zaczął wrzeszczeć, wywijając nogami. Darł się jak przerażona kura, póki nie poczuł ostrza; wówczas ucichł i leżał wpatrzony we mnie, aż wreszcie życie wyszło mu z oczu.

Potem już Tamb' Itam dłużej nie zwlekał. Rozumiał, jak ważną jest rzeczą, aby pierwszy przywiózł do fortu okropne nowiny. Z oddziału Daina Warisa wielu mężów zostało przy życiu, ale w najwyższym popłochu niektórzy przepłynęli rzekę, inni znów rzucili się w gąszcze. W rzeczywistości zaś nie zdawali sobie wcale sprawy, kto na nich uderzył, nie wiedzieli, czy więcej białych zbójców się nie pokaże, czy nie zawładnęli już całym krajem. Wyobrażali sobie, że padają ofiarą jakiejś olbrzymiej zdrady, że są

skazani na zupełną zagładę. Podobno niektórzy z nich wrócili małymi grupkami dopiero po upływie trzech dni, kilku jednak usiłowało puścić się natychmiast z powrotem do Patusanu. Jedno z czółen trzymających wartę na rzece znalazło się niedaleko obozowiska w chwili ataku; wprawdzie z początku wiosłarze skoczyli do wody i popłynęli ku przeciwnemu brzegowi, ale potem wrócili do czółna i ruszyli przez rażeni w górę rzeki. Tamb' Itam wyprzedził ich o godzinę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Gdy Tamb' Itam, wiosłując jak szalony, dotarł do osady, kobiety, stłoczone na pomostach przed domami, wyczekiwały powrotu małej flotylli Daina Warisa. Miasto miało wygląd odświętny; gdzieś widać było mężczyzn — zbrojnych jeszcze we włócznie lub strzelby — którzy chodzili lub stali w grupkach na brzegu. Chińskie sklepy otwarto wcześniej, lecz targ

był pusty; placówka, stojąca jeszcze wciąż u rogu fortecy, dostrzegła Tamb' Itama i krzyknęła o jego przybyciu do załogi. Brama była szeroko rozwarta. Tamb' Itam wyskoczył z czołna i wbiegł do fortu. Pierwszą osobą, jaką napotkał, była dziewczyna, która szła właśnie od strony domu.

Tamb' Itam stał przed nią jakiś czas, zadyuszany, z drżącymi ustami, błędnymi oczyma, w potarganym odzieniu; stał i milczał, jakby nagły czar padł na niego. Wreszcie wybuchnął:

— Zabili Daina Warisa i wielu innych.

Dziewczyna klasnęła w ręce; pierwsze jej słowa były: „Zamknij bramy”. Większość ludzi z załogi wróciła już do swych domów; Tamb' Itam zwołał i popędzał tych nielicznych, którym z kolei wypadło pełnić służbę. Dziewczyna stała na dziedzińcu wśród ogólnej bieganiny.

— Doramin! — krzyknęła rozpaczliwie do mijającego ją Tamb' Itama.

Gdy przebiegał koło niej po raz drugi, odpowiedział szybko na jej myśl:

— Tak. Ale cały proch Patusanu jest u nas.

Schwyciła go za ramię, cała drżąca, i szepnęła, wskazując na dom:

— Poproś go tutaj.

Tamb' Itam wbiegł po stopniach. Pan jego spał.

— To ja, Tamb' Itam — krzyknął ode drzwi

— przynoszę wieści, które czekać nie mogą.

— Zobaczywszy, że Jim odwraca głowę na poduszce i otwiera oczy, wybuchnął od razu: — Tuanie, to jest dzień klęski, dzień przeklęty!

Pan jego dźwignął się na łokciu i słuchał — zupełnie jak przedtem Dain Waris. A Tamb' Itam zaczął opowiadać; usiłował po kolei zdać sprawę ze wszystkiego, nazywając Daina Warisa „Panglima”. Gdy rzekł: — Wówczas Panglima zawołał do naczelnego ze swych wioślarzy: „Dajcie Tamb' Itamowi coś do zjedzenia” — Jim wstał i spojrzał na niego z tak zmienioną twarzą, że słowa uwięzły w gardle wiernego sługi.

— Mów dalej — rzekł Jim. — Czy nie żyje?

— Obyś żył wiecznie! — zawołał Tamb' Itam. — To była zdrada straszliwa. Na odgłos pierwszych strzałów Panglima wybiegł i padł.

Pan Tamb' Itama podszedł do okna i uderzył pięścią w okiennicę. W pokoju zrobiło się jasno; wówczas pan zaczął mówić spokojnym głosem, lecz bardzo prędko, rozkazując Tamb' Itamowi, aby zebrał flotyllę łódek dla natychmiastowego pościgu, aby poszedł do tego, do tamtego — aby porozsyłał gońców; mówiąc to wszystko, usiadł na łóżku i sznurował śpiesznie trzewiki; nagle podniósł głowę.

— Dlaczego tu stoisz? — zapytał z bardzo czerwoną twarzą. — Nie trać czasu. — Tamb' Itam wcale się nie poruszył.

— Wybacz mi, tuanie, ale... ale... — zaczął się jąkać.

— Co takiego? — krzyknął pan głośno ze strasznym spojrzeniem i pochylił się naprzód, ściskając oburącz brzeg łóżka.

— Nie jest bezpieczne dla twego sługi iść tam pomiędzy lud — rzekł Tamb' Itam po chwili wahania.

Wówczas Jim zrozumiał. Wycofał się ze świata z przyczyny na pozór drobnej, z powodu jednego odruchowego skoku, a teraz oto drugi świat, dzieło jego własnych rąk, wali mu się w gruzach na głowę. Nie jest bezpiecznie dla jego sługi iść między jego własny lud! Zdaje mi się, że właśnie wtedy Jim postanowił stawić czoło nieszczęściu w jedyny sposób, jaki uważał za możliwy; ale wiem tylko to, że bez słowa wyszedł z sypialni i usiadł przy długim stole, gdzie zajmował zawsze pierwsze miejsce, kierując sprawami swego świata i głosząc dzień po dniu prawdę, która na pewno żyła w jego sercu. Ciemne potęgi nie wydrą mu po raz drugi spokoju! Siedział jak kamienny posąg. Tamb' Itam, pełen szacunku, napomknął o przygotowaniach do obrony. Dziewczyna, którą Jim kochał, weszła i zaczęła mówić do niego, lecz gdy poruszył ręką, przeraziła się niemą prośbą o milczenie, jaką ów ruch wyrażał. Wyszła na werandę i siadła na progu, jakby własnym ciałem chciała zagrozić drogę niebezpieczeństwu.

Jakie myśli przechodziły Jimowi przez głowę, jakie wspomnienia? Któż to może powiedzieć! Wszystko przepadło; już raz utracił ludzkie zaufanie, a teraz znowu zawiódł tych, co w niego wierzyli. Wyobrażam sobie, iż właśnie wówczas usiłował pisać do kogoś, ale tego zaniechał. Samotność ogarniała go znowu. Ludzie powierzyli mu swoje życie — i oto do czego doszło; a tymczasem nigdy, jak to kiedyś powiedział, nigdy nie będą w stanie go zrozumieć. Żaden odgłos z domu nie przenikał na zewnątrz. Później, ku wieczorowi, Jim zbliżył się do drzwi i zawołał na Tamb'Itama.

— Cóż tam? — zapytał.

— Wiele jest płaczu. A także i wiele gniewu — rzekł Tamb' Itam.

Jim podniósł na niego oczy.

— Wiesz o tym — szepnął.

— Tak, tuanie — rzekł Tamb' Itam. — Twój sługa wie i bramy są zamknięte. Będziemy musieli walczyć.

— Walczyć! O co? — zapytał.

— O życie.

— Nie ma dla mnie życia — powiedział Jim.

Tamb' Itam usłyszał krzyk dziewczyny stojącej u drzwi.

— Kto wie? — rzekł Tamb' Itam. — Przy odrobinie odwagi i chytryści uda się nam może uciec. A przy tym wiele jest trwogi w sercach mężów. — Tamb' Itam wyszedł, snując niejasne myśli o łodziach i otwartym morzu, i zostawił Jima z dziewczyną.

Nie mam odwagi powtórzyć tego, co mi mówiła o chwilach, które spędziła na mocowaniu się z Jimem o swoje szczęście. Ciągnęło się to z godzinę lub dłużej. Niepodobna przeniknąć, czy miał jeszcze jakąś nadzieję, czego oczekiwał, co sobie wyobrażał. Był nieugięty; a im bardziej się czuł osamotniony wśród swego uporczywego uporu, tym wyżej duch jego zdawał się wznościć ponad gruzy walącego się życia. „Walcz!” — krzyczała do niego. Nie mogła zrozumieć! Nie było już o co walczyć. Jim chciał dowieść swej siły w inny sposób — pokonać sam złowrogi los. Wyszedł na dziedziniec; za nim ukazała się

bez tchu dziewczyna, z rozpuszczonymi włosami, oszalałą twarzą — i chwiejąc się na nogach, oparła się o framugę drzwi.

— Otwórzcie bramy — rozkazał Jim. Potem zwrócił się do ludzi z załogi i pozwolił im wrócić do domów.

— Na jak długo? — zapytał jeden z nich nieśmiało.

— Na zawsze — rzekł Jim posępnie.

Cisza padła na miasto po pierwszym wybuchu rozpaczki i lamentu, który przewiał nad rzeką jak poryw wichru z rozwartego przybytku żałości. Lecz szeptem obiegały wieści napełniające serca zgnębieniem i straszną niepewnością. Zbójcy mieli podobno wrócić na wielkim statku i naprowadzić jeszcze wielu innych, a wówczas dla nikogo nie byłoby już w tym kraju schronienia. Poczucie groźnego niebezpieczeństwa — jak podczas trzęsienia ziemi — przeniknęło wszystkie dusze; ludzie zwierzali się po cichu jeden drugiemu ze swych podejrzeń, spoglądając po sobie, jakby nawiedził ich straszliwy los.

Słońce zniżało się ku lasom, gdy przyniesiono ciało Daina Warisa do *kampungu* Doramina. Czterech ludzi je dźwigało, zakryte, jak przystoi, białym całunem, który stara matka kazała zanieść do wrót nad rzeką na przyjęcie syna. Złożono młodego wodza u stóp Doramina; starzec siedział bez ruchu długi czas nad zwłokami, z rękoma opartymi o kolana, i patrzył w ziemię. Pędy palm kołysały się łagodnie, a listowie drzew owocowych poruszało się nad jego głową. Wszyscy bez wyjątku ludzie z bugiskiego plemienia byli tam obecni w pełnym uzbrojeniu. Stary *nakhoda* podniósł wreszcie oczy. Potoczył nimi z wolna po tłumie, jakby szukał nieobecnej twarzy. Broda jego znów opadła na piersi. Szepty wielu ludzi mieszały się z lekkim szmerem listowia.

Malaj, który przywiózł do Semarangu Tamb' Itama i dziewczynę, również tam się znajdował. Był mniej rozgniewany niż wielu innych, jak mi opowiadał, lecz przejmowała go zgroza i osłupienie wobec „niespodzianek losu, który wisi nad ludzkimi głowami jak chmura brze-

mienna gromem”. Mówił, że gdy ciało Daina Warisa zostało odsłonięte na znak Doramina, ujrzeli tego, którego zwano często przyjacielem białego władcy; leżał, nic nie zmieniony, z lekko rozchylonymi powiekami, jakby miał się zaraz obudzić. Doramin pochylił się trochę więcej, rzekłbyś, szukając czegoś, co upadło na ziemię. Ogarnął ciało od stóp do głów badawczym wzrokiem, może szukał na nim rany. Niewielki znak od kuli znajdował się na czole; nikt nie wyrzekł ani słowa, tylko jeden z obecnych pochylił się i zdjął srebrny pierścień z zimnej, sztywnej ręki. W milczeniu podał go Doraminowi. Szept przerażenia i zgrozy przebiegł po tłumie na widok tego ogólnie znanego symbolu przyjaźni. Stary *nakhoda* wpatrzył się weń i nagle wydał wielki, dziki krzyk z głębi piersi, ryk bólu i wściekłości, potężny jak ryk ugodzonego bawołu, napełniając wielkim strachem serca ludzi wstrząśniętych niezmiernym jego gniewem i żalnością, które tak wyraźnie przejawiały się bez słowa. Gdy czterech ludzi dźwignęło ciało i poniosło je na stronę,

zapadła długa cisza. Złożyli je pod drzewem; w tejże samej chwili wszystkie kobiety należące do domu Doramina wybuchnęły jednym przeciągłym jękiem, a potem zaczęły zawodzić ostrymi głosami. Słońce zachodziło; w przerwach wrzaskliwego lamentu rozlegały się wysokie, monotonne głosy dwóch starców śpiewających wersety z Koranu.

Mniej więcej w tym samym czasie Jim, oparty o łożysko armaty, patrzył na rzekę zwrócony tyłem do domu, we drzwiach zaś stała dziewczyna, zdyszana jak po gwałtownym biegu, i patrzyła na niego poprzez dziedziniec. Tamb' Itam trzymał się niedaleko od swego pana, czekając cierpliwie na dalszy rozwój wypadków. Nagle Jim, który był jakby zatopiony w spokojnych rozmyślaniach, obrócił się ku niemu i rzekł:

— Czas już z tym skończyć.

— Słucham, tuanie? — rzekł Tamb' Itam i podszedł zwawo do swego pana.

Z chwilą gdy Jim się odwrócił, dziewczyna ruszyła z miejsca i zeszła na dziedziniec. Niko-

go z domowników nie było wówczas w pobliżu. Chwiała się z lekka i mniej więcej w połowie drogi zawołała na Jima, który zdawał się znowu wpatrywać spokojnie w rzekę. Odwrócił się i oparł plecami o armatę.

— Czy będziesz się bił? — krzyknęła.

— Nie ma o co się bić — odparł — nic nie jest stracone — i o krok się ku niej posunął.

— Czy będziesz uciekał? — krzyknęła znowu.

— Nie ma ucieczki — rzekł i zatrzymał się; dziewczyna przystanęła także i milcząc, pożerała go wzrokiem.

— A więc pójdiesz tam? — wyrzekła powoli.

Jim spuścił głowę.

— Ach! — krzyknęła, wpatrując się w niego — jesteś szalony albo obłudny. Czy pamiętasz, jak wtedy w nocy zaklinałam cię, abyś odszedł ode mnie, a tyś powiedział, że nie możesz? Że to dla ciebie jest niemożliwe! Niemożliwe! Pamiętasz, jak powiedziałeś, że nigdy mnie nie opuścisz? Dlaczego tak mówiłeś? Ja

ciebie o to nie prosiłam. Obiecałeś z własnej woli, pamiętaj o tym!

— Cicho, ty moje biedactwo — rzekł. — Nie byłbym cię wart, gdybym został.

Tamb' Itam mówił, że w czasie tej rozmowy zaczęła się śmiać głośno i obłądnie jak opętana. Jego pan objął głowę rękami. Był w codziennym ubraniu, tylko nie miał kapelusza. Nagle przestała się śmiać.

— Po raz ostatni — krzyknęła groźnie — pytam, czy będziesz się bronił?

— Nic mi się stać nie może — rzekł z ostatnim błyskiem wspaniałego egoizmu.

Tamb' Itam ujrzał, jak pochyliła się naprzód, wyciągnęła ramiona i pobiegła do jego pana. Rzuciła mu się na piersi i objęła go za szyję.

— Ach! Ale ja cię zatrzymam, ot tak! — krzyknęła. — Ty jesteś mój!

Szlochała na jego ramieniu. Niebo nad Patusanem było krwawe, ogromne, jakby zalane posoką uchodzącą z otwartej żyły. Wielkie, purpurowe słońce gnieździło się wśród szczy-

tów drzew, a las poniżej miał czarne, odpychające oblicze.

Tamb' Itam mówił mi, że owego wieczoru niebiosa wyglądały gniewnie i przerażająco. A ja najzupełniej mu wierzę, gdyż wiem, że tego dnia cyklon przeszedł o sześćdziesiąt mil od brzegu, choć tam na miejscu czuło się tylko leniwy powiew.

Nagle Tamb' Itam ujrzał, że Jim chwytą dziewczynę za ręce i stara się je rozluźnić. Zawisła na nich z głową w tył odrzuconą; włosy jej dotykały ziemi. „Chodź tu!” — zawołał pan na Tamb' Itama; ten podbiegł i pomógł ją złożyć na ziemi. Trudno było rozpleść jej palce. Jim pochylił się nad dziewczyną, spojrział głęboko w jej twarz i natychmiast rzucił się ku przystani. Tamb' Itam popędził za nim, lecz odwróciwszy głowę, zobaczył, że pani zdołała się dźwignąć na nogi. Zaczęła biec w ich stronę; po kilku krokach padła ciężko na kolana.

— Tuanie! Tuanie! — zawołał Tamb' Itam — spojrzysz za siebie!

Ale Jim był już w czólnie i stał, trzymając wiosło. Nie obejrzał się. Tamb' Itam ledwie zdążył się wdrapać do czółna, gdy już odpływało. Dziewczyna klęczała u wrót ze splecionymi rękami. Pozostała czas jakiś w tej błagalnej pozycji, wreszcie skoczyła na nogi.

— Wiarołomca! — krzyknęła za Jimem.

— Przebacz mi! — zawołał.

— Nigdy! Nigdy!

Tamb' Itam wziął wiosło z rąk Jima, ponieważ nie wypadało, aby jego pan wiosłował, a on siedział beczynn timer. Gdy dosięgli drugiego brzegu, tuan Jim zakazał Tamb' Itamowi iść dalej; lecz Tamb' Itam posuwał się za nim w pewnej odległości, wspinając się po zboczu w stronę *kampungu* Doramina.

Zapadał zmierzch. Gdzieniegdzie migotały pochodnie. Widok Jima zdawał się napawać zgrozą przechodniów, którzy śpiesznie usuwali się na bok, aby zrobić wolne przejście białemu. Z góry dochodziło zawodzenie kobiet. Dzieziniac był pełen zbrojnych Bugisów w otoczeniu świt i patusańskiego ludu.

Nie wiem właściwie, w jakim celu się zgromadzili. Czy były to przygotowania do wojny, czy do zemsty, czy do odparcia grożącego napadu? Wiele dni upłynęło, zanim ludzie przestali wyczekiwać ze drzeniem powrotu białych brodaczy w łachmanach — a właściwego stosunku owych ludzi do białego władcy Patusanu nigdy nie potrafili zrozumieć. Nawet dla tych prostych dusz biedny Jim pozostał mglistą zagadką.

Doramin siedział w fotelu naprzeciw zbrojnego tłumu, samotny, olbrzymi, zrozpaczony, z parą pistoletów skałkowych na kolanach. Gdy ukazał się biały tuan, ktoś krzyknął i wszystkie głowy naraz skierowały się ku Jimowi; tłum rozpadł się na prawo i lewo, a on szedł tą drogą pośród odwróconych spojrzeń. Ścigały go szepty, pomruki: „On jest sprawcą całego zła!” — „To czarownik!...” Może Jim to słyszał...

Kiedy znalazł się w świetle pochodni, zawodzenie kobiet nagle ustało. Doramin nie podniósł głowy i Jim stał przed nim czas jakiś w mil-

czeniu. Potem spojrział na lewo i skierował się tam miarowymi krokami. Matka Daina Warisa siedziała w kucki u jego głowy; siwe, potargane włosy zasłaniały jej twarz. Jim zbliżył się powoli; podniósł nakrycie, spojrział na zmarłego przyjaciela, po czym opuścił całun bez słowa. Wrócił z wolna ku Doraminowi.

— Przyszedł! Przyszedł! — przebiegało po wszystkich ustach, wzniecając szmer towarzyszący krokom Jima.

— Wziął wszystko na własną głowę — rzekł ktoś głośno.

Jim usłyszał to i zwrócił się do tłumu.

— Tak. Na własną głowę.

Kilku ludzi cofnęło się. Jim czekał chwilę, stojąc przed Doraminem, a potem rzekł łagodnie:

— Przyszedłem pełen żalu. — Znów czekał. — Przyszedłem gotów na wszystko i bezbronny — powtórzył.

Ociężały starzec pochylił wielkie czoło jak wół pod jarzmem i usiłował powstać, chwytając z kolan skałkowe pistolety. Z gardła doby-

wał mu się zduszony; nieludzki bełkot; dwaj dworzanie dźwignęli go z tyłu. Ludzie zauważyli, że pierścień upuszczony przez Doramina spadł i potoczył się aż do stóp białego, a biedny Jim spojrział w dół na talizman, co otworzył mu drogę do sławy, miłości i powodzenia, wprowadził go za mur lasów obramowanych białą pianą, w głąb wybrzeża, które w blasku zachodzącego słońca wygląda zaiste jak twierdza nocy. Doramin, starając się utrzymać na nogach, tworzył z dwoma podtrzymującymi go ludźmi ruchomą, chwiejną grupę, jego małe oczka błyskały dziko; spoglądał z wyrazem obłąkanego bólu i wściekłości, co zauważyli bliżej stojący ludzie; w końcu, podczas gdy Jim stał z gołą głową, wyprężony w świetle pochodni, patrząc mu prosto w twarz, Doramin zawisł ciężko lewym ramieniem na szyi pochylonego młodzieńca, wzniosł powoli prawą rękę i strzelił w pierś przyjacielowi swego syna.

Z chwilą kiedy Doramin podniósł broń, tłum stojący za Jimem rozpierzchnął się, a po strzale rzucił się naprzód zgiełkliwie. Mówią, że

biały cisnął w prawo i lewo — na wszystkich tych ludzi — dumne, nieugięte spojrzenie. Potem, z ręką na ustach, padł na twarz martwy.

*

I na tym koniec. Jim znika — nie uzyskawszy przebaczenia, otoczony mglistą tajemnicą, z sercem nieprzeniknionym, zapomniany — i niezwykle romantyczny. Nawet w najszaleńszych dniach swych chłopięcych rojeń nie mógł wymarzyć tak czarownej wizji, tak tryumfalnego wyniku!

W tym krótkim mgnieniu, gdy po raz ostatni rzucił wokoło dumnym, nieugiętym wzrokiem — w mgnieniu tym może ujrzał oblicze owej wyśnionej sposobności, która jak wschodnia oblubienica stanęła zakwefiona u jego boku.

Oto widzimy, jak ten nieznany zdobywca sławy wyrywa się z ramion zazdrosnej miłości na znak, na zew swego wzniosłego egoizmu. Odchodzi od żywej kobiety, aby zawrzeć bezli-

tosne śluby z mglistym ideałem postępowania. Czy jest już teraz zupełnie zadowolony? Powinniśmy to wiedzieć, jest jednym z nas. A czyż nie stawiałem się kiedyś, jak duch wywołany zaklęciem, by dać świadectwo o jego niezłomnej wierności? I chyba nie pomyliłem się tak bardzo. Teraz, kiedy go już nie ma, przychodzą dni, gdy rzeczywistość jego istnienia narzuca mi się z olbrzymią, porywającą siłą; to znów — i daję na to słowo — bywają chwile, kiedy Jim rozwiewa mi się w oczach jak odcieleśniony duch błędzący wśród namiętności tej ziemi, gotów poddać się karnie wezwaniu swego własnego świata cieniów.

Któż z nas wie? Odszedł z sercem nieprzeniknionym, a biedna dziewczyna wie dzie w domu Steina głucho, martwe życie. Stein bardzo się w ostatnich czasach postarzał. Czuje to sam; mówi często: „Trzeba będzie wkrótce opuścić to wszystko... opuścić” — i smutnym ruchem ręki wskazuje na swoje motyle.

Wrzesień 1899 – lipiec 1900

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/lord-jim-tom-drugi>

Tekst opracowany na podstawie: Joseph Conrad, Lord Jim, tom drugi, tłum. A. Zagórska, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1966.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Publikacja sfinansowana ze środków pozostałych ze zbiorów, które nie zakończyły się sukcesem.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Karolina Maj, Monika Myszkowska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Tomi Nieminen@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0130-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska,
JOSEPH CONRAD *Lord Jim, tom drugi* 373
KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę